



MARYNA Z HRUBEGO

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

MARYNA Z HRUBEGO

„LEGENDY TATR“ CZĘŚĆ PIERWSZA

Miejska Biblioteka Publiczna
w Nowym Targu

XIII/3

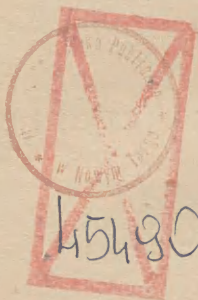


000-020281-00-0

BIBLIOTEKA POLSKA WARSZAWA



20281



XIII 3

Tet

Mar

XIII 3

Proz

Ujrzała Maryna w nizinie Czarny Staw. Wiatr kołysał ponurość jego wód wśród mgieł, w pomroce. Głuchy bełkot dawały fale o głazy u brzegów bijąc. Coś niewypowiedzianie smutnego szło od tej toni w górę. Stojąca wysoko na skrzęsanej stramej uboczy pod Kościelcem Maryna patrzyła w tę wodę, o której słyszała od urodzenia. Z biczem w rękę, opasterzona w płachtę szarą od deszczu, patrzyła wdół z pod skały, podana pierśią naprzód. Jej szafirowe ogniste oczy stykały się z czarną, posępną powierzchnią wody, wiązały się z nią, zdawały spływać w jedno. Dusza dziecka-dziewczyny uczuła się tak samo wahaną głucho wiejącym wiatrem. Po raz pierwszy poszła paść w hale i po raz pierwszy spojrzała na tę wodę, której imię było jądrem rozmów na Hrubem. Lecz imię prawdziwe tej wody było: groza.

Powoli mgły zakryły staw i omroczyły Marynę, tłumiąc wiatr. Nieprzewładana pustka objęła ją, nieogarnione stracenie się od świata. Uczuła nad sobą zwały spiętrzone ślizgich, skrze-

sanych, niebosiężnych skał i pod sobą wodę zapadła w mgły i w okrąg mgły niezmierne. Uczuła się w pustkowiu nieprzewładanem. I uczuła, że wszystko, co w sobie miała, ucichło, znikło. W duszę jej wrażała się ta godzina z mocą wiadomą, że nie zapomnisz jej nigdy. Oparła się na biczysku i pochyliła twarz. Zapamiętała się w mroku.

Ptak jakiś zafurgotał z za zrębu i przeleciał na dół w przepaści...

.

Wrzało już, choć nie buchał jeszcze płomień. Chmielnicki gotował się do ostatecznej rozprawy z królem i Rzeczpospolitą. Gdy Jan Kazimierz rozsyłał wici na pospolite przeciw kozakom ruszenie, tysiące wysłańców Chmielnickiego pośpieszyło do dalekich ziem polskich, pod Poznań, Kraków, w zachodnie województwa. Mieli oni podniecić chłopów do buntu, gdy tylko szlachta pociągnie w pole.

Strach zaś był wielki. Olbrzymią armję zbierał Chmielnicki. Naprzeciw sił królewskich zgromadził przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy kozaków, czerni i ordy tatarskiej.

Chmielnicki zamierzał daleko: zamierzał zważyć całą szlachecką Rzeczpospolitą, wywołać powszechne powstanie polskiego ludu, Rakoczemu

ułatwić zajęcie Krakowa, szlachtę zdruzgotać raz na zawsze.

Rzucono i rozszerzano wieść, że szlachta buntuje się przeciw królowi, że wymordować chce chłopów, że kozacy na pomoc królowi i obronę chłopów ciągną. Judzeni chłopci, skorzy dla tyraństwa, ucisku i wyzysku panów dawać posłuch podobnym wieściom, łatwo burzyć się zaczęli. Buchnęły tu i owdzie pożary, w lasy chłopci na tajemne narady szli, zuchwalsi, odważniejsi wobec szlachciców i ich sług się stali.

Na Podtatrze, w Beskidach, lud zdawien dawna do łupieży, zbójectwa, oporu był pochoptny. Przez całe Karpaty od zachodu do wschodu ich granic węgierskich raz wraz tworzyły się i dawały o sobie znać bandy grabieżcze.

W województwie krakowskiem, w małym stosunkowo okręgu górskim, więcej było zbójów i napadów, niż na ziemiach całej Rzeczypospolitej polskiej, a typ życia górali podobny był do typu życia zaporoskich kozaków.

Rody sołtysie używały tej wolności w górach, jaką cieszyły się rodziny kozackie na Rusi, a młódź chadzała na zbój na obie strony gór, jak kozacy na wyprawy z Siczy. W owym czasie górale byli rozjadli. Od trzydziestu lat trwał spór między dworem szlacheckim i ekonomjami duchownymi i królewskimi o czynsze za wypasy na polach, (na które jedni chłopci mieli przywileje i nadania

z uprzednich czasów, inni nie mieli), z rozmaita słusnością, ale i z tem, że i słusność gwałcono. Prócz tego Lubomirscy, chciwi tytułów i majątków, wstydzący się już rodzinnego, małego Lubomierza, a piszący się hrabiami na Wiśniczu i Jarosławiu (Wacław Śreniawa Potocki: „Wojna chocimska“), jeli wydzierżawiać dla większego zysku żydom cła, myta i karczmy i wzbraniać palenia wódki i szynkowania, wbrew prawom osadniczym, warującym sołtysom i całym gromadom w kasztelanji krakowskiej własne karczmy i gorzelnie. Za przykładem nowych, ale już magnatów, szła okoliczna szlachta. Rozjątzeni chłopci rwali się do oporu i odwetu, powstawały bandy po kilkudziesięciu ludzi, napadano dwory i podłoże pod bunt powszechny było gotowe.

W uczuciu pewnej trwogi i niepokoju opuszczała szlachta podgórska dwory i zagrody, aby do obozu królewskiego pod Sokal ciągnąć. Szczupłe, prawie nieistniejące, lub zgoła nieistniejące załogi po starościch grodach i gródkach; strzec mający w czas wojny pokoju domowego wojscy; prywatne poczty te, których przeciw Chmielnickiemu nie pchnięto, panów duchownych i świeckich: małą dawały ochronę i skąpe bezpieczeństwo. Główną otuchą szlachty, wyciągającej z progów rodzinnych, była nadzieja, że chłopci się na nic większego nie wążą, a także przekonanie, że nad ogólniejszym ruchem mu-

siałaby stanąć jedna i nie chłopska, nie chamska głowa. Nie bez trwogi, ale wzgardliwie liczono, że się taka głowa nie znajdzie. Nie przypuszczano dwóch Chmielnickich równocześnie, gdy jeden już był i od lat całych nękał wojną i odechnąć nie dawał.

W dumnej hardości z zamków swoich spoglądali naokół panowie małopolscy, ci, którzy dla wieku, czy niedomagania w pole na wezwanie królewskie nie wyszli, i plenipotenci pańscy, podczas dominjami rządzący; z umyślnem też lekceważeniem patrzyli na ruchy chłopskie urzędnicy królewscy. Starosta czorszyński, pokojowiec królewski Platemberg, w zamku dzierżawców żydów pozostawiwszy, w zbroi szmelcowanej ku wojsku odjechał.

Gdy Szymek Bzowski, czyli Aleksander Leon Kostka z Krakowa do Siworogu, zamku Joachima Herburta, pana na stu wsiach, u którego podówczas bawił, zakupiwszy odzienia, z sercem rozręsknionem wracał: na każdym popasie, od Mogilan poczynając, tu o podpaleniu, tam o kradzieży, ówdzie o zabójstwie nawet słyszał, a gromadki chłopskie, nie budzące ufności, po drodze spotykał.

Ale jego strój szwedzki, bródka z szwedzka przycięta, łatwa do poznania najęta w Krakowie kolasa, czyniły na chłopach wrażenie, iż obcy to człowiek jedzie, a napadu lękać się potrzeby

mieć nie musi, skoro go nawet na pacholka przy boku woźnicy nie stać, bez którego lada szlachetka za próg z domu nie stąpił. Mijano go też bez uwagi.

Ów zaś plany szerokie roił.

Beatę Herburtównę, jedynaczkę, poślubić, na stu wsiach panem się uczuć, rywala wojewodzica Sieniawskiego pognać, a potem—? Król Jan Kazimierz bezdzietny był, linja Wazów polskich gasła — on jeden krew z krwi, kość z kości króla Władysława Czwartego, wnuk jedyny Zygmunta Trzeciego, pierwszego z dynastji, w Polsce pozostawał... A choć go mała szlachcianka, panna Tekla Bzowska porodziła, po ojcu on jeden z królewskiej w Polsce krwi się wiódł... Gdyby jakiś wielki czyn, jakiś czyn znakomity...

Na dworze szwedzkim wiedziano, kim jest, gdy z listami króla Władysława, wzywającemi do wojny tureckiej, w 1648 r. jeździł i przyjmowano go odpowiednio; znał go także, jako królewskiego syna, księżę Siedmiogrodu, Rakoczy, u którego po śmierci ojca przebywał; wiedział o nim Chmielnicki. Czuł w sobie zręczność, śmiałość, dar ujęcia ludzi, przyjaciół znaleźć się spodziewał. Wychowany też w magnackim domu Kostków z dzieciństwa, otarty o dwór jako paź królowej Cecylji Renaty, wiedział, iż niejednego z panów panicza dwornością, pańskim

obejściem przewyższy i gdyby trzeba było, głowę wznieść i panem stanąć potrafi.

Rozumiał też, że król ojciec nic o nim nie myślał, gdy go niewątpliwie z królewską wolą do Kostków, których imię przejął, na wychowanie dano, gdy go później do fraucymeru królowej stamtąd wzięto i gdy nakoniec, jako wysłaniec królewski do Szwecji, miał kredytywy do wszystkich monarchów i książąt chrześcijańskich. Król Władysław IV jedyne miał syna, Zygmunta, i ten umarł. On był jedynym synem królewskim, dziedzicem...

Małżeństwo stryja Jana Kazimierza z królową wdową nie wróżyło już potomstwa — ale możnowładcy polscy choćby królewskiego bękarta na tronby nie puścili. Nie puściłaby go też i szlachta, ciemna, głupia i możnowładcom służąca. Ha! I jednych i drugich zgnieść!

Pycha pierś Kostce rozpierała, żądza wzniesienia oddech dławiała. Zgnieść, zdeptać, a znakomitym wojennym czynem błysnąć i ogłosić się światu!...

Pod króla znaki pociągnąć nie chciał — nie chciał służyć temu stryjowi który go nie znał, który na tronie jego ojca siedział, nie chciał służyć i słuchać, gdy się do panowania i rozkazywania urodzonym widział.

Zawidził też panom polskim nad wyraz wszelki. Ci magnaci, którzy, jak Bogusław Ra-

dziwił, kiedy jechali *incognito*, w tysiąc koni jechali; ci dawni, dumni z rodów Zborowscy, Chodkiewicz, Koniecpolscy, Tarnowscy, ci dumni z książęcej krwi Wiśniowieccy, Zbarazcy, Zasławscy, ci pyszni, rosnący przy pomocy łask królewskich zagrabiciele dostojenstw, władzy i bogatych starostw, Lubomirscy, Potoccy: kłuli go w oczy aż do krwawych w nich światel.

A porówno z ambicją, gwałconą miłością własną, zazdrością wrodzoną: wrzała mu w sercu miłość do Beaty Herburtówny.

Jej serca pewny był, lecz i tu naprzeciw niego stał szlachcic — pan polski, potomek przodka, który się na akcie unji lubelskiej podpisał, prastarego, potężnego, przesławnego domu syn: Jan Sieniawski, wojewodzie krakowski.

Polak, rdzenny Lach, również z Herburtówny urodzony, w którego żyłach krew wszystkich polskich królewni pływała.

Bogaty jak król, władny jak hetman, butny jak książę udzielne, urodny jak bożek słowiański.

Drobny, nikły, w obcisłych, szwedzkich pluderkach, często skrycie łątanych, karłem i nędzarzem czuł się syn króla Władysława naprzeciw tego dębczaka, od złota i drogich kamieni lśniącego.

Gryzł Kostka pod cienkim, czarnym wąsem wargi i w palcach niecierpliwych pierścionek

z włosów Herburtówny, ofiarowany mu jako za-
datek miłości, obracał.

Jako Kostka, choć z mniej bogatego, mniej
możnego domu, niż Sieniawski, od tego kaszte-
lana rzekomo się wiódł, co również podpis na
akcie unji za Zygmunta Augusta położył. Świę-
tego też w rodzie miał, a stąd osobliwe błogo-
sławieństwo nad domem Kostków upatrywano.

Stary Herburt, pobożny nad miarę, ze czcią
go i poszanowaniem, jako krewnego świętych
gościł i niewątpliwie przez samą pobożność
związkowi z córką nie miałby się sprzeciwiać.

Do stanowczego punktu musiało przyjść. Sie-
niawskiemu na polowaniu kość niżej łokcia nie-
dźwiedź przetrącił i stąd on, sześciuset husarzów
i tysiąc piechoty własnego pokrycia królowi pod
Sokal posławszy, sam w domu pozostał i do
Siworogu, jako krewniak po matce i konkurent
do panny zjechał.

Popierała go stryjna panny, kasztelanowa
księżna Dymitrowa Korecka, po śmierci matki
matkę Beacie zastępująca, pani dumna i ubogim,
choćby to był nie świętego Stanisława Kostki,
ale samego świętego Piotra krewny, gardząca.

Gdy Kostka w nowem odzieniu na zamku
Herburtowskim stanął, zastał on tam sprawy
naprzód pchnięte. Oto księżna Sieniawskiego,
który rzeczy aż do szczęśliwego zakończenia
kampanji kozackiej odkładał, nastraszyła Kostką

i ten się zdeklarował i o panny rękę tegoż dnia właśnie prosić się gotował.

Zacisnął Kostka pięście na te wieści i ledwo się z kurzu podróżnego otrzepawszy i obmywszy, do Beaty szedł.

Już się ku zachodowi słońce miało. Pachniał ciepłym kwietniem ogród zamkowy, pełen kwiatów cennych i drzew odwiecznych.

Nad sadzawką zamyśloną napotkał Beatę.

Ośmnaście lat swoich i cudne lico uwieńczyła wianuszkami kwiatków polnych, zaplecionych zgrabnie i powabnie.

— Prawdali to? — zawołał Kostka, prawie witać zapominając — prawdali to jest?

— Co ma prawdą być? — zapytała Beata.

— Co słyszę, iż wojewodzie Sieniawski o rękę waszą, miłościwa wojewodzianko, prosić dziś jeszcze przed wieczorem ma?

— Prosić może, to nikomu nie wzbronno.

— A ja?

— A wy też o nią prosić możecie.

— Lecz jakaż wasza odpowiedź będzie?

Wojewodzianka uśmiechnęła się lekko i wzniosła oczy niebieskie ku górze.

— Gwiazd jeszcze niema — one wiedzą.

— Zatem je wydrzeć z nieba rękoma trza, aby rzekły!

— Wydrzejcie. I to wolno.

— Wojewodzianko! — krzyknął niemal Kost-

ka. — Dawaliście mi próby przyjaźni waszej! Włosów waszych pierścionek mam!

— Gwiazd jeszcze niema — odrzekła Herbur-
tówna z uśmiechem. — Nie wszedł wieczór.

I aleją dębową ku zamkowi jęła iść, a Kostka
szedł za nią, tak gorejący ogniem, że trudno mu
było chciwe usta i dłonie pragnące na wodzy
trzymać.

Szli chwilę w milczeniu, z jednego szpaleru
w drugi przechodząc. Wtem pierwsza gwiazda
na błękitie zatlała, blada jeszcze, ale już wi-
doczna.

— Gwiazdy już są — szepnął Kostka, pochy-
lając się ku Beacie.

Ona zaś odwróciła ku niemu nieco głowę
i niewypowiedzianej łaski uśmiech posłała mu
z ust i ze źrenic.

— Kto ma wiarę i nadzieję — zaczął Kostka
pół nieprzytomny —

— Ten osiąść może miłość — dokończyła
Beata Herburtówna, nigdy dotąd u niej przez
Kostkę niesłyszany, drżącym od wzruszenia
głosem.

— Mam rozumieć? — zapytał Kostka pół-
szepem namiętnością zdławionym.

— Jak serce dyktuje.

Naówczas zastąpił on drogę Beacie, ukląkł
przed nią na kolana i za kraj jej żupanika obra-
mowanego gronostajem ujął, a ona zwróciła na-

przód twarz wbok, jakby ze wstydu, a potem wraz ku niemu, jakby zwalczona tem, co ją parło.

Za dłonie obie Kostka ją chwycił — nie bro- niła ich; ku sobie pochylił — poddała się — i na- chyloną, klęcząc, wyżej stanu ułapił, piersiami przygarnął i usta w usta jej wcisnął. Wyrwać się niby chciała, ale ją niemoc zniewoliła.

Wtedy Kostka wstał i wpół przez ramię prze- giąwszy, lica, oczy, usta, szyję obnażoną w czas ciepła całować bez upamiętania zaczął.

Gdy do siebie przyszli, więcej już gwiazd na niebie płonęło.

Szybko poprawiwszy i ogarnąwszy szatki, jak sarna spłoszona, iść przed się ku zamkowi jęło dziewczę, Kostka zaś obok kroczył, milcząc ze szczęścia, z ręką na rękojęści szpady, którą szwedzkim obyczajem nosił, opartą.

Podeszli pod zamek.

W wielkiej sieni od ogrodu stał Herburt wo- jewoda, księżna Korecka, Sieniawski i dworzanin jego i druh, Michał Gozdawa Sulnicki, człek siły niezwyklej i rębacz w Małopolsce pierwszy, z twarzą zuchwałą i groźną, bez grosza mająt- ności, z łaski Sieniawskiego żyjący. Z nim razem on się chował, pół sługa, pół przyjaciel.

Obaj strojni byli od stóp do głów — a Sie- niawski na podziw.

Miał on na sobie kontusz szafirowy aksa-

mitny, z brylantowemi guzami, z których każdy miasteczko żydowskie był wart, pod tem żupan z niebieskiego atlasu, a pas go opasywał niewysłowionej roboty, tak mieniaący się przy blasku zapalonych już świeczników, iż się widziało, że się sztuką tęczy przepasał. Ku temu hajdawery karmazynowe i z żółtego safjanu łyskliwe buty, na złotych podkówkach u napiętków. U boku słynna Sieniawskich karabela o złotej pochwie, na rękojeści kołpak soboli z czapłą białą kitą, rubinami, szmaragdami, brylantami, szafirami i żółtymi topazami przypiętą. Lewa ręka, od niedźwiedzia przetrącona, na czarnym spoczywała temblaku.

Sulnicki, choć dworzanin, prawie niemniej od złota i kamieni świecił, aby znać było, co to za pan, co nietylko siebie, jak królewic, ale i dworzanina swego nawet nad miarę niejednego posesjonata ubrać może.

Właśnie w imieniu Sieniawskiego Sulnicki deklarację o rękę Beaty czynić kończył, gdy oboje z Kostką nadeszli. Aliści Beata, która ostatnie wyrazy słyszała, a z nich i z wyglądu sceny snadnie treść dyskursu poznać mogła, zwracając się wprost ku Sieniawskiemu, z uprzejmem skinieniem głowy rzekła:

— Wielki to honor dla mnie, gdyż, ile się domyślam, rzecz o mnie idzie, że potomek tak znakomitych przodków i sam niemniej od nich

znakomity kawaler, którego mężem swym nazwać za zaszczytby sobie najpierwsze w Polsce panny miały, ku mnie afekt swój zwrócić raczył. Iście srodze mi markotno, że afekt ten w tym momencie wewspółdźwięku nie znajduje.

— Jakoż to? — zapytała księżna Korecka.

— Gdyż serce moje komu innemu oddałam.

Blask radości zajaśniał na twarzy wojewody, Sieniawski zaś przy tych słowach Beaty w bok się wsparł i płomieniem z oczu zaświecił.

— I komuż to, jeśli wiedzieć wolno? — zapytała księżna Korecka.

— Tu obecnemu panu Aleksandrowi Kostce — opowiedziała Beata.

Nim kto ozwał się, pośpieszył wojewoda głos wziąć:

— Umiem i ja cenić honor — rzekł — jaki na dom mój z ucieleśnienia afektu imci wojewodzica spłynąćby miał. Niema jednak snąc domu wielkiego w Rzeczypospolitej, z którymby gniazdo Herburtów spowinowaczone nie było, a i samego tu przytomnego wojewodzica Herburtówna rodziła. Gdy sami do czeskiej mitry prawo nosim, nieobce w naszych krewieństwach małżeńskich buławy, wielkie pieczęcie i mitry książęce. Z rodem atoli, którego najwyższa dystynkcja ziemską: świętego wydać — z łaski Boga spotkała, nie dał Bóg się dotychczas skoligacić. I gdy ani dostatków, ani dostojeństw nam nie

brak, za wyraźny dokument łaski Opatrzności mam, iż do krwi naszej krew, która i we świętego Pańskiego żyłach krążyła, przymieszać życzy sobie.

Naówczas zdarł w górę głowę Sieniawski i odpowiedział:

— Nie mam ja tu co dłużej porabiać, gdy mnie porówno serce córki, jak wola ojca odtrąca. Zbyt jednak umiłowaną sercu mojemu jest wojewodzianka Beata, w zbyt wielkiej czci mam jego wielmożność pana wojewodę, w zbyt wielkiej estymie przesławny ród Herburtów, abym, co wiem im przeciwnego, zmilczał.

A iż do delacji nawet w świętej i obowiązkowej sprawie usta Sieniawskiego się nie zniżą, Sulnicki — czytaj list, który na twoje zapytanie kasztelan Janusz Kostka z Dębin ci odpisał.

Kostka drgnął, jakby złem przeczuciem tknięty, a Sulnicki wielki arkusz z zanadrza dobywszy, czytać począł:

„Do Imci Pana Michała Sulnickiego, wojewodzica Sieniawskiego dworzanina:

Jako mnie waszmość, podejrzeniami pewnemi, jako piszesz, tknięty, pytasz i do odpowiedzi ze strony wiadomej osoby obligujesz, odpowiadam waszmości przez umyślnego, co następuje:

Sprawiedliwie szacuję miłość waszmości ku prawdzie i nienawiść szalbierzy i wiadomem czy-

nię, iż ów Aleksander Leon Kostka ze Szternberku, za takiego się podający, z rodu naszego nie jest. Przed dwudziestu kilku laty do stryjecznego mego Rafała Kostki, kasztelana bełzkiego, zaufanego króla nieboszczyka Władysława, przywiózł hajduk chłopię, ledwie mówić mogące, bogato odziane i tam je wraz z oddanym sobie listem zostawił. Dom był bezdzietny i dziecko jak swoje chowano. Gdy chłopiec podrósł, zasię po niego przysłano i co się z nim później działo, nie wiem. Z naszego plemienia Kostków on nie jest, jeśli to ten za takiego się prezentuje. To wiem i słowem uręczam, a nawet, gdyby potrzeba w jakiej ważnej sprawie była, i przysięgą uręczyć mógłbym.

Życzę zdrowia Waszmości.

*Janusz Kostka z Dębin,
kasztelan sieradzki.*

Gdyby grom z jasnego nieba uderzył, większego by efektu zdziałać nie zdołał.

Wojewoda list z ręki Sulnickiego wychwycił, jeszcze raz go przeczytał i ozwał się mocno pomieszany:

— Zaiste! Na palu pal — bo takie miał, gdy go co poruszyło, przymówisko — ręka to kasztelana, tak mi znana, jak moja własna. Któż więc waszmość jesteś? — zwrócił się ku Kostce.

Ten stał biały jak płótno.

— Ktoś waść jest? — zapytała porywczo księżna Korecka.

Kostka milczał, a Sieniawski rzekł:

— Jakom rzekł, nie mam ja tu co dłużej porabiać. Atoli zdaje mi się, iż złem nie uczynił, zezwalając zaufanemu memu, któren z gorliwości ku mnie, o cześć domu Herburtów niemniej też dbały, podejrzenia powziawszy, w najszluszniejszą stronę, gdy kasztelan Rafał i małżonka jego nie żyją, z interrogacją się zwrócił. Cokolwiek stąd wyniknie, mnie wszelako jedno tylko: odejść stąd — pozostaje.

— Czekaj, wasza miłość, nie odjeżdżaj, póki się sprawa nie wyklaruje! — zawołał wojewoda i zwracając się ku Kostce: — Mów waszmość kto jesteś? — powtórzył.

Kostka milczał. Białość nie ustępowała mu z twarzy, oczy w ziemię wbił i stał, jak skazaniec. Byłby może słowa nie rzekł, gdyby nie prośba Beaty, która ręce, jak do pacierza, złożywszy, ozwała się błagalnie:

— Na Boga, proszę, powiedz waszmość nazwisko swe i godło!

Naówczas Kostka spojrział na nią zarówno z wyrzutem, jak z miłością nieopowiedzianą i wyprostowawszy się, iż, acz nieduży, prawie wysokim w tej chwili się wydał, spojrzenie w oczach obecnych topiąc, rzekł spokojnie i wyniośle:

— Imię moje jest w księdze dziejów zapisane nie tam, gdzie wasze będzie.

Znaczenia tych słów nie pojawiały, a najmniej się podobnych spodziewając, wszyscy stali chwilę, spoglądający po sobie, aż pierwszy ozwał się zuchwale Sulnicki:

— Nie o enigmata tu idzie, jeno o nazwisko waścine. Powiadaj je i basta!

Jeszcze dumniej wzniosł Kostka głowę w górę i odparł:

— Odpowiedzieć ci raczę, pacholku, iż pan twój mnie do kolan kołpakiem klaniać się winien.

Splonął się na to Sieniawski i w okamgnieniu karabelę ze złotej pochwy wyrwał, ale go blisko stojący wojewoda za rękę chwycił i krzyknął:

— Jedno nie pozwolę krwi rozlewać w domu moim, drugie nie wiesz waszmość, kto zacz, a jak zbój mordować nie będziesz!

Zatrwożona i ze łzami w oczach Beata powtórnie się ku Kostce skłoniła.

— Mów waszmość, jak cię zowią — błagała — nie wystawiaj serca mego na próby ognia!

I wtedy ponownie Kostka, — jako pierwiej, na nią popatrzywszy — rzekł głośno i wyraźnie:

— Jam jest króla Władysława syn.

Znów oniemieli wszyscy, jeszcze dłuższą chwilę milczenie potrwało, niż uprzednio.

Przerwała je kasztelanowa Korecka, mówiąc w aluzji do nazwiska Wazów:

— Z tych pewnie waz, co nie jabłko i warzyn, ale pierogi ze śmietaną naszały.

Huknął śmiechem Sulnicki, rozśmiał się i Sieniawski, a Sulnicki przez śmiech zawołał:

— U mojego szwagra jest fornał Władysław Król — zali nie ten? Nawet podobny z urody!

— Pacholku — odpowiedział Kostka wyniosłe — jesteś mi jako pies, co na mnie szczeka. Obrazić nie możesz, ale obitym będziesz.

Porwał się wreszcie wojewoda, który stał, jak słup, bez słowa i ruchu.

— Dość! — krzyknął. — Ktokolwiek waść jest, iześ śmiał pod nieprawdziwem wejść w dom mój nazwiskiem, próg mój przestąpić proszę!

— Panno Beato! — zwrócił się Kostka ku wojewodziance, która z twarzą zasłonioną rękoma stała.

Słowa nie otrzymał, ale ruch głowy nic dobrego, owszem, źle mu wróżył.

Beato! — rzekł jeszcze.

Lecz tylko ten sam ruch głowy uzyskał.

— Milcz, wasze! — rzekła księżna Korecka. — Jak śmiesz ozywać się jeszcze do tej, którąś zachwalstwem twem i bezczelnością pokrzywdził i pohańbił! Znamy takich królewskich synów! Z hajduka w pralni się koca!

— Tak jest! — krzyknął z kolei wojewoda. —

Tak jest! Jak śmiałeś, fałszywego nazwiska używając, na dziecko moje, na Herburtównę oczy podnieść! Powsinogo! Przybłądo! Precz mi z zamku! Precz!

Kostka na te obelgi i groźby ku Beacie się zwrócił, ta jednak, twarzy nie odkrywając, milczała jako pierwiej.

Naówczas gniew go ogarnął, ręką w zanadrze sięgnął i z kieszeni zwitek z pierścionkiem z włosów wojewodzianki dobywszy, pod nogi go jej rzucić chciał, ale się wstrzymał, zbyt bowiem ją jeszcze miłował, aby wstydzić zdołał.

Ta snąć odgadła, czy odczuła myśli jego, odśloniła bowiem nieco lica i pełne strachu, przeżenienia, wdzięczności spojrzenie padło na twarz Kostki.

— Precz! — huczał wojewoda. — Ty niewiasty człeku, szalbierzu imienia królewskiego! Precz, bo na samą myśl, żeś na córkę moją patrzeć śmiał, krew mię zalewa! Fora! do kroćset djabłów, bo psami wyszczuć każę!

Za wiele tego Kostce było. Nie licząc się już z nikim i z niczem, choć wiedział, że zginąć musi, za szpady rękojeść chwycił, gdy nagle o niespodzianej godzinie dzwon kościelny we wsi pod zamkiem zabrzmiał i równocześnie dwaj dworzanie wojewody, Rajcerz i Szybka, w najwyższym pomieszaniu przybiegli, jeden przez drugiego wołając:

— Wasza miłość! Zbóje! Folwark Zgorze-
licki płonie! Czerń pustoszy!

— Gwałtu! — krzyknęła kasztelanowa, woje-
woda zaś o Kostce zapomniawszy, bo Zgorzelice
tuż niemal obok zamku leżały, gębę na razie
w zdumieniu i przerażeniu otworzył.

— Kupa chłopstwa! — wołał Rajcerz. — Do-
wiedzieli się snąć, że chorągwie nadworne pod
panem Makowskim do obozu królewskiego wy-
prawione!

— Co jest ludzi w zamku! Do broni! Na
koń! — wrzasnął wojewoda mowę odzyskawszy. —
Hej! Wasiutyński! — krzyczał oglądając się za
marszałkiem dworu.

Poskoczył naprzód Sulnicki, a Kostka, trza-
snawszy szpadą w pochwie, wpadł za nim do
stajni i nie mając swego, w zamieszaniu naj-
lepszego z wierzchowców wojewody okulbaczył
i za bramę na nim wypadł. Myślano, że ku Zgo-
rzelicom leci, ale on w lesie nieopodał zamku
na prawo skręcił i na gościniec myślenicki ku
Rabie, co pary było w bachmacie, ruszył.

Wrzawę i dzwon larmo czyniący słyszał,
wkrótce otoczyła go cichość wieczorna, łunę
tylko widział na niebie.

O Beate się nie lękał. Zbyt potężnem było
imię wojewody, aby chłopci, choćby jak zuchwali,
porwać się na zamek ważyli; zbyt wielu ludzi
w zamku, aby najmniejsze niebezpieczeństwo

rodzinie wojewody grozić mogło. Spalono już wprawdzie po dwakroć Belz i zamek Ciechanowski, ale tam dowodził zorganizowaną bandą zuchwały i podstępny emisariusz Chmielnickiego, Jachowski. Uprzednio wstecz złupił herszt Bajus z towarzyszami Januszkowice, zabito panów Trojanowskich, Bobownickiego, Bylinę z Leszczyn, splądrowano dwór Olszewskiego w Siarach, Domaradzkiego w Ropie, słynny Czepiec i Sawka napadli na Jamgród, choć obwarowany, Męcińskiego, zrabowali w Zyndramowy siedmdziesiąt siedm stadnych klaczy, zgrabieżyli dwór Delpacego w Glinniku, Cikowskiego w Żeglcach, Michałowskiego w Rogach pod Iwoniczem, ale z podobnych napaści drwić mógł armatami strzeżony, podobny do twierdzy gród Herburtów. W Zgorzelicach były obory pańskie, tam też znęćili się zbóje.

Z łuną w sercu, niemniejszą, niż ta, która ponad nim świeciła, z huraganem gniewu, żądzą zemsty, a zarazem bólu i rozpacz w sercu, pędził Kostka gościńcem. Aż ubieżawszy więcej, niż milę drogi, koniowi zwolnił, aby go nie zapalić i nie zmarnować.

Olbrzymia łuna gorzała na niebie.

Wstrzymał Kostka konia, na kulbace się skrzył twarzą wzd, wznosił rękę z pięścią zwiniętą i wyciągnawszy w stronę pożaru, począł nią trząść złowrogo, mówiąc:

— Poczekajcie, magnaty! Zapalę ja wam lepszy ogień nad głową! Poznacie mnie! Psie syny!

Ku górom konia skreślił. W tę dziką, zapadłą stronę wściekłość go i gniew skierowały, jak instynkt wilka, co się z łańcucha urwał. A w pędzie o Chmielnickim jał myśleć. Chmielnicki niejednokrotnie znać mu dał, że o nim wie, że się z nim liczy. Jakby umyślnie wysłannicy hetmana zaporoskiego spotykali go, półsłówka znaczące szeptali. Bohdan Chmielnicki nie tylko o prawa kozaków i chłopów ruskich, on i o inne prawa upomnieć się mógł — — zwłaszcza dla sprzymierzeńca...

Chmielnicki...

Ojciec był osadnikiem czechryńskim za czasów starosty Daniłowicza i zwano go Chmiel, a syn był hetmanem kozackim, który z hanem tatarskim brat za brat był, księcia Jeremjasza Wiśniowieckiego z za Dniepru wyparł, hetmanów koronnych wielkiego i polnego w niewoli miał, do którego wojewoda Kisiel w poselstwie jeździł. Więc jeżeli syn Chmiela z Sobotowa, z futoru, Chmielenko, nad sobą chorągiew malinową nosić kazać mógł, cóż on, królewski syn!?

— Hej, chłopce, wiés, co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem — ciepło.

— Ono wej ciepło.

— Wiaterek od wyhodu słońka poduhuje —
wiesna.

— Wiesna.

— Jar.

— Ydź jar.

— Kie wiesna, to ciepło.

— Terazescie wej Janie dobrze pedzieli! Wy
macie rozum!

— Tak ci powiem, Symuś, ze hań na Stawie
ani śkielka lodu nie bedzie.

— Nie bedzie.

— Słońko cysto pięknie spaliło.

— O bo haj!

— A na Zmarzlém pod Zawrate bedzie.

— Bedzie.

— Bedzie. Kazby sie podział, kie hań do
cienia.

— Zej tys to!

— Ale w Pięcistawak hań juz sołtysia Nowo-
bilszy z owcami moze bedom.

— Moze.

— Przy Rybim bedom?

— Bedom. Cozby nie byli?

— W Cihéj bedom?

— Syćko nizey.

— Naska hala haw u Stawuk nawyzsa.

— Nawyzsa.

— Ale co ci powiem, to ci powiem: piękna.

— Piękna.

— E, ze piékna, to juz piékna. Niémas jej gany — nijakiej.

— O bo niémas!

— Jyno telo, co zimna. Ka inendy juz dawno pasom, kim sie trawa otawi na niej.

— No.

— Tego lata, jak bedzie tak bars ciepło, to hań pudziemé.

— Oba.

— Oba pudziemé. A gęsiółki se Symuś weź. Bo kie hań Byrnas na kobzie zabrzący, a Franków Pieter i mój wnęk Sobek na fujerak zagrajom, to cożyś ty hań, hłopce, przez gęśli robié! Anibyś hań niémiał poco iść. Boby cie weredy skalami dołu zajeny!

— Hej! Moze.

— Siedniemé se popod sałas do słonka. Las nam bedzie pachł z doliny, a zaś kosodrzewina i limby od wiérhów. Telo musicie grać, coby nas juhasi za graniom we Wirhcihej słyseli!

— Téj tys to!

— Nieg wiedzom, ze Poloki grajom! Luptocy zatraceni!

— Wiera ze tys! Ono ik sytko mierzi to granie.

— No! I zyntyce se słodkiéj popijemé. Z mo-skalicke.

— Bajtoć!

— Do słonka sie grzejący. Bo my starzy.

— He! Co bees robiél...

— Symuś, kielo ci tys to rahujom?

— He, ono bedzie cosi na pionty na sésdziesionty.

— Dziecko! Jedy mnie haw trzi osiemdziesiont na Świentom Flawijom mineno! Coześ ty proci mnie? Smarkac! Ale byś mie i tak jesce w tańcu nie przebrał!

— Kazby!

— O bo nie! Nie przebieres! Kie mi pięć dwaścia roków béło, to sie trzok juhasów Białcanów ustawiło kimek ja sie zagrzał!

— Ej ha!

— Tak béło, tak. Ja bél hłop! Ja cały Carny Staw równo ze pse obleciał! Cok go toporzyske pądziél. Alek hipkał!

— Pod Kościelce.

— Wody kęs.

— Kęs. Ala ja se i tak, wiécie, Janie, uważujem, ze kieby hań do stawu dopływu niebéło, a coby sie woda w nim w piwo obróciéła, he! toby go do jesieni ludzie wysusyli.

— Mójeś ty! Niejeden by hań skapał przy nim, jynoby taki mulek ostawili. Ba jesce by przy nim lezał, coby go cuł.

— Ale by sie tyz zgichło luda, kieby sie wieść taka po świecie ozniesła! Taka by jyno cyrniawa hań stała. I kose by prasnon, niebał by sie, cy mu zaleje.

— Ani byś drógom nieprzesął, telo by na koniu jechał, nacyrpał w obońki i wióz ku hałupie.

— Nagorzyj by jyno na tyk béło, co po więzieniak siedzom. Kieby sie taki dowiedział, to by umar ze zalu, co przez niego wypijom.

— Ale ci powiem, Symuś! Ale by sie tys tém głównym pijakom ocielila krowa! Z dziecyskami by prziseł, a i babe by w doma nie ostawił.

— Hoć kulawy, toby laz, a i ślepy by tu macał!

— Straśnie by sie moc luda bez ten pijatyke wykróciło! Biskupi by musieli nakazować i księdzowie z ambon wołać.

— Starostowie z Nowego Targu i z Ciorstyna by musieli hajduków posyłać, coby dostępu bronili.

— Haj! Onoby sie i wojsko zdało! Bo kieby sie hłopi na to uzdobirali, to by ka jaki hajduk na ziemi leżał. Służbe by odrobił dubelt!

— Wiera by odrobił! Do poruseństwa by przisło, jakby na siele bronili. Bo by hłopi pedzieli: coż haw komu do tego? Dy to piwo nase! Cyś go ty warzył!?

— Prawda! Coby sie haw wto miał do tego wrazać! Woda béła wse gazdowska, to i piwo gazdowskie!

— Miałby sie wto opowazyć twoje własne piwo ci bronić pić!?

— Jaby temu dał! Przy Sam Panu Bohu, tubyk bestyjom zabiéł!

— Wojewoda z Krakowa by zołmirzów posłał. Ludzi by karali. Za wojaka byś wisiał!

— A za jednego powiesonego toby sie do siódmego pokolenia ludzie mścili. Jaby mu haw pokazał za własne piwo we stawie ludzi karać!

— Krew by sie lała potokami!

— Całom Polskom by skróś tego piwa zmęcili. Król by uciekać musiał.

— Prawda zeby sie nie osiedział, kieby sie cały wóz ozkierendał.

— Co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem, Symuś, rebelija by béła jesce nie taka, jako teraz skróś kozaków. Ale to sie nie stanie.

— Dyc ja wiem, ze sie nie stanie, ale o cémze by my radzili...

Tak w ciepłą, długą wiosenną noc stary Jan Topór Jasica z Hrubego i stary Szymon Krzyś z Olczy siedząc przed Toporową chałupą i na gwiazdy patrząc, rozmawiali.

Gwiazdy świeciły nad nimi, nad Koszystą, nad Buczynowemi Turniami, nad Świnicą.

Olbrzymi las czerniał popod góry, popod hale, las, który się zdawał nie mieć końca, początku ani wieku; bo pnie w nim z pniów na pniach spróchniałych rosły.

Wiosenny wiatr nocny powiewał starcom

w twarze i muskał długie, masłem wysmarowane, na ramiona spadające włosy.

Ujął Krzyś w rękę leżące obok skrzypce, od wędrownego Cygana nabyte, a przez Cygana podobno gdzieś aż we Lwowie ukradzione, przedmiot podziwu i zazdrości wszystkich muzyków góralskich, i lekko brzęknął w struny smyczkiem.

Wiedział on, czem Topora ucieszy, i starodawną nutę cicho zagrał.

Przysłuchał się Topór, pokiwał głową i rzekł:

— Hej, z tam to wej nutom za króla Stefana, Panie Boze mu ta grzyhy odpuść, wybranieccy chłopcy na wojne moskiewskim śli.

I zanucił pod nosem:

Hej kie my sie rusymé, ej z wirsku do doliny,
ej wroga pobijemé, ej zoden nie zginiemé...
Ej w doliny, w doliny, ej wybraniecki chłopce,
ej do króla Stefana, ej pod moskiewskie kopce...
Ej od madziarskiej strony ej poduhuje wiater,
ej nas Stefan Batoŕy, ej jako oreł z Tater...
Ej Stefanie Batoŕy, ej prowadz ze nas prowadz,
ej bo my nie budziemé ej krwie naséj załować...
Ej Zomojski hetmanie, ej wielgomozny panie,
ej dałeś mi prok strzelbe, ej dzieńkujem ci za nie...
Ej budzie jar, budzie jar, ej budom rolom orać,
ej wybraniecki chłopiec, ej budzie masiérować...
Ej włosy moje włosy, ej moje zółte włosé,
ej niebedom otrząsać ej popod bucki rose!...

Tak cicho nucił za cichą Krzysiówą melodją, wtem dobył głosu i na odmienną nutę huknął:

Dziewcyno kohana, mas biołe kolana,
bassamterremtetel jak na wodzie piana! Hjjheuu! —

i to go zgubiło.

Albowiem w te razy zgrzypły dźwierze i wychyliła się z nich głowa Toporowej Marty, Sobcakówny z pod Kopy z domu, Janowej żony, i gromki głos się ozwał:

— Wiés go! Smyku! Bedzies haw holofił po nocy? Spać!

— Krzyś... Dyj haw Krzyś — próbował marmrotać Topór.

— Krzyś nie Krzyś, nieg idzie spać! Pościelone ma w izbie.

Spać!

Ruszył się Topór z ławy, mruknął do Krzysia, a to dla salwowania honoru:

— Z babami narabiał nie bedzies! — i postąpił ku drzwiom chałupy, a Krzyś, odmruknąwszy po rozumie:

— Bajtoć! To nie hłopska rzecz! — gęśle pod pachę wziął i za nim poszedł w gościnę. Bo Krzyś na posiaady, w odwiedziny, do Toporów rad przychodzował i rad był zawsze witany, tak dla humoru, jak dla pięknego grania na gęślach, jako też, że nikt tak szczerze nie podziwiał, subtelnie i przyjemnie bogactw i dostatku Toporów nie chwalił, a komplementów obojgu nie zdołał prawić.

Ale po drugiej stronie domu, za bramą obory okolicznej, pobudowanej tak, że gdy się wrota wielkie wjazdowe zaparły, żadnych drzwi nazewnątrz, żadnego okna nie było, a stąd równie złemu człowiekowi, jak wilkowi i niedźwiedziowi niepodobnym był przystęp, na skamieniałym odłamie cisowego pniaka, co, jak starzy ludzie mówili, tysiąc lat miał mieć, również w gwiazdy pozierając, siedziały wnuczka Toporów, dziewiętnastoletnia Maryna, i jej krewniaczka, ciocana, cioteczna siostra, młodsza o rok Mrowcówna Teresa, także w Hrubem rodzona, co się do nich nazywało do Sikory z pod uspiska.

...Rzeźwa, jasna, złota woń szła we wczesne słońcem błyszczące rano z polanki pod Kopieńcami w świetlne, błękitne niebo. Iskrzyły się rosy na trawach, ziołach i kwiatach, kwiatach wonnych, białych i różowych, błyszczały na igłach rosnących wraz cisów, jodeł i świerków, na czarnych, podłużnych liściach wierzb górskich i zielonych, pierzastych liściach jarzębin, lśniły w słońcu. W przepysznej świeżości rannej stały obok siebie ogromne buki i szeroko-konare jawory, dostojne i majestatu twardej siły pełne, a obok bieleły brzozy białopienne i olsze splecione zielonemi liśćmi.

Młódź drzewna, w gęstą, zwitą spleć związana, miejscami zbite, zwarte krze, chuściaki, gaje, wrzeć się zdawały rozpędzoną mocą wzro-

stu i bujnią soków życiowych. Polanka otoczona była wałem drzewnym, koronami i pąkowie lasu.

Olbrzymie paprocie i łopuchy zarzuciły ją z kraju drzew, a wysokie szczawie i smukłe kiście i łodygi paśnej trawy ponad niską murawą zieleniły się jako podłoże i baldakimy kwiatów. Rosa szkliła świat, ziemię u nóg.

A wysoko lśniły się w słońcu obfite w żar przezroczyste, śniegiem jeszcze osypane, zawisłe w przestrzeni wysoko na zwiewnych mgłach sedynowych, nad ciemnymi lasami szafirowo-promienne skały, tak lekkie i lotne, jakby wiatrem niesione, w radosny niezmiar nieba wcięte. Całą polankę napełniało wesele i szczęście wiosennego rana. Nieujęty urok rozwiał się we fale promiennego powietrza.

Tysiące drozdów skalnych, okowiaków i mazaków śpiewało, których dźwięczny, cudowny, mocny gwizd rozdzwaniał las dookoła. Zdało się, że każda kropla rosy brzmi, każde drzewo, cicho stojące, dźwięczy. Śpiewające powietrze błękitniało nad ziemią.

Niezmierny, niezmacony spokój oprządlł uroczysko. Cicho, wolno z gęszczu wyszedł jelen i przekroczył przez polankę, unosząc olbrzymie, rosochate rogi w inną stronę gęstwiny.

Ze starą, poszczerbioną dziadkową kosą, prosto przymocowaną na drzewcu, wziętą od wszel-

kiego wypadku z domu, wsparta na niej, stała Maryna Toporówna i patrzyła w świat. Nie wyszła ona po cokolwiek, przez wiosnę szła z domu na tę polankę, na słonecznisko śródleśne. A kiedy ją owoniały ziemia i las, ośpiewały ptaki, oświećliło słońce i obłąkitniły góry hen skalne: wówczas z piersi jej wypłynęła pieśń:

Hej Janickowa krasa rada owce pasa,
we dnie po dolinie, w nocy przy dziewczynie...

I taką ją śpiewającą zdala usłyszał w gęstym lesie wojewodzie Jan Sieniawski, samotrzeć się na górskim, z Hiszpanji za nieprzeplacone pieniądze sprowadzonym niewielkim koniu snujący popod Tatry.

Błędnym rycerzem przeżywała go rodzina i znajomi, albowiem z pół-przyjacielem, pół-sługą swoim Sulnickim i hajdukiem Tomkiem tygodnie, a czasem miesiące całe wędrował on przez lasy i pola, dróg nie pytając, upolowaną zwierzyną się żywiąc, po zamkach pańskich, albo i po chłopskich stodołach na sianie nocując. Sześć psów gończych przy koniu szło, tak tresowanych, że żaden bez znaku nawet na widok zwierzka nie ruszył, prócz tego wyżyły dwa i cztery olbrzymie w Angliji zakupione dogi, któremi szczuć dzika było miło, a które i do obrony służyły. Albowiem w tem otoczeniu wojewodzie Sieniawski, półbóg z Sieniawy, jako go książę i hetmanówny

w Warszawie i w Krakowskiem zwały, przejechał świat od północnych bagien i jezior pruskich i litewskich, aż po Żelazne Bramy Dunaju, Dzikie Pola i goszczony przez grafów i fuerstów niemieckich aż po Ren.

Ale najraczej wędrował on przepastnemi puszciami Karpat, bijąc odyńce, walcząc z niedźwiedziami i szukając przygód miłosnych z urodziwemi młodyciami na Rusi, z bujnemi góralkami w Polsce. Oprócz tego od wczesnego chłopięstwa kochał się w wojewodziance Beacie Herburtównie, z którą się we właściwym czasie ożenić chciał.

Sierotą był i samodzielny panem tak olbrzymiej fortuny, iż ledwie ostrogska ordynacja ją przewyższała, a ni Zaslawscy, ni Radziwiłłowie, ni książę Jeremjasz Wiśniowiecki, któremu sam czynsz roczny z 39.610 poddanych zadnieprskich, nie licząc mnóstwa futorów, folwarków ekonomicznych i 423 młynów, nie licząc podatku z szynków, zboża, miodu, bydła, zwierzyny, ptactwa po jego dobrach: miljon dwakroć sto tysięcy złotych przynosił, nie byli bogatsi. Wydawało mu się też wszystko równo, jak mówili współcześni, i mało kogo za równego sobie z rodu poczytując, o książęcy tytuł, do czego go namawiano, dbać nie racząc, wszystko za dostępne i możliwe dla siebie miał.

Był Jan Hieronim Zygmunt August Sieniawski

wzrostu wysokiego, w barkach szeroki, ale w postaci smukły, o włosach ciemnych w loki z przyrodzenia krętych, nos miał orli, pod nim wąsy młode z polska puszczone, a oczy jasno-błękitne, świetnie promienne, kiedy chciał ciepłe i słodkie, kiedy chciał srogie i straszne, z przyrodzenia dumne i nieulekłe. Twarzy był jasnej, pociągłej.

Z Herburtówny zrodzony dwie miał tradycje w pochodzeniu: jedną, że Herburtowie, gdy marli, dla dzielności w orły się siwe przemieniali i orłami opuszczali świat ziemski; drugą, że gdy się rodzi Sieniawski, piorun w najwyższego dęba okolicy bił, aby go nie zacieniał korona.

W swej woli i potędze rosnący, ledwie się królowi Sieniawscy uchylali, a Jan Hieronim za kwiat rodu uważany, kwiatem się rodu swego znał.

Jednak obok buty, pychy i awanturniczości, melancholja go nachodziła nieraz, a wówczas nikogo przy sobie nie znosił. Jeśli był w zamku, ostrożnie się mu trzeba było na oczy pokazywać; jeśli na łowach, opuszczał myśliwych, nic nie powiedziawszy; jeśli na samotnej ze Sulnickim i pachółkiem wędrowce, znikał im z oczu z ogarami i czasem tydzień minął, nim się spotkali znowu. Tkwiły wprawdzie w olstrach przy jego siodle pistolety, rusznicy jednak nie brał, tylko łuk i strzały, niechybne w jego rękę, i jeśli ubił zwierzynę, to go huk nawet nie zdradził. Często

starając się dyskretnie pana śladami iść, widzieli go zdaleka Sulnicki i Tomek, jak na ogierze swoim hiszpańskim pomiędzy psami gdzie wysoko na połonince lub polance stał, czasem w noc księżycową, a czasem silny jego głos gdzie z lasu ich doleciał, gdy śpiewał:

„Wdzięcznej młodości niespełnione żale
kędyż po bystrym świecie mię nosicie...”

Gdy Sieniawski właśnie tak towarzyszków odbiegłszy, Marynę Toporzanekę o kosę wspartą z pomiędzy jodeł i smreków ujrzał, psyknął na psy i harapem im pogroził, poczem konia pocisnął i naprzód ruszył. Na skraju lasu się zatrzymał. Nie chciał on przerazić dziewczyny, ani spłoszyć, już zaś krew w nim wrzała i żądza doznania rozkoszy natychmiastowej pierś mu rozdęła.

W kieszeni od rajtuzów dłonią po czerwonych złotych, których tam garść nasypiana była, przesunął, kołpaczek letni poprawił i patrzył.

Po chwili z konia zeskoczył, psy na smycze wziął i do drzew poprzywiązywał i świsnąwszy nad niemi harapem, aby przestraszone nie rwały się za nim, nazad na konia wsiadł i z lasu powoli wyjechał.

Zdaleka kołpak zdjął i ku dziewczynie nim na powitanie, na dobrą wolę, powiewał, ale ta nie lękała się snąć, lecz jak była wsparta o sty-

lisko kosy, tak stała, z chustką żółtą na ramiona opadłą, w białej wyszywanej czerwono na ramionach koszuli, w niskim do pól piersi z błękitnej materji w srebrne naszywane kwiaty gorsecie, rozchylonym na przodzie i zasznutowanym amarantową tasiemką w ciemno-granatowej w niebiesko-biały deseń tłoczonej spódnicy. Włosy we dwa warkocze splecione po plecach aż poniżej tyłu spływały, stopy obute miała w białe onycki i w żółte kierpce, wełnianą czarną taśmą po płótnie kręto przypięte.

Dopiero bliżej podjeżdżając, jej przepysznej górskiej piękności zadziwił się Sieniawski, miała bowiem cudną jasną twarz nad białą szyją i wyniosłemi półkulami piersi, a biodra kryły niewypowiedziane ponęty. Z pod gęstych ciemno-blond brwi nisko zbiegłych, ogromne szafirowe oczy patrzyły śmiało i bystro.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał podjeżdżając Sieniawski.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała dziewczyna.

— Dzień dobry! Dobrze jadę? — wołał Sieniawski, świadomy fortelów.

— A ka? — zapytała dziewczyna.

Rozśmiał się Sieniawski i rzekł nieroztropnie:

— Przed siebie.

— Starajcie się o nos, bo hań las — odpowiedziała dziewczyna.

— Jabym tu nim wprzód rad uwadzić.

— Coby ino nie scyrniał!

— Twardo tak?

I najechał blisko koniem.

Ale dziewczyna zagrodziła drogę do siebie kosą wpoprzek.

Sieniawski zeskoczył z siodła i oszołomiony żądzą, zbliżając się, bełkotał, sam widocznie nie wiedząc, co gada:

— Tak twardo? Tak twardo?

Maryna nie cofała kroku, tylko przesunęła szybko kosisko w rękę, tak, że ostrze znalazło się wzdłuż naprzeciw Sieniawskiego.

Przystanął i roześmiał się głośno.

— Zacięłabyś mię? — zapytał z góralska.

— Zatnem.

— A wiesz, kto ja jestem?

— A to mi syćko jedność.

— Wiesz ty, że ja mam sześć tysięcy własnego wojska?

— Ale nie tu. A ja mam kose!

— I że mam więcej niż sześćdziesiąt tysięcy poddanych gospodarzy?

— Ale ja wolna, królewska!

Sieniawski sięgnął do kieszeni i wydobywszy dukata o kosę nim brzęknął.

— Słyszysz? — zapytał.

— No?

— Dukat.

— Ej ha! Raty! My haw złota nie widzieli! — zadrwiła Maryna.

— A skąd?

— A z haństela — i Maryna wskazała na Tatry, ku Węgrom.

— Zbójeckie?

— A pan co myśleli? Ze oń pytać pudziemé?

— Sto dukatów ci dam — rzekł.

— Zaco?

— Za ciebie — szepnął namiętnie.

— Za mnie? Ja niewarcem nic, abo świat.

— Jakto?

— Wto mnie nie miłuje, to mu nie stojem za nic, wto mnie miłował będzie, tok mu za świat cały.

— Zamek mam z pięciu wieżami — chcesz w nim mieszkać? — rwał Sieniawski słowa ze zduszonej piersi.

— Moje wieze wyse i więćel ik — wskazała ręką Tatry.

— Uzłocę cię, ubiorę w perły, w diamenty!

— Ej ha! — przydrwiła Maryna. — Kie ja do wody do potoku wlażem, to po mnie perłów, diamentów dość!

— Kochać cię będę! — krzyknął Sieniawski.

— Wiedzon pan, jako u nas powiadajom? Zakochał jom, jak sydło mróz.

— No to cię porwać każę, zuchwała dziewczko!

Maryna obejrzała się szybko, myśląc, że może

służbę ma ten pan za sobą i wymierzywszy sztych kosi prosto w piersi Sieniawskiego, rzekła:

— Gwiźnij!

Oczy jej przytem zaiskrzyły się tak, że można było uwierzyć, że uderzy.

— Jestem sam, nie mam nikogo — rzekł Sieniawski, w którym mimowoli zabiło serce.

— No to wiedz pon: u nas co Topór to topór!

— Jakżeto?

— Ja z Toporów mam ród, z Hrubego. Mój brat i nasy hłopi by mie pod ziemiom naśli!

Roześmiał się Sieniawski. Gdyby był miał pod ręką Sulnickiego i Tomka, byliby dziewczkę porwali, choćby dla przekonania się, jak to jej chłopi z Hrubego szukać będą i jakby wypadła wojna między Sieniawskim a Toporami. Ale sam tego wobec kosi uczynić nie mógł.

— Jeść mi się chce — rzekł, aby jakoś rozmowę dalszą umotywować.

— No to jedźcie do nas, do hałupy. Bo tu niémas nic.

— Ugościsz mię?

— Wdzięcznie.

— A gniewasz się o to, com ci mówił?

— Młodziście, toście głupi — rzekła Maryna, zamykając kwestję. — Pocie!

Ale gdy Sieniawski po ogary ruszył w gęstwę, aby je zabrać ze sobą, Maryna zawołała:

— O, to na nic! Ze psami! Boby ig naskie owcarskie potargały!

— No, to jakże? Psów zostawić nie mogę.

— To nic. Ostańcie haw przni nik, a ja haw jeść la was i la nik doniesem. Słóźcie watre za tela.

Zwróciła się i z kosą na ramieniu w las wstąpiła.

Ale Sieniawski ognia nie kładł, tylko popręgu koniowi popuścił i wędzidło podpiął, aby się paść mógł, poczem na trawie nawznak legł i o młodem, gibkiem, jędrnem ciele Maryny myślał.

Wpół godziny, albo mało co więcej, wypadła ona z lasu okrakiem oklep na koniu, w pełnym galopie, z workiem i koszyczkiem w jednej ręce, w drugiej z siekierą. Gnała z leśnej drogi polaną, co koń, niski, krępy kasztan mógł wyskoczyć.

— No a kaz watra? Coście haw robili? — wołała zdaleka.

— Kaz watra? Jest haw bób, fasola, spyрка, placek, la psów tys w rąbiaku. Cyście spali? Jakisi s was papeziak!

Sieniawski z trawy wstał, śmiejąc się, a Maryna zwłóczyć chróst na ogień zaczęła. Z pomocą jej siekiery i podróżnego toporka wojewodzica w mig olbrzymia watra buchnęła. Dobył Sieniawski wino i wódkę z troków, spyrkę nożykiem krajał i na patyku skwarzył; popijał. Za ten czas bób i fasola się gotowały.

Uczę miał smakowitą, w kłębach dymu, wśród iskier trzaskających z żywicy.

Gdy się posilił, Maryna z pustoty świeże smolne smreczki i jodelki ciąć zaczęła i na ogień je ciskać; skoczył i Sieniawski do tej uciechy. Wybudowali stos na czleka wysoki, że się здавало, iż płomień i dym w niebo bije.

Ogary podrażnione jak na pożar wyć zaczęły. Tak się poznali.

Minęło temu dwa lata, na samym początku wielkiego maju (czerwca).

Nikt o tem nie wiedział, tylko Teresa, powiernica.

I długo w noc czerwoną za chałupą siedząc, szeptały dziewczęta o „panu“, który się jeszcze tego roku po zimie nie pokazał, choć zawsze, gdy tylko śniegi stajały, przybywał w te strony.

— Wto wie? Moze sie ozenił? — mówiła Tereska.

— Jaby jego i jom zabięła! — odpowiedziała Maryna.

W izbie zaś, korzystając z tego, że gaździna, stara Marta, „Sobcockula“, zasnęła, a przytem trochę przygłucha była, stary Topór, któremu sypiać w nocy nie dawała, z Krzysiem na pościeli leżącym rozmawiał w ciemności.

— Śpi?

— Śpi.

— To wrodniak taki cujny, jak pies, telo ino,

co głuhawy, to moje babsko — szeptał Topór. — Twoja Byrka słisy?

Bo Krzyś od Byrcarzów z Gładkiej żonę miał.

— Słisy. Kiebyk ino napity du domu prziseł, hoćbyk jak kot pocihućku laz, wié!

— Wis, wis, wis? — zacudował się stary Topór. — I co robi?

— Je klnie. A case to i z pościele na pośród izby stusi!

— Wis, wis, wis! Stusi padas?

— Bo to wiécie noge w łydku ma jak barani zadek! Byrka i Byrka!

— He wiera! Taka cie wyonacy! Moja ta dziękować Panu Bogu nowysemu telo dobrze, co huda. Siéły juz takiej niéma.

— He, Byrka to se tak jyno pokracuje po izbie. A hoćbyk jako domarźniony w zimie bél, kie z lasa przyjade, to se jyno pod noge wlażem, to mi ciepło.

— Hej hłopce! Co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem: ciepło! — rzekł Topór z zazdrośnem znawstwem.

— Jak niedźwiedziowi pod wykrote.

— To, to, to! Wis! Kieby to Sobcockula taka béła! Ale to scypki!

— Dopiéroście se kwalili, co je huda.

— Hej, wiés, cłekowi biéda dogodzić. Toby fciał i hańto. Temu to wej padajom: niewierz

lawemu oku, zakiel sie prawe nie przypatrzy, a pote obul!

— Terazescie wej Janie dobrze padzieli! Wy macie glowe! — rzekl Krzys z wielbiacem przekonaniem.

— I cieplo ci hań?

— Cieplo.

— Pod nogom. Hm...

Zamyслиł sie.

— Symek — ozwal sie po chwili.

— Co?

— Ja se to tak uwazujem, aj uwazujem, co jakby beło, takby beło, zawdy tlusciejsa baba lepsa.

— Wy macie rozum! — rzekl Krzys, ale juz sennie.

Po cieple przyszło zimno, a potem znowu cieple dni, nieomal jak w Jakubskim miesiacu (lipcu) nastaly. Poczem pewnego popoludnia szybko od polnocy ku poludniowi ciemne chmurki zaczyly nad hale wybiegac, stawiac sie nad niemi i pierzyc i gluche jednotonne huczenie z gór poczęło sie toczyć wdół. Szedł halny wiatr.

Wzmagał on sie poza wierchami i runał wdół, goracy, nieodparty, nawalny, miecąc tumanami chmur i gęstą, rzesistą siekawicą. Uderzył z taką mocą, aż las poklonił, ustał i znowu runał. I tak z przerwami, już potem suchy, bez deszczu, oba-

lając jasienie i lipy przy chałupach, rwąc dranice z dachów, króćąc las, dał przez noc i dzień aż do południa, tłoczył z poza krzesanie kłęby chmur na przewyrt w doliny i krył w pomroce, w mroku chmur, Tatry. A gdy deszcz po nim, mocna wiosenna lić dwie doby przelała i słońce się ziskrzyło na niebie, gazdowie z pod Świnnicy i Giewontu uznali, że czas już ku Stawom statek wygnać, bo śniegi wygięły i Kopa Magóry radośnie zazieleśniała.

Było to w początku wielkiego maja.

Wzięto się więc do mycia i czyszczenia sprzętu szalaśnego, kotłów miedzianych, pucier, gielet, drewnianych naczyń z pałakiem do dojenia owiec, oboniek, płaskich okrągłych naczyń do zwozu mleka, skopców, czerpaków. Juhasi poczęli smażyć, w maśle koszule i strugać strzały, naprawiać kołczany; kto miał, to opatrywał rusznicę, lub pistolety na krzemień. Powszechny ruch, powszechna wesołość nastąpiła. Już do Toporów, do Sobka, wnuka Janowego, po trzeci raz przez gazdów z Hrubego, z Olczy, z Ustupu, od Bachledów, z pod Kopy, od Sobczaków, od Walczaków od Tatarów, od Gąsienic wybranego bacą, poczęli się schodzić juhasi dawniejsi i świeżo nastali. Były rady, narady, nauki, a osobliwie udzielał ich stary Kret z Ustupu, juhas odwieczny, którego nikt młodym nieznał i któremu mogło być nawet wyżej stu lat.

Na wtorek trzy dni przed Zielonemi Świątkami naznaczył baca dzień miesania. Ze wszystkich osiedli w pobliżu Hrubego zegnano owce na polankę przed domem Topora Jasicy, gdzie czekali już na nie baca Sobek i juhasi. Tam każdy gazda oddawał swoje stadko, a potem zmieszano wszystkie owce razem do wielkiego zagrodzenia, koszaru. Jeden juhas wziął koronkę w rękę, drugi z zagrody owce puszczał, licząc, a gdy krzyknął z orawska: desat — juhas paciorek różańcowy przesunął. Owiec było tysiąc dwieście, które bacy gazdowie na lato powierzali.

Osobno stały krowy z pasterkami i młode woły z wolarzami, do szafasu należącymi. Szafas nadawał nazwę tylko pastwisku owiec. Stało i kilkanaście koni, mających lato spędzić na hali.

Z mrocznej szarej mgły wyłaniały się wierchy, bystro słońcem złocone, w pełnem obłoków niebie tonące. Liljowo-sine i fioletowe były te obłoki, które wiatr po szafirowem niebie gnał. Bo wiatr dał silny w to rano wygnania na halę.

Wierchy jakoby się ścigały z obłokami, to miały je przed sobą, to ginęły w nich; to znowu ponad szczytami skłębił się tuman kolorowy, a czasem rozbił się w strzępy i rozleciał właśnie w chwili, kiedy blask słońca ugadzał, jak gdyby złotawy ryś wpadł między stado barwistych cietrzewi, sinogarlic i dzikich gołębi na kępach podkrywańskich.

Mnóstwo bab, chłopów, dzieci zebrało się żegnać juhasów, pasterki i swój dobytek. Matki całowały córki, ojcowie upominali synów, ażeby trzody warowali przed wilkiem i niedźwiedziem, bacy słuchali, ze zbójnikami, jakby przyszli w odwiedziny, byli grzeczni, co polecali tem więcej, że niejeden z nich sam zamłodu „za buczki“ chadzał.

Stara Baganta dawała dziewczkom ziela od uroku, od porobiska, tak dla człowieka jedno, jak dla bydłęcia drugie, nieodbyte, gdy się rozdeptemu świeżą trawą bydłęciu spałek, kawałek drewna w pysk kładzie, a boki gniecie. Brali i juhasi ziela, srebrne pieniążki dając, choć klęte naszyjniki na szyjach nosili.

Ten ów na owce, na statek swój spoglądał, baby krowy po karkach głaskały, osobliwie cięła przez zimę podrosłe; smutno się im z niemi było rozstawać.

O pogodzie możliwej radzono, lato przepowiadano mokre zrazu, potem aż do jesieni suche i upalne.

Owiec zegnanych do kupy pilnowały już psy wielkie, kudłate, o wilczych mordach, białe, z obrożami kolczatemi na karkach, i obstawili je sobą juhasi zbrojni w ciupagi z brzęczącemi mosiężnemi kółkami na tylcu toporzyska, w kije opalonce na czarno, śperulce, oblaki bukowe, sękowce ze smreka, siekańce nasadzone krzemie-

niami, buńkosie, maczugi obite mosiężnymi kółkami, wesołe brzękiem przy pochodzie, straszące owce, a straszne jako broń.

Na głowach mieli małe kapelusiki czarne, okrągłe, płytkie, z wąskim skrzydełkiem, wysmarowane tłuszczem, z kostkami z morskich muszelek białych naszytymi na rzemyk, lub z mosiężnymi łańcuszkami, owitemi dokoła dla oporu na wiatr; ten i ów w kołpaku baranym w kształt perki, kostkami, paciorkami, koralikami oplecionym, włosy wymaszczone; na ramiona, od uszu dwie kiecki, huncfuty, we warkoczyki plecione, w paciorki i koraliki zdobne, na szyi brembulce, naszyjniki z kamyków, kulek i kawałków mosiądzu; koszula spięta blachą mosiężną z łańcuszkami, trzpieniem przekłuta, od pasa do pachy pas z pięciu żółtymi mosiężnymi klamrami, z ciemnej brązowej skóry, nabijany świecącymi mosiężnymi i srebrnymi guzikami, za pasem noże z trzema bulkami z mosiądzu na trzonku, u poniektórego pistolet. Koszula w maśle usmażona, czarna, połyskliwa, z rękawami rozszerzonymi ku pięści, że gdy chłop stanął, do kolan opadały kutasikami zdobne, krótka, że ledwie z pod pasa nad portkami rąbkiem wystawała, a często, gęsto chłop gołym boki i brzuchem błysnął. Portki białe, ze zaszczepekami niebieskimi i czerwonymi z włóczki, wąskie, obcisłe, w onycki wpuszczone i rzemieniem okręcone wpół łydki, na stopie

kerpiec z jednego kawałka skóry. Przez ramie torby juhaskie z wełny czarnej i białej plecione, frombijami (frendzlami) zdobne, u niektórego rusznica na krzemień, ale zrzadka, zresztą łuki długie i kołczany strzał pełne, zręcznie z łyka smrekowego plecione.

Ten i ów zaś to kobza skórzana, to piszczałka z wierzbowego drzewa, to fujera, lub trombita długa niezmiernie, czasem na półtora chłopca zdłużyć, rozszerzona u wylotu; tę osobliwie wo-larze miewać lubili. Chłopy same rosłe, smukłe, gdzie niegdzie olbrzym dwie stopy nad sążeń, to znowu chłop, jak pniak, zebrany w sobie, krótki, a z plecami jak ława. Na ramionach ser-daki, guńki białe krótkie, nijako nie wyszywane; ten i ów kożuch na plecy odział.

Przy juhasach młode chłopcy, gońcy, czyli ho-nielnicy, uczniowie na jahusów.

Zaś pasterki miały koszule białe, cyfrowane czerwoną lub czarną grubą nicią na ramionach, spodnice ciemne, wytłaczane w białe kropki, zapaski różowe; nogi w kierpcach tylko nie rzemie-niami, ale czarnymi grubemi wełnianemi sznu-rami, nawłokami, owite, na ramionach chustki, zapaski, stare guńki ojcowe, stare kożuchy ma-cyne. Mało która piechotę, ale okrakiem na koniu na drewnianem siodle, na niem przewieszone obońki, garnki, skopce, rajtoki, worki z mąką. Tu znowu koń objuczony kotłami żelaznymi do

gotowania strawy, sprzętem juhaskim, przyodziewą męską, dziewecką, zapasami we workach. Przytroczona do siodła tu i owdzie rąbana krótka z szerokim obuchem, wygodniejsza od ciupagi do domowej roboty. Dziewki, co pie szo szły, na długim lejc u konie trzymały.

Dziewki bujne, urodne, piersiste i zasadziste, aż się spodnica jak bruzda między kępami dzieliła. A twarze rozmaite. Jedne podłużne, ciemnowłose, czarnookie; inne o włosach jasnych, oczach niebieskich, krótkie i kwadratowe z mocno wystającemi kośćmi policzkowemi; nosy najgęściej orle, niezadługie, wspaniałe, o wąskich nozdrzach. A tak u chłopów, jak u bab twarze śmiałe, przytomne, myślące, pełne energji i ochoty.

Ruch był. Juhasi oganiali owce do kierdela, a raz po raz który z radości, że już w hale idzie, pokrzyknął, gwizdnął, lub ciupagę zberczącą mo siądzem wysoko ponad głowę rzucił, że zawar czała młynćem w powietrzu i w rękę mu z brzę kotem spadała.

Stał baca, Sobek, Topór, od Jasiców Toporów, Janów wnęk, Marynin brat, jak buk pomiędzy gromadą. Ruszać już trzeba było, bo słońce wychodziło coraz wyżej.

Wzrostu nie był nadludzkiego, jak kilku olbrzymów, ale imponująco głową ogół przenosił, barków potężnych, a ciemna jego wąska, orla

twarz z nosem zgiętym ku wąskim ustom, harda, miała zuchwały wyraz, jakby z magnatów i rycerzy pochodził. Podobne do Maryninych szafirowe oczy z pod ciemnych włosów z ciemnej twarzy świeciły jak ognie.

Bacą był już trzeci rok na wspólnych halach pod Kopą Królowej i przy Stawach, choć dopiero dwadzieścia pięć lat sobie liczył, gdyż rozumem, odwagą, męstwem, siłą, a przytem rzetelnością wszystkich przewyższał. Starzy chłopci na bacostwo go wprowadzili, a starsi juhasi chętnie słuchali i poważali.

— Łop! — mówił patrząc nań do Krzysia dziadek Jan, który przed izbą stał.

— Łop! — odpowiedział Krzyś.

— Taki był i nieboscyk ociec, kieby bół zył.

— Ja takiego hłopa jyno raz w Lutpowie widział, kiek do Budzyna na robote seł. Kamieniami młyńskimi się bawił — rzekł Krzyś chcąc pochlebić.

— Ej ha? — zadziwił się Jasica Topór z niedowierzaniem. — Kamieniami młyńskimi? Czy zaś nie śklis, Symuś dziecko?

— Naozaist! Jeden kamień podrucował, a drugi hytał.

— Cie! Cie! Cie! — dziwił się Topór.

Sobek się „kamieniami młyńskimi“ nie bawił, ale pięścią najokrutniejszego buhaja głużył i na plecy zarzucić mógł, był zaś przytem napo-

dziw lekki w tańcu i skoku i szybki w biegu, co przy takiej sile ludzi zdumiewało. Jeden tylko Janosik Nędza Litmanowski go przewyższał, ale z Janosikiem się nikt nie równał.

— No cas! — rzekł popatrzywszy na stado uporządkowane i na słońce i niebo.

I skinąwszy na starego Franka Buńdę z Kotelnicy, który mu kropidło podał i kotlik miedziany ze święconą wodą, co po nią aż do Szaflar biegał, bo jej bliżej nigdzie nie było, podstawił: szedł przed nim dookoła owiec, kropiąc je i modląc się o błogosławieństwo i zachowanie od nieszczęścia, poczem, na czoło pochodu wyszedłszy, krzyż ciupagą przed stadem na drodze uczynił i do góry ją ostrzem wzniósł.

Błysnęła stal pod słońce, a to był znak.

— Ostajcie z Bogiem! — krzyknął Sobek do pozostających.

— Boże prowadź! Zegnaj Panbóg! Z Pane Boge! — odpowiedziały mu setki głosów.

Zadęli juhasi i wolarze we fujery i trombity, zabręczeli na kobzach, gwizdnęli na piszczałkach, zadźwiczeli na gęslach, zaberczały metalowe kółka przy ciupagach i obijane metalowemi obrączkami maczugi; huknęli ci, co nie grali, krzyknęły na krowy pasterki i klasnęły w bicz wolarze. Szczeknęły psy i zatętniał tupot racic owczych i bydlęcych i tętent kopyt końskich. Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście zagrały

tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód. I pochód ruszył. Konno i pieszo otoczone stada, wiedzione przez baczę, naprzód w olbrzymiej wydłużonej gromadzie, potem krowy, potem woły, poczęły się sunąć drogą przez Toporową polanę. A wraz rozległo się wyskanie, wysoki krzyk, pasterek i młodych gońców i kilkanaście głosów, przy jęczeniu fujer i trombit, rzępoleniu gęśli i piszczalkach, przy basowaniu kórbz zawiodło:

Hej baco nas, baco nas, podź s nami na sałas,
popod białe skole na ślebodnom wole!
Hej baco nas, baco nas, powiedź ze nas hore,
bo my uzdajali w turnickak obore!
Hej baco nas, baco nas, kielo baranów mas,
kielo mas owiecek, kielo mas dziéwecek?

Rozłamał się chór — mężczyźni zaśpiewali:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam mléka,
my ci przywiedziemé z pod Krzywania byka!

Zaśpiewali mężczyźni, a dziewczki odpowiedziały:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam syra,
co jo cie niebedem do rania budziéla!

I znowu chłopci:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj zyntyce,
my ci wybieremé uherskie piwnice!

I dziewczki:

Hej baco nas, baco nas, podzwól zatańcować,
co ci dam, to ci dam — nie będziesz żałować!

I znowu chórem wszyscy:

Hej w polany, w polany — kosiar murowany,
murowany kosiar — baca jako cysar!...

Huuahahauuu!

Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście grały
tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód.

Stary Topór Jasica w szerokim pasie i jego
żona chuda, wysoka Sobcackula i mały Krzyś
w kapeluszu na bakier od krzywych nieco w ko-
lanach od siebie nogach i setki chłopów, bab
i dzieci stali na polanie i patrzyli, jak się po-
chód posuwał przez polanę ku lasowi, skręcał
za drogą na lewo i prawo, aż się pierwsze owce
zaczęły w lesie zanurzać.

— Idom — rzekł Topór.

— Idom — powtórzyła Sobcackula.

— Idom — zakończył Krzyś.

I wszyscy troje z rozrzewnieniem, miłością
i tęsknicą za pochodem patrzyli. Stary Topór
dwadzieścia lat, aż do śmierci ojca, kiedy mu
już bogactwo odziedziczone czasu nie zоста-
wiało, bacą bywał. Co się przy owcach naużył,
napanował, nażył!... Stara Sobcackula tam była
dziewką cudną i ponętą — tam przytulił ją ku
sobie w ciemną noc Staszek Wraj z Cichego,
dawno zmarły — tam bolenej rozkoszy zaznała,

przy Stawach, pierwszy raz w męskim uścisku leżąca... Jeszcze Topora Jasicy nie znała. Ale on później rad był, bo kiedy dziewczkę parobcy radzi widzieli, to znać, że musiała być warta tego i że godną brał. Stary Krzyś co się nagrał tam, naśpiewał, przez trzy lata za gońca, przez dzieśięć lat za juhasa u Wawrzka Gąsienicy z pod Kopy służąc, nim go potem w świat poniosło...

Tam przy Stawach najradośniejsze godziny przeżyli. Był to jakby raj jakiś zaczarowany. Dziećmi śniło się „o Stawach“, w juhasów bawiono, brzyski, wzgórza to były turnie Świnicy, Kościelca, Granatów, Charnaś kudłaty musiał udawać niedźwiedzia, Zbójko wilką, woda w cebrzyku to był staw, ów staw czarny, wielki, posępny, nieprzeniknionej głębi, pustemi trawami i kosodrzewiną orosły, głuchemi turniami otoczony, którego jedyny ruch życia to była fala lekko marszczona, jedyny głos huczący w turniach grom, lub lecące z pod nieba hurkocące glazy mrozem odcięte. Ów staw wiekuiście tajemny, jako król wieńcem jeziorok osnuty, w Pańszczycy, w Toporywym lesie, za Kościelcami pod Świnicą; jak okiem Zmarzłym Stawem w Kozie Turnie i w Granat patrzący, król, który snąć chyba wichrem ponad szczyty z równemi sobie wodami w Pięciu Stawach rozmawiał. Bo tak się, podług Krzysia, niosła mowa jezior, od jednych ku drugim, w Piarzystą Dolinę przez

Mury Luptowskie, w Rybie i Oko Morskie ponad niem, ponad Miedziane i dalej het w Hińczowy Staw za Hruby Wierch Mięguszewiecki i het, het aż w słoneczne, leśne, zielonobrzegie nad jasną równią luptowską płoso Szczyrbskie, wodę nad złote zboża wyniosłą.

— Idom — mówił stary Topór.

— Idom — powtarzali stara Sobcackula i stary Krzyś.

Oni zaś szli, juhasi, pasterki, trzody, konie z hukaniem, brzękiem, muzyką, śpiewem i cudowną grą tysięcy dzwonków. Rzucane w powietrze i chwytane w rękę migotały ciupagi. Tonęły w lesie.

Waż jakoby olbrzymi, łuskami migocąc i brzęmiąc, wsuwał się w nieprzejrzany, wieczny las.

Idom...

Aż wchłonał ich głęboki mrok drzew.

Z lasu zaś jeszcze biegła juhaska pieśń:

Hej idom se owiecki, idom se barany,
hej idzie se za niemi juhas porubany!
Hej porubane rence, porubane plecy,
hej wtoze ig porubał? Przi dziewczynie w nocy!
Hej dziewczyno kohana, z tysiąca wybrana,
hej pięknie tobie hodzić we krwi po kolana!
Hej ginieni skróś tobie gazdowscy synowie,
hej jaze cie pierunem zatrzaśli bogowie!...

Z coraz dalsza, z coraz dalsza słyhać było

jęczenie dalekonośnych trombit i zbyrkotanie spiżowych turlików i kłapacy.

— Idom — rzekł stary Topór, uczynił za pochodem ręką krzyż w powietrzu, schylił się, urwał garść trawy z pod nóg i rzucił w stronę lasu, szepcąc:

— Bóg daj! Bóg daj! Bóg daj! Dadźbóg, wielgomożny boze! Panie dobrego losu!

Powoli wznosił się pochód lasem, aż rozwarła się przed nim Toporowa polanka, ta sama, na której pierwszy raz Maryna spotkała się z wojewodzicem Sieniawskim. Przepromienne słońce lało się na trawę i pachnące młode liście drzew, wycinane w rozmaity, śliczny kształt, nabrzmiałe soczystą zielonością i tak wesołe, że, jak mówił stary Kret, hnet byś rzók, jize świergotać zażnom, jako sikory leśne. Nawet ciemne igły smreków, jodeł i cisów świetliły się pogodnie.

— Straśnie piękne to rano! — rzekł juhas Franek Marduła z Nad Potoka do Sobka, blisko którego na przodzie szedł.

— O bo piękne! Dobrze zwiastuje na całe lato.

— Kieby jyno Panjezus jasne dni, a ciémne noce darzył—eh! niek cie co praśnie! pięć wołów z Cihěj Doliny nase!

— Bedom nam ta i luptowscy juhasi prógować kraść.

— Poprógujemy sie!

— Baca w Cihej sam ten, co i łoni, Andryś Bleha. Pedział Sablikowi tak: powiédźcie Polakom za Liljowém, ize mam na to lato štýrok takik juhasów napytanyk, co ś niémi samo pięć cały sałas Stawiański ozpierem!

— Ej ha! Telo sie weń tężył?

— Trza sie bedzie warować. Straśnie pono piękne, bakiesiste owce ma mieć Andryś z jakiegosi dworu z pod Hradku na lato dane. Wysy pięć sto.

— Ej ha! Bedzie w cém brakować!

Tak rozmawiali baca i jego towarzysz, Franek Marduła z Nad Potoka, najlepszy juhas, tylko że doić za niego trzeba było, bo nie umiał ani nie chciał, a i paść często, bo go raz po raz na hali nie było. Albowiem był on wielki złodziej, (zwłaszcza owiec i byków ze sąsiednich hal), zbójnik, tancerz, pijak, gładysz, bitnik i kochanek.

Sytka Mardułowie tacy: co u drugiego, to jego, co u tobie słowo, to u nik pięść, a co u kogo łyzka, to Mardułowi dziewka.

Wiodła droga jeszcze lasem kęs pod górę, a potem się z niej Sobek wziął na prawo, w pérci.

Tam się owce poczęły wydłużać w nieskończony sznur, bo było wąsko, po boku się ledwie juhas pod smreczki przeciskał, albo też w stadzie pomiędzy owcami z psem szedł. Gęstwa była straszna, drzewo nigdy nie cięte, chraścią,

smędlakami zarośnięte i zatrzepane. Tysiąc dwieście owiec wyciągnęło się w biały i czarny sznur, kozy w nim, a za nimi jedna za drugą szły krowy i woły wielki rogi między gęstwiną przedzierały. Od turlika pierwszej owcy do kłapaca ostatniego wołu dźwięczał i dzwonił spiż na ogromnej śródleśnej, błędnej w zakręty przestrzeni.

Bystrzej i bystrzej pod górę, między stary, choć coraz niższy las, gdzie się już wszelkie inne drzewo traciło, a tylko smreki coraz wyłącznie zostawały, koło potoku, co z Czarne go Stawu szedł, podbijać się począł pochód ku wawozowi poza Kopą Królową, ku Królowej Hali, od Maćka Króla, co tam pierwszy pasać zaczął, nazwanej. Aż sięgnięto kosodrzewiny i po kilku godzinach cienia leśnego ujrzano słońce i wierchy i ostry górski powiew przypłynął.

Naówczas taka radość owładła serce Sobka Topora z Hrubego, że zabrzęczał nabijaną ciupagą swoją nad głową i wzniósł głos:

Hej idom se owiecki tom stawiańskom pyrciom!

drugi wiersz dziesiątki męskich, kobiecych i chłopięcych głosów rzuciły na las:

Hej juhasa niewidać, ino zwonki zbyrcom!

i powtórzyły raz drugi, jak zwykle.

A Franek Mardula przeskoczył stopami przez własne toporzysko, prawą ręką za siekierę, lewą za koniec drzewa ujęte, i rozdarł się, aż zgiełcało po hali:

Ani jo nie juhas, ani jo nie baca,
sama mi dziewczyna owiecek nawraco! Huuuhauuu!

— Is, is, Mardule matura biere! — szepnęły z uśmiechem pasterki.

Zaś Mardula jał skakać przez toporzysko wtył i naprzód, potem puścił je jedną ręką i przez wyciągnięte ręce kozła na darni przewrócił i podskoczywszy pięć razy kierpce w powietrzu skrzyżował, nim na ziemię spadł.

— Is, is, Mardula lace — zaśmiały się dziewczęta.

Wówczas Mardula się rozpędził i wyższe od siebie huściaki susem przesadził, iż się zdał jak cap skalny, co za kozą w listopadzie goni.

Sobek zasię dobył pistoletu z za pasa i strzelił. Huknęły za nim i inne rusznice i pistolety, za-dęto znów we fujery i kobzy, które już nad lasem były, a kto z lasu z instrumentem wychodził, dąć zaczynał, tak, że muzyka rosła i wzmagala się od momentu do momentu.

Wkraczano w dziedzinę szczęścia.

Wtem: is! is! icie go! icie go! — ozwały się krzyki.

Czy zasnął w cieple i zbudziły go dopiero

strzały i hałasy, czy telo śmiały, a ciekawy był: olbrzymi czarny niedźwiedź z karbu pod Królową patrzył. Stał tak zachylony za ubocz, że mu tylko łeb z karkiem i piersiami i przednie łapy widać było, a cień gruby padał odeń na murawę zieloną.

Przekrzywił łeb, jak gdyby lepiej nastawionemi uszami się przysłuchać i lepiej małemi ślepami się przypatrzeć chciał i widniał w górze.

— Hej! Jak to se hań hyrnie stoi! — krzyknął któryś z juhasów.

— Erezie! — krzyknął inny, niby jak na owce, chcąc go zegnać.

— Nie byłbyś ty telo durny, kieby haw Sablik s nami bél! — zawołał trzeci.

Już jednak sześć, czy siedm srogich psów z okrutnem ujadaniem pod górę się po upłazie puściło. Niedźwiedź nie czekał, tylko zawrócił się i znikł za upłazem.

— He! To obieś! Myślał, co se tu będzie wirhował, jako będzie fciał! — ozwał się Michna, wolarz.

— Wójt halom! Sołtys stawiański! — szydzili juhasi.

Jeszcze raz się niedźwiedź wyżej pokazał na wysiecysku, między kosodrzewiną ku Magórze i znikł.

— Ale ze je hytry! — wołano. — Hipce jak jelen. Stracił sie psie drewno w pustkak!...

Psy przywołane wróciły, a pochód cały posuwał się po stokach Magóry po pochyłej darni, aż znowu na péc między kosodrzewiną i ogromnemi głazami, co ku stawiańskiemu owczemu szałasowi i krowim szopom wiodła, wstąpił. Po między wyrosłą kosodrzewiną owce poczęły ginąć z widoku. Sobek, po przodku idąc, wybujała od jesieni tu i owdzie gałęź zamachem ciupagi odtrącał i wiódł, aż się szałas i szopy ukazały.

Dolina, dolina, na dolinie szałas,
cemuz mie dziewcyno do niego nie wołos?...

śpiewał Mardula, tańcząc w pochodzie „drobnego“ i wywijając ciupagą nad głową.

Wkroczo no w dziedzinę szczęścia.

Poruniło się pięknie, gdzie okiem spojrzeć, zielono, tyko na turniach śniegu płaty olbrzymie, w żlebach, gdzie do cienia, hrubo go jeszcze na chłopa zwyżć.

Jasne białe mgielki kołysały się nad wierchami.

Zmęczone bydło poczęło się rozglądać, rozpoznawać, przypominać sobie, wdychać, chylić łby, wachać bystremi nozdrzami, poszczypywać i skubać trawę koło szałas i szop.

Wiatry halne, a osobliwie ten wielki, co z końca grudnia (z początku listopada) wiał, porobiły szkody, postrząsały kamienie z dachów, a śniegi wielkie, co w zimie, w jagwencie przed

gody (w grudniu przed Bożem Narodzeniem) i potem drugi raz w godniku (styczniu) ku końcu miesiąca spadły, zgmiotły szopy dwie krówskie do imentu. Trzeba było naprawiać, ale to się duchem przy telik chłopach i wszelkim sprzecie potrzebnym z domu zabranym robiło. Osobliwie olbrzymi Bartek Gałajda, wolarz, i Franek Marduła z Nad Potoka cud dokazowali, bo Gałajda na dachy kamienie wykladał, coby trzech ludzie mieli co dźwignąć, a Marduła tak obuchem dzwonił, co się widziało, że w pięciu kuźniach kują. A co raz to se pokrzyknął: Hoba hop!

Koszary jęto stare naprawiać, nowe stawiać, strągi, miejsca do dojenia owiec, w nich grodzić. Ożyła hala.

Zapłonęła watra w szałasie bacowskim; gruby zawatarnik, kłat drzewa ztyłu watry tlał, a smolne drzewo raz po raz dorzucane, trzaskało iskrami i miły, znany, gryzący, gęsty dym szalaśny napelnił wnętrze. Na jadwidze, długim kiju, uwieszonej u żerdzi poprzecznej, pod dachem szałas z dwu stron przymocowanej, wisiał kocieł, a w nim warzyła się kluska z owsianej mąki, bo jeszcze nie dojono. Filarowego Józka Bronka od Cajki ją gotowała. Na odwiecerz, kiedy owce zegnano do koszarów, poszedł baca do szałas po żarzące węgle i wysypawszy węgle, ziela zbierane na Matkę Boską Zielną i żywicę ze smreków, uzbieraną w lesie w łubek z kory smreko-

wej, wrócił z tem ku owcom, zdjął kapelusz, przeżegnał się i kadząc od zachodu ku wschodowi trzy razy obszedł je w milczeniu, z powagą wielką.

Po trzecim razie wysypał węgle na ziemię przed strągą, korą przykrył i ukląkł, a za nim poklękali na jedno kolano juhasi, w oknach, otworach zagrodowych, stojący i odmówili pacierze do Opatrzności, aby się owce dobrze pasły i doły i aby im rzucone przez złych ludzi uroki, porobiska, nie szkodziły, osobliwie przeciw zwarogłowianiu, skolerzeniu, chorobie skurłata, czyli wymienia, i tracelinie, gubieniu się w górach.

Gdy się pomodlili, powstał Sobek i krzyknął na gońców: Goń! Ci zegnali owce ku oknom, a juhasi wzięli się do dojenja i wypuszczali po jednej ze strągi. Gdy podojono, gońcy zawołali: Dość! Nieg bedzie pokfalony Jezus Hrystus! Juhasi przeżegnali się i chuchnąwszy w ręce ruszyli ku szałasowi za Sobkiem bacą. Ten uchylił skrzypiących drzwi i przestąpiwszy próg pozdrowił pustkę: „Nieg bedzie pokfalony Jezus Hrystus!“

Potem nad naczyniem, w którem się mleko na żentycę przygotowywało, Sobek, zakasawszy szerokie rękawy koszuli, rozciągnął czystą, cieniutką lnianą satę, położył na środku jej mały, gruby woskowy krzyżyk święcony i drobnej ce-

tyny, gałązek smrekowych, aby mleko szło z giellet bez brudu i poświęcone.

Gdy zaś i krowy wydojone do szóp zaparto, woły, konie i capy polegały na trawie, psy koło nich: zeszli się pasterze do bacowskiego szałas.

Było tam towarzystwo przebrane, chłop znał do chłopu sposób, wiedział, co drugi chłop wart, a i dziewczki były nie płone, bo każda obuchem wilka ubić mogła.

Byli tam oprócz bacy owczarze zawołani, Michał Jesionek Wyćwicki ze Suchego Ogrojca, Wojtek Brzega Gdowin, bo matkę wdowę miał, Drzewiany, albo Drzewiarz, bo rad z drzewa strugował, Jędrzek Mocarny ze Starej Polany, Staszek Bulcyk z Cichego, Byrnas, stary ale jary, byli baraniarze dwaj, Pieter Topór od Gacka i Józek Pycior, dwaj wolarze Paweł Michna Sawicki, co go nazywano Dąbrowskim, i Bartek Gałajda, ku temu gońców młodych kilku; było pasterek siedm, a pośród nich Maryna Toporówna i jej siostra cioteczna Teresa, Jadwisia i jej siostra Zośka od Kohutów, która, jedyna z pośród dziewczek, wdziękiem Franka Mardulowym się oparła, skutkiem czego przeniósł on się z afektami do Jadwisi, ku wiecznej pomście uzdajawszy śpiewankę, (bo i to umiał), wysoce złośliwą i zgóry mierzącą:

Bolały mie nozki hodzący do Zośki,
a kie do Jadwisie, zagoiły mi sie!

Tam oni koło watry siedzieli w dymie dusznym, wędząc w nim gibkie, mocne ciała i pasterskie odzienie.

Na hali zbyrkotały dzwonki, to tu, to tam, to owcze, to wole, to z krówskich szóp, ale nieczęsto, bo stace było zmęczone drogą, więc spoczywało spokojnie.

Pies czasem zaszczekał. Było cicho.

Gwarzyli — musieli się na nowo w halę wżyć.

Opowiadał Wojtek Gdowin, co mu matka mówiła, jako mądry na mądrego trafił. Jechali furmani drogą i strasznie się im chciało pić, bo było prawie właśnie gorkie, gorące, południe, a juhas owce pasł na upłazie.

Pyta się furman furmana: piłybys?

— Jybyś pił, kiebyś miał co!

Furman zatrzymał konie, podstawił putnię pod dyszel, sjon huzdę z konia, zawiesił na dyszlu i wzion doić mléko z dyszla z tej huzdy.

Do razu owce staneny na upłazku i zbecały. He! Skocął juhas! Zrucił cuhe ze siebie, prasnon na ziem, kie zacnie bić po niej toporzyske!

Ustał ten doić, co doił z uzdy, ba coż, kie trza było do juhasa jeszcze w pytanie, żeby ustał bić, bo się widziało, iże kości w grzibiecie furmanowi wypukajom. Tak wej mądry na mądrego trefił. Wiedział furman owcom porobić, coż, kie i ten juhas wybity chłop był; znał się bronić...

Tak opowiadał.

Potem, kiedy gwiazdy na niebo wyszły, nocny wietrzyk w kosodrzewinie i w poniższej smreczynie zaszeleścił, poszły pasterki ku krowom na szopy, na strych, spać, a juhasi, baraniarze, wolarze ku koszarom i stadu. Pozapalowali warty godne, od wilka, niedźwiedzia i rysia, wolarze w trombity zadęli raz, drugi, trzeci na odstraszenie i gwieździsta cisza od czasu do czasu przedźwiękla dzwonkiem spiżowym, ogarnęła stawiańską halę.

Nazajutrz baca kierdele podzielił: owce, dojki i kozy z najlepszymi juhasami osobno, na najlepsze pastwiska, na Halę Królową, ku Magórze, pod Liljowe, za Zielone, ku Mechom: jarki, jagnięta barany, capy osobno w Kościelec, w Żółtą Turnię; krowy poszły nad stawki Kuklaty, Długi i inne pod Pośrednią i Skrajnią, woły w kosodrzewinę i w las nad potokiem. Konie spętano przy szałasie, aby się nie porozchodziły daleko i wilkom łupem nie stały.

Sam baca warzył zentycę, koło oszczypków się krzątał.

Zaczęło się doroczne życie pasterskie.

Na trzeci dzień po przybyciu na szałas, przyszli gazdowie, właściciele owiec, zdołu do miru. Poszli z juhasami owce paść, a na południe, wróciwszy, sami w strągach owce do swoich naczyń doili. Po wydojeniu każdy do naczynia cieński

patyk wetknął i dokąd mleko sięgało, zakarbował, a podług tej miary drugi patyk naznaczył i taki zamirek bacy oddał. Podług obliczenia z tą miarą sér miał baca na końcu lata gaździe odważyć. Niektórzy zaraz po południu, niektórzy przenocowali i nazajutrz rano odeszli.

Już teraz przez trzy miesiące blisko nikt się na hali nie spodziewał gości, chyba jeden Marduła, który nigdy nie był pewien, gdziekolwiekby był, czy za nim jaka dziewczka z płacem i lamen-tem albo z miłości, albo, co go najbardziej cieszyło, z zazdrości nie przyleci.

Niemало się też zdziwił Sobek, cytający owce przy kosarze na schyłku słońca, gdy spostrzegł, iż z wielkiem ujadaniem psy się ku pérci przychodniej rzuciły. Rozległ się strzał — jeden, drugi i trzeci.

— Zbójnicy, cy co? — pomyślał Sobek, ale zbójnicy zazwyczaj z głośną muzyką na hale szli.

Pobiegli gońcy i psy przywołali i niedługo ukazało się czterech ludzi, z których tylko jeden po pańsku ubrany nie był Sobkowi znajomy. Na czele on szedł, czekaniem się wspierając, obok postępował sołtys z Czarne-go Dunajca, ogromnej postaci, siwobrody i siwowłosy Stanisław Łętowski, za nimi zaś torby płóciennie na plecach dźwigali dwaj chłopci z Ustupu, Stasel Wojtek z synem. Wszyscy zbrojni byli, jak do podróży w górach.

Zdaleka się sołtys Łętowski baranim kołpakiem Sobkowi pokłonił. Znać go poznał, że baca.

Łętowskiego Sobek widział tylko parę razy w życiu, ale jego znano na całym Podtatrzu. On był jakoby księciem góralszczyzny marszałkiem zwany, bo wszelakich buntów i rozruchów naczelnikiem bywał. Lat temu dwadzieścia trzy, w 1628 r., zasłynął on szeroko, kiedy jakoby hetman stanął na czele poruseństwa przeciw starości nowotarskiemu, Mikołajowi Komorowskiemu, ciemieżcy ludu, na którego sołtysi Czarnego Dunajca chłopów pospolitem ruszeniem pozwali. „Marszałkował“ on wtedy ze sławą wielką i wielką już wówczas swoją powagę potężnie wzniósł i utrwalił.

Zbójnicy zaś, sam nawet Jano Nędza Litmanowski z Nędzowego Gronika ku Kościeliskom, harnaś nad harnasie, dolin i dziedzin strach, „oreł halny“, „ryś leśny“ i „stryła z hmur“, najzuchwalszy z zuchwałych, najbutniejszy z butnych, najhonorniejszy z honornych, Łętowskiego szanował i „straśnie miał za co“, tak dla chwały, jak znaczenia, mądrości i bogactwa.

— Nieg będzie pofalony! — zawołał Łętowski, nablizywszy się.

— Na wieki wieków. Jamen! Witajcie! — odkrzyknął Sobek.

A gdy sobie ręce wstrząsnęli, rzekł Łętowski do pana:

— Sobek Topór, baca.

Poczem z godnością głowę wznosząc, wskazał na przybyłego:

— Pan Kostka, pułkownik królewski.

Sobek odkrył głowę.

Ale Kostka żywo przysunął się ku niemu, rękę z kapeluszem ku głowie mu podźwignął, dłoń potem uściśnął i rzekł:

— Cieszę się, że was poznaję, mój baco. Siła o was słyszę, kędy się popod Tatry obróćę. Widzę, że was nie przechwalono.

— Młody som jest, ale przy siele i przy huci — rzekł Łętowski.

Sobek zaś, rad i z grzeczności i z komplementu pułkownika, ręką wskazał szalas, mówiąc:

— Prosem, nieg racom do sałasa.

— Sobek — począł odrazu Łętowski — my haw przisli do was nie po próżnicy. Pan majam rezolucyjam królewskam. Król kazuje na nogi wstanonć i panów bić. Nie kce, jyno coby nad krajem był sam, a w kraju hłopi. Pan pułkownik sam jest wysłani poruseństwo zrobić. Uniwersały, ozkazy królewskie majam, z podstarościm nowotarskim Wiktorynem Zdanowskim, jak go znacie, i z panem rektorem Martinusem Radockim, bakałarzem we skole w Pcimiu sam jest porozumieni, ja ś niemi, od Dónajca, z Witowa, z Hohołowa, z Długopola, z Ludźmirza, z Cérwienego, z Koniówki, z Marusyny, ka jaka wieś

hłopi za mną, a wy zaś tu Podhalanów, a osobliwie swojną rodzinę zwieść macie. Bo co Topór to topór, a wyście nad Toporami głowa! Mardulów, Galiców, Chowańców, Łojasów z Poronina, Gąsieniców, Siecków, Walcaków, Sobczaków z pod Kopy, Gadejów, Matejów, Mocarnyk, Stopków, Pitoniów z Polan trza ruszyć!

— Rusy sie — odpowiedział Sobek.

— No, nie rzókek panu? — zwrócił się Łętowski ku Kostce z zadowoleniem. — Ja ludzi znam. Jak ja stary i oni młody zawołamy, hyr sie stanie po sytkik dziedzinak dookoła — hłopy staną, jak jeden! Za sytkie krziwdy, ucisk, swąwole, ciemięstwo, łupiestwo i ozbójstwo ślaheckie sie mścić! Mnie jyno o to sło, cobyście wy, Sobek, stanęni przy nas!

Rad był Sobek niewymownie, gdy przed samym pułkownikiem i posłem królewskim sam marszałek Łętowski tak go wysoce cennym mianował i z pewnego radosnego zawstydzienia ozwał się:

— Ono by wartało z Jane Nędzom Litmanowskim sie porozumić.

— E! — odpowiedział Łętowski. — Jano hłop bucny, ale powiher! A i złodziej strasecny! Jakby my kraść śli — niémas nadeń, ale tu o większe i inkse rzecy idzie. Jego byś nie utrzymał, boby piérsom noc, jynoby sie na doliny znizył, na ra-

bunek poleciał. Pote go może pozwać, kie o rabunek będzie sło.

— O! Jak jyno o to idzie, to mnie go tu nie trza sukać! — roześmiał się Sobek. — Jest haw u mnie na sałasie Franek Mardulów, po Wojtkowi po Kulowym, możecie znali, z Cihego z Nad Potoka?

— Ten, co miał pedzieć księdzu z miasta: jaby Panu Bogu gwiazdy krad, kiebyk skrzydła miał? Słysałem. Bo to séroko gadali, jako se z księdzem ukwalował.

— Ten, ten, ten.

— Już chłopi het po górach poruszeni — rzekł Kostka. — Koło Grybowa, Sącza, Myślenic, Limanowy. Wiecie, baco, że wojsko i szlachta w obozie daleko przy królu na wojnie kozackiej?

— I wybranieccy hłopi hań pośli.

— Uda sie łatwo — wojska niema.

— Jaby wolał, jak sie mam bić, cobyk sie miał s kiém — odparł Sobek.

— Czekaście jeszcze! To dopiero początek! — rzekł Kostka, bystre i zuchwałe rzucając spojrzenie.

W takiej rozmowie szli do szałas, gdzie ich już juhasi i pasterki z ciekawością oczekiwali.

.

Na Liljowe, na przełęcz wysoką, wybiegła od krów Maryna. W głowie jej huczało, w sercu

wrzało. Ostawiła krowy swoje przy innych pasterkach, co tam pasły, sama szła jak koza po czerwieniatach tam piargach, aż się wydarła na górę.

Pełna mgieł złocistych od słońca była pod nią dolina od strony węgierskiej. Mgły suche i lotne kotłowały się i kłębiły, unoszone rannym, wartkim wichrem, nisko w podolu. Czasem oddarł się płat mgły i podbity rozstrzępiał się po upłazach i uboczach wielkich, wyniosłych kop Gołych Wierchów, których zieleń spokojną za mącał.

Z głębin, z pod mgły słyhać było spiżaki, dzwonki spiżowe wołów liptowskich, co się tam pasły.

Z biczem w rękę wybiegła Maryna na przełęcz, sama nie wiedząc kiedy.

Noc całą w szalasie przesiedziała, słuchająca mów mężów, co przybyli. Siedzieli na stołkach i na ławach brat jej Sobek, stary Kret i stary Byrnas, Marduła, Gałajda i inni juhasi, co starsi, Łętowski i ów pan młody w kusej czarnej katanie. On mówił najwięcej. Mówił o strasznych krzywdach chłopskich, o strasznej doli chłopskiej tam, niżej, po wsiach dólskich, gdzie z krwawego potu chłopów panowie żyją, gdzie pod batogami pańskimi chłopowie konają, gdzie się im najświętszych, odwiecznych praw i przywilejów przeczy, własność rabuje, pańszczyzną dusi, go-

rzej psa, gorzej bydłęcia chłopą traktuje, gdzie ucisk idzie w parze z poniewierką, katowanie mężczyzn z gwałtem kobiet, gdzie szlachcic ślinę swoją wyżej ceni nad godność chłopą, utarcie nosa nad jego życie.

A wśród tych nazwisk, które najczęściej na usta Kostki wracały, najgęściej brzmiało nazwisko Sieniawskich z Sieniawy, wojewodzica, który w chłopskie brzuchy i babskie tyły podkówkami kopał, aż odciski podkówek znać było.

Wrzało i huczało w sercu Maryny.

Był ten złoty panicz katem, krwiopijcą, zdziercą i okrutnikiem...

Był potworą, widmem, na której wspomnienie ludzie się żegnali...

Był gwałcicielem dziewcząt nieletnich, porywaczem matek i żon do swoich komnat zamkowych, skąd je po nocy napastnej rozpusty rankiem biczami płaczące wypędzać kazał...

Był ohydą, która dziewczęta, matki i żony do naga hajdukom przed oczyma swych gości rozbierać kazała...

I tego ona kochała?

Krew burzyła się w żyłach Maryny i na biczysku zatrzasły się jej palce...

Słuchała całą noc, sama jedna z kobiet, nie odzywając się nic, w kącie szalasu o ścianę plecami oparta.

Do pomsty, do powstania, do kary i zrzu-

cenia pęt, do otrząśnięcia z siebie szlacheckiego jarzma wołał ten człowiek, którego pułkownikiem królewskim tytułowano. Tłumaczył, że król, zmuszony przez szlachtę, na wojnę przeciw chłopom ruskim ruszył, hetmana kozackiego Chmielnickiego jako wybawiciela ruskich chłopów malował, sam się takim wybawicielem w Polsce mianując. Mówił, że szlachta przeciw królowi, który ludowi dobrze życzy, zbuntować się zamyśla, pokazywał pergaminy i opowiadał, że król w nich chłopów do obrony swej osoby i do dźwignięcia się przeciw szlachcie pozywa. Wymieniał miejsca, gdzie chłopi, a osobliwie be-skidowi górale już powstali, i nazwiska dowódców ogłaszał. Raczył winem, które za nim na grzbiecie we worku Stasel ze synem przynieśli i na zdrowie chłopskiej wolności w ręce marszałka Łętowskiego i Sobka pił.

Mieszało się w głowie podczas słuchania Marynie, myśli w niej wirem latały, jak woda w stawie wiruje, kiedy w nią wiatr halny uderzy.

Bolało ją serce, piekły usta, piekła krew...

I wstali wszyscy i śmierć panom i szlachcicom na krzyż bacowski święcony z wosku, po którym się mleko cedziło przez płótno, przysięgali, a Sobek, jej brat, wzburzony, śmierć od topora największemu okrutnikowi, wojewodzie Sieniawskiemu, poprzysiął.

Dziki zaś Mardula tak się wściekł, że, z ławy

się porwawszy, we wiatrę równemi nogami skoczył, aż ogień pod dach buchnął, czerwono go jaskrawiąc i luną obzegując.

I wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego, tylko stary Kret patrzył w płomień i milczał.

W pierś chwytała Maryna wiatr z Wierchci-chej Doliny po uboczy się ku niej pnący i chwytała w usta mgłę, co ją ku niej niósł, aż omgliło ją całą i świat jej, a ona światu znikła.

Wtem na obcą jakąś, liptowską, czy orawską nutę, zahuczało poniżej we mgle dwoma głosami śpiewane:

E dy se Janosik twoje bile ruce
budom otwierały kupieckie truchlice,
kupieckie truchlice i kralewskie składy
budzies se odmykał Janosicku młady!...

Pieśń, górną, dumnie śpiewana przez jeden stary głos i drugi męski, huczała we mgle.

Janosicku polski, niebój sie nicego,
madziarskik hajduków, Zomku orawskiego,
nie bój, sie zupana pod rysiom bekiesom,
Janosicku polski, tobie wiatry niesom!...

We mgle, poniżej, wpoprzek uboczy, nad przepaściami, trzymając wzajem zarzucone ręce na swoje karki, szli, snąć przynapici, stary Sablik i Janosik Nędza Litmanowski, z rusznicami na plecach. Snąć skądś z Cichej, albo z Ciemno-smreczyńskiej Doliny czy z polowania, czy z ja-

kiejś może dalszej wędrówki z Węgier przybywali. We mgle zaś za nimi ujrzała Maryna trzech chłopów z torbami na grzbietach, zbrojnych również w strzelby. Widać Jano Nędza ze zbójckiej wyprawy na Węgry wracał.

Zataczali się obaj ze Sablikiem, ale dzierżyli się na nogach mocno. I nie dostrzegłszy Maryny we mgle, przeszli dalej po uboczu i zginęli z widoku. Pewnie ku Kondratowej Hali do białodunajeckich juhasów i Pawlikowskiego sołtysa bacy wstąpić zmierzali.

Nędza Litmanowski, właściciela wielu polan pod Hrubym Reglem, wielu gruntów i licznego stada, syn, zbójnik nad zbójniki i hetman zbójcki, bogato chowany, tak, że nigdy nie twarzo nie robił i białemi rękami jaśniał, skąd pieśń o jego białych „rucach“ powstała, rabuś tak butny, że ze swemi towarzyszami: Tomkiem Gadeją Stopką od Cajki, Wojtkiem Stopką Mateją i Wojtkiem Stopką Mocarnym bodas co nie kradł, ale na kupieckie „truchlice“ po miastach i królewskie prawdziwe składy się porywał: znajomy był Marynie, bo od czasu do czasu szalas stawiański nawiedzał. Rad go gościł Sobek i obaj się bardzo zaco mieli, obaj bogaci, mocni, i odważni, a Franek Marduła nie wiedział, gdzie go posadzić najdostojniej. Byłby też do jego bandy na życie i śmierć przystał, ale się go Nędza bał, bo go zbyt ku dziewczkom ciągnęło, a taki nigdy

nie jest pewny. Niejeden już „dobry“ i najlepszy chłop skroś tego i sam zginął i towarzysze przezeń szwankowali.

A chodził Nędza Janosik Litmanowski w czapce twardej, wysokiej, czerwonej ze złotymi lampasami, z kutasem ze sznurków złotych po prawej stronie, w koszuli czerwonym jedwabiem haftowanej, ze złotą spiną z łańcuszkami pod szyją, złote klamry do pasa dał zrobić, było ich pięć, i portki zawsze białe i nowe czerwoną i szafirową nicią grubo w kółka i piękne desenie koło szafirowej zasceпки w pięcioro wykwintnie złożonej cyfrować sobie po boku kazał, a od parzenic aż w oczy biło. Mnóstwo na nim łańcuszków, blach i guzików dygotało, że gdy szedł, jako dzwon dźwięczał.

— Kie tego djabli bedom brali — mawiał stary Krzyś — to bedzie Lucyper myślał, że wóz do piekła z miedzianemi garkami wiezom, telo bedzie zbyrku.

Minęli Marynę poniżej po mglistem stoczysku góry nad przepaściami idący Janosik z Sablikiem, a ona wbijała oczy w tego hetmana, jakby się w nim całe góry i cały lud zbiegały. Oni ginęli w mgle, aż się z niej tylko dobył górny mocny zaśpiew:

Ozwijaj sie bućku syćko po malućku,
po ciémnej dolinie, po ciémnym wirsycku!

Ozwijaj się bućku syćko po malućku,
jak się ty ozwinies, syćkik nas przykryjes.
Oźlęgoj się głosie syroko po lesie,
oźlęgoj się wkoło pokieli mi wesolo!...

śpiewali, zataczając się we mgle po upłazie, stary
Sablik i białorucy hetman zbójecki złotem ma-
lowany.

.
Kiedy się Kostka na cetynie w szalasie obu-
dził, dzień już świecił i sołtysa Łętowskiego,
który obok spał, dawno już niebyć musiało.
Członki Kostkę bolały, częścią, że nieprzywykły
był on do górskich dróg, które przewędrował,
częścią od twardego legowiska. Przeciągnął się,
nawznak położył, rękę pod głowę podścielił i roz-
pamiętywać począł.

Pędzącemu w noc, z luną folwarku Herburto-
wego nad głową, z bólem i targającym wstydem
w sercu, gościńcem myślenickim: żądza tylko
zemsty i wściekłość pobudkę grała. Chłopi się
buntowali przeciw szlachcie, zatem przeciw wro-
gowi jego Sieniawskiemu, przeciw Herburtowi,
przeciw Sulnickiemu, przeciw kasztelanowi
Kostce, który go listem pognębił, biegł więc ku
chłopom, aby przy ich pomocy, korzystając z ich
pomocy, korzystając z ich zemsty, samemu się
mścić, ich ręką ciosem za własną ranę zapłacić.
Dusiły go gniew, nienawiść, zawiść, gdy pędził.
Ale od tego czasu zmieniło się w nim sumienie.

Oko w oko strasznej, nieludzkiej krzywdzie mieszczaństwa i chłopów, straszному nieludzkemu łotróstwu i zbrodni stanął. Owe łupiestwa, grabieże i gwałty, owe zabójstwa, pasy darte z żywego ciała, na pal wtłaczania, owe tortury nie szlacheica, ale nikczemnej, podlej bestji niegodne, które tacy dwaj Stadniccy chłopom zadawali, jeden przez gniew na panią Opalińską ręce jej poddanym odpiłowywać każąc, drugi „dla widoku“ całe wsie paląc; owo panowanie bezkarnej, rozpasanej, srogiej, jak zwierzęta głupiej i hańbą okrywającej siebie, a do upadku wiodącej kraj szlachty, której „epoką“ było ścięcie w Krakowie czterech niewinnych rajców miejskich za to, że płatnerz, w twarz przez pana Tenczyńskiego uderzony, odwetu na nim poszukał, a po zamordowaniu magnata w kościele franciszkanów przez tłum mieszczan, zbiegł, a której ideałem był książę Jeremjasz Wiśniowiecki; żołnierz dzielny i napodziw bohaterski, lecz na lud tyran krwawy i publicznego dobra we Lwowie jawny na swój prywatny użytek zaborca: wszystko to serce w Kostce wstrząsać poczęło, odkąd się temu żywemu oczyma przypatrywać, żywymi tego rękami dotykać począł. Czuł własną swoją krzywdę niknącą pod nawałą tej krzywdy ludzkiej, roztapiającą się w niej bez śladu niemal, jak kropla wody w morze wpuszczona. Biegł ku Myślenicom siebie mścić, a nim z Myślenic do

Nowego Targu się dostał, już się czuł chłopów mścicielem.

I grały mu w uszach przysłowie szlachty: „ktoby chłopą zabił, jakoby psa zabił“ i słowa o szlachcie stryja króla Jana Kazimierza nad wyraz obelżywe, pełne goryczy, wstrętu i zniechęcenia.

Począł rozumieć nieszczęśliwego stryja, a sam królewską krew w sobie czując, dębem się przeciw szlachcie podnosił i w duszy jedno czuł: że w tym narodzie król, mieszczenie i chłopci sojusz przeciw szlachcie zawrzeć byli powinni.

Z Chmielnickim porozumiał się. Znał on Chmielnickiego nicwartość moralną, ale i potęgę i genjusz wojenny i przedewszystkiem znaczenie jego nazwiska dla chłopów. Chmielnicki to był bohater, który się porwał ocalić uciemiężony lud. Chmielnickiego imię było dla nieszczęsnych poddańczych chłopów symbolem wybawienia, wolności — czem był istotnie, nie wiedzieli.

W głowie Kostki wichrzyły się plany. Gdy uniwersały Chmielnickiego, wzywające chłopów do powstania, otrzymał: Rakoczego z Węgier pozwać postanowił, przy jego pomocy Kraków zająć, a potem dalej iść, aż po mieszczańsko-chłopską koronę w Warszawie...

Traf chciał, iż uciekwszy od Herburtów i w góry zapadłszy, w Pcimiu koło Myślenic popasał,

gdzie się z rektorem Martinusem Radockim, anabaptystą, od 40 lat nauczycielem pocimskiej szkoły zetknął.

Srogi to był wróg szlachty, a jeszcze większy duchowieństwa, któremu zawinił, gdyż sam nigdyś teologję studjował i przez dziewczkę, potem żonę swoją, odpadł. Naukę wielką miał i znaczenie u chłopów ogromne i mir, wrogiem ciemństwa wszelakiego, wyznawcą Chrystusowego pokoju i bogomódlcą o mesjasza ludu będąc.

Ten w Kostce zesłannika niebios ujrzawszy, bieглоść mając w sztuce i naśladowaniu pisma, dla świętej sprawy oswobodzenia chłopów z pod katowni szlacheckiej na wzór przypowiednich listów królewskich, wydanych rok przedtem niejakiemu Napierskiemu pułkownikowi na zaciągi dla Wiśniowieckiego, gdy się w swaty do Multan wybierał, Kostce przypowiednie listy na jego imię wydał i pieczęciami je z poprzednich listów zdjętemi zatwierdził, pułkownika tytuł i nazwisko przysadzając.

Chudy i wysoki ten starzec, z twardemi żyłami w obnażonej długiej szyi, nim fałszerstwo to uczynił, długo przed krzyżem Chrystusa krzyżem leżał i noc całą potem się modlił, czysty zamiar Bogu ofiarowując.

On Kostce podstarościego Zdanowskiego w Nowym Targu, jako człowieka największe zaufanie wśród sołtysów mającego, wskazał, wska-

zując zarazem wodza całej góralszczyzny, „marszałka“ Łętowskiego, z którym porozumienie kum Zdanowski ułatwić mógł.

Staruszek pan Wiktoryn Zdanowski w małym domku przy końcu ulicy Ludzimierskiej blisko boru miejskiego od lat sześćdziesięciu mieszkał, od lat trzydziestu był podstarościm, handlował serem, masłem, kapustą, grochem i bobem, z księżmi w okolicy w kości, karty i warcaby grywał, wino im, śliwki i gruszki przez furmanów z Ludzimirza, Krauszowa i Długopola sprowadzał i rozsyłał, ze wszystkimi sołtysami, czarnodunajeczkimi, białodunajeczkimi, białczyńskimi, chochołowskimi i z pod Gorców w najprzyjaźniejszej zażyłości pozostawał, ich samych i ich żony leczył, dzieci im do chrztu trzymywał.

Znali go wszyscy i szanowali, a gdy mały, w lecie już nawet w kożuszkach sieraczkowym, modą węgierską skrojonym, z szarym barankiem na kołnierzu, zgarbiony i na czekaniku wsparty na rynek nowotarski wyszedł, kapelusz za kapeluszem i czapka za czapką się uchylały, a sam ksiądz dziekan proboszcz od św. Anny na gorzałeczkę do niego często gęsto zachodził.

Podstarości, wielce pobożny, uproszonym i ochotnym opiekunem miejskiego bractwa kościelnego św. Anny patronki był i do kościoła codzień rano z długim różańcem chadzał, nad

którym zawsze w połowie zasnął, tak, iż go baby budziły:

— Stajcie, panie podstarości, bo jus cas!

— Albo co? — pytał się, budząc.

— Bo jus nos kolanom dzień dobry pedział!

A mieszczanie nowotarscy zawsze z tego jednakową uciechę mieli.

Siedział podstarości w kożuszk w jednej ze swych dwu izbiniek wieczorem w sam dzień Feliksa Kapucyna i kabałę kładł, dwie sroki chowane, klójące się z kawką na ramie otwartego okna, bo dzień był ciepły, od ogródka mając, gdy dziewczka pułkownika mu królewskiego zameldowała.

— Co? Kto? He? — słyszał Kostka zapytania niezbyt chętne z za drzwi.

— Jakisik pon. Pado, co je pułkownik królewski.

— Jak powiadasz?

— Pułkownik.

— Pułkownik?

— Ze dyć mówiem: pułkownik! — krzyczy dziewczka zniecierpliwiona.

— Pułkownik! Pułkownik! Ciekawym jakiby tu mógł być, kiedy wszyscy na wojnie, nawet pan starosta czorsztyński Platemberg żydów na zamku zostawiwszy, pojechał. Pułkownik! Ciele! Może całownik, he co, nie pułkownik? Ciele jedno! Proś!

Kostka wszedł.

Sam bez sługi, w zakurzonem ubraniu, śnać, że nie z konnej podróży, niepokaźny z twarzy i postawy, Kostka podejrzliwe i niedowierzające spojrzenie staruszka spotkał. Nie czekając też żywo listy przez Radockiego sfałszowane z zana-drza wyjął i wręczając je podstarościemu rzekł:

— Aleksander Lew Kostka Napierski ze Sternberku, pułkownik królewski, mający rozkaz po odejściu pospolitego ruszenia werbować lud na obronę granic województwa krakowskiego przeciwko Rakoczemu.

Gdy staruszek nazwisko Kostka usłyszał i pieczęć królewską ujrzał, zachłysnął się ze wzruszenia, a potem listy obok na stół położywszy i ręce z rozczapierzonymi palcami wzniosłszy, przed Kostką stojąc bąkał:

— O rany Boskie! Kostka Świętego Stanisława, patrona czystości, potomek, senatorów syn, króla najjaśniejszego pułkownik — do mnie... Rany Chrystusowe... Do mnie? Cóż ja? Krzesło...

I z nieoczekiwanem impetem nagle z góralska wrzasnął:

— Jagniś! Krzesło dla pana pułkownika! Polewkę z wina! Z cynamonem! Wartko! Ka Agata? Półgęska przynieść! W ocymieniu!

Obaczył się odrazu Kostka, z kim ma do czynienia, i chyląc się Zdanowskiemu ku ramienio-

wi i w rękaw sieraczkowego kożuszka go całując, rzekł:

— Wielki to honor dla mnie pierwszą autoritatem nie tylko Nowego Targu, ale i całego Podhala poznać. Pewnym jest powodzenia, z czem przybywam, jeżeli tylko wasza miłość, mości panie podstarości, względów mi swych i pomocy nie umkniesz.

Przy dymiącej polewce z cynamonem, przy półgęsku, szynce i kołaczku z serem żwawo szła pogawędka. Kostka się, nim pierwszą łyżkę do gęby wziął, nie tylko przeżegnał, ale westchnąwszy i krótką modlitewkę po łacinie szeptem, dla siebie widocznie, nie dla pozorów, odmówił, czem ufność do się w staruszku od zamachu wzbudził. A gdy się pokrzepili i Agnieszka miód stuletni, prezentem od proboszcza z Odrowąża, księdza Misia, przysłany, na stole postawiła, humor rozjaśnił twarze.

Ujrzawszy Kostka gitarę na ścianie, prosił staruszkę, by zagrała, czemu podstarości nie odmówił, owszem, brzęknąwszy w struny nie tylko grać, ale i śpiewać począł. Jedną pieśń o bitwie pod Płowcami o Florjanie Szarym, drugą o Halszce z Ostroga od kniazia Dymitra Sanguszki porwanej prześpiewawszy, uśmiechnął się filuternie i podreptał ku drzwiom, czy dobrze zamknięte, uderzył dwa akordy i dyszkantem zanucił:

Justysiu, Justysiu, czyli śpisz sama?
Nie, mości rycerzu, za ścianą mama!

A wtem Kostka nutę podjął i barytonem podłożył:

Justysiu, Justysiu, cicho to będzie,
że ani kogutek ciszej na grzędzie!

Ucieszył się staruszek, głowę na ramię przechylił, papuciem, w które obuty był, przytupnął i dalej wiódł:

Ah, mości rycerzu, Pan Bóg nad nami!
Kogutek, gdy kocha, bije skrzydłami!
Nie skarży się kurka na takie bicie,
puść jeno, obaczysz mój aksamicie!

wtórował Kostka, Zdanowski zaś coraz cichszemi akordami zakończył.

Ale gdy skończył, nieco zawstydzony na pułkownika spojrzał i ozwał się jakby usprawiedliwiając:

— Stara to piosnka dworska — jeszcze ją pono za króla Zygmunta Starego skomponowano. Nieskromna nieco.

— Nic to, ojciec szanowny! — przerwał mu Kostka. — I święci apostołowie w Kanie Galilejskiej świeckimi piosenkami pewnie się zabawiali.

Staruszek Kostki już nie puścił, mieszkać go do siebie zaprosił, karmił, poił, czem mógł raczył, gościem się swoim pysznił i całe mienie

swoje i osobę swoją gotów był oddać na jego usługi. Po sołtysa marszałka Łętowskiego posłał, a Kostka krótko z nim na uboczu podczas poobiedniej drzemki Zdanowskiego pogadawszy, prawdę mu poco i z czem przybył, powiedział, że chce w imieniu króla chłopów nie na obronę granic przeciw kozakom, ale przeciw ciemnącej chłopów i buntującej się przeciw królowi szlachcie werbować i jako drugi Chmielnicki mścicielem i obrońcą ludu roboczego stać się.

Uchylił Łętowski staroświeckiego kołpaka na nazwisko Kostki od Świętego Stanisława, uchylił na tytuł pułkownika, uchylił na imię króla, ale najchętniej uchylił na wspomnienie Chmielnickiego.

— E, to to to mości panie pułkowniku — rzekł. — To wej cłek! Kieby u nas taki bół! Taki hetman hłopski na Małampolskom!...

Marszałek Łękowski ciupagą swoją, którą wszyscy znali, z orłem, rytym przez kowala Stanika ze Starego Bystrego na prawej stronie, z niedźwiedzią głową na lewej i krzyżem Pańskim na obuchu, gońcem po sołtysach i wójtach w Nowotarszczyźnie z zawołaniem swoim posłał, a Kostka na sfalszowanych listach królewskich wsparty, mandaty odnośne mając w ręku, werbował otwarcie w krakowskiem województwie i aż na Śląsk werbowników posyłał, glejty

bezpieczeństwa, gdy trzeba było, po polsku i po niemiecku pisać.

Milczał Kostka o swem pochodzeniu, nie chcący podejrzeń żadnych, ani hałasu tem wzniecać, wszędzie się jako poramiennik królewski przedstawiając. Przedewszystkiem trzeba było ludzi sobie oddanych, sobie obowiązanych i na wszystko dla niego gotowych straceńców znaleźć, a tu mu traf szczęśliwy dopomógł. Właśnie gdy u podstarościego Zdanowskiego bawił i dostatecznie się już wieść o jego bytności, dostojenstwach i zamiarach po Nowym Targu rozkrzewiła, miano tam tracić dwóch znakomitych dowódców zbójceckich, Cepca i Sawkę, z których każdy po kilkudziesięciu ludzi pod komendą miał i podobną sławą, jak Nędza Litmanowski na Podhalu, w dalszym Beskidzie się cieszył.

Zdarzyło się im nieszczęśliwie, iż gdy się we dwóch od band swych oddzieliwszy, na przespiegi lasem Charkłowskim snuli, pachółkowie miejscy przez żyda podprowadzeni ich dopadli, powrozami związali i do miasta przywiedli.

Tam, na rynku przed ratuszem, za wiele łupiestw i morderstw rajcy miejscy ściąć ich kazali i już kat, Melchjor Handzel, z niemieckich osadników, wielki, ostry, często używany swój miecz w gotowości trzymał, a lby zbójców na pniaku jodłowym położone być miały, gdy nagle konikiem Zdanowskiego z ulicy Ludzimierskiej

Kostka wraz z podstarościm na rynek wjechał i prosto przed ratusz, na zgromadzonych ludzi pokrzykując gnał.

— Pułkownik, pułkownik jedzie! — rozległo się po rynku.

Wstrzymał się kat, czekał burmistrz z rajcami, aby znakomitemu szlachcicowi, Świętych Pańskich potomkowi, króla pana pułkownikowi satysfakcji łbów odlatujących widoku nie umknąć, gdy, ku niemałemu ich zdumieniu, Kostka na nogi się podniósłszy, gromko krzyknął:

— Szlachetni, sławetni, uczciwi, wiernie mili przyjaciele, panowie rajcy nowotarscy i ty sławetny, nowotarski burmistrzu! W imieniu najjaśniejszego króla jegomości, pułkownikiem i wysłańcem jego będący, dla dwóch tych ludzi skazanych, iż najjaśniejszemu królowi życie ludzkie tej godziny ani jedno nie nazbyt, łaski i darowania proszę, abym pod przysięgą wiernej służby do królewskiego wojska ich zaciągnął, gdzie pierś nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej nastawiając, nieczne wczoraj zmażą, godne dzisiaj, błogosławione jutro zasłużyć będą mogli!

Zdumiał się burmistrz, Mikołaj Rayski, rzeźnik z pradziada, zdumieli rajcowie miejscy.

Nie śmieli jednak życzeniu pułkownika i poramiennika królewskiego się sprzeciwiać i egzekucji na rozkaz burmistrza kat zaniechał. Miecz tylko goły, według starego zwyczaju, obu przed

oczyma przewlókł i siarki grudkę sporą na miseczce zapaliwszy, płonąca im pod nos przytknął, mówiąc: Pamiętaj, jak to pachnie! Pamiętaj, jak to pachnie!

Wystąpił potem przedni mówca miejski, kuśnierz, Izydor Bełtowski, i długimi i wzniosłemi słowy grzeszników życiu cnotliwemu przywraçał, poczem na znak burmistrza pęta im zdjęto i pułkownikowi ich darowano, ku któremu do kolan z płaczem wdzięczności przypadli. Kostka przyjąć im do siebie kazał, a porozmawiawszy, gdy ich widział na śmierć i życie sobie oddanymi, polecił im wcielić do band swych wszystkich junaków, którzy ku niemu przystawali, a nadto prawdę im odkrył i przysłany sobie uniwersał Chmielnickiego do rozpowszechnienia we właściwym czasie im wręczył.

A uniwersał ten brzmiał:

„Bohdan Chmielnicki wiadomo czynię wszystkim poddanym Korony polskiej, iż za szczęściem i błogosławieństwem od Pana Boga nam danem, pod moc i władzę naszą podbiwszy państwa tejże Korony polskiej, uwolnić was wszystkich obiecuję od ciężarów i robocizny. Będziecie tylko na samych czynszach, we wszelakich wolnościach, tak jako szlachta byli, tylko żebyście nam wiary tak jako ruscy nasi poddani, dotrzymali; panów swoich żebyście opuszczali, przeciw nim

powstawali i do nas się jako w największych grupach gromadzili“.

Kości były rzucone. Kostka był winien zdrady względem kraju i względem króla. Gdyby uniwersał taki przychywcono i Kostce rozposzechnianie go udowodniono: winien był śmierci.

Na całą Rzeczpospolitą, na wszystko, co się Polską nazywało samo i komu Polską nazywać kazało: się porwał. Musiał albo zwyciężyć, albo umrzeć.

A gdy w niespokojną noc swoją, po odprawieniu Cepca i Sawki z uniwersałem Chmielnickiego, w domku podstarościego nowotarskiego przy ulicy Ludzimierskiej rozmyślał, im głębiej w rzecz wnikać usiłował, tem jaśniej widział, że tu walka nietylko na żelazo, ale i na dusze być musi, że szlachta jest nietylko w kraju panem, ale dusza szlachecka jest tego kraju duszą.

Zrazu wydało mu się: wzniecić bunt, szlachtę znicestwić, króla detronizować, samemu się królem mieszczan i chłopów stać — teraz jednak rozumiał, że na miejsce potęgi duszy szlachty potęgę jakiejś innej duszy trzeba dać, że gdy się jedną kulturę duchową obali, nietylko natychmiast inną na jej miejsce stawiać trzeba będzie, ale nawet w imię tej nowej następnej i zastępczej kultury wystąpić. Rozdać chłopom pańskie

grunta niedosyć było — ten chłop stając się panem kraju, musiał odrazu przed sobą jakiś wyższy ideał mieć, wiedzieć, że z chwilą zwycięstwa nie zaczyna się tylko używanie, ale że zacznie się dalsza jakaś szlachetna praca dla siebie i drugih, nie stagnacja, ale owszem pochód naprzód.

Chłop był ciemny i jedyną jego wiedzą, jego kulturą duchową, jedynem, zapomocą czego można w nim było duszę stwarzać, była religja.

W tym momencie przypomniał sobie Kostka opata tynieckiego, księdza Pstrokońskiego, biskupa, człeka dziwnego wielce.

Z kasztelanem, u którego się wychowywał, kilkakrotnie Kostka w Tyńcu był i potem jeszcze sam księdza Pstrokońskiego, który go polubił, nawiedzał, a ilekroć go widział, zawsze czcią i podziwem czuł się przejęty.

Ksiądz biskup Pstrokoński, opat benedyktynów tynieckich, wcale do ogółu wyższego duchowieństwa podobnym nie był, nad miarę nie jadł i nie pił, w karty nie grał, kochanic nie utrzymywał, na łowy nie jeździł, dostojęństw się nie napierał, dla miłego grosza wszystkiego uczynić gotów nie był, ale klasztorem i naukami się zajmując, ludziom dobrze czynił, brata w każdym uznawał i Świętego Franciszka z Asyżu za wzór najgodniejszy naśladownictwa uważał. Widział on zło zakrzewione w Kościele i złą drogę, którą

kraj ku zgubie wiodła szlachta i nieraz o tem z Kostką, zachodniej cywilizacji świadomym, mówił. Doń Kostka ruszyć, jego w zamiary swe wciągnąć, jego, szeroko przez chłopów znanego i błogosławionego, jakby papieżem, widomym reprezentantem katolicyzmu swej sprawy uczynić postanowił.

Tymczasem zaś z polecenia jego rektor Martinus Radocki i sołtys Łętowski porozpisywali listy po wsiach i sotystwach okolicznych, wzywając lud, aby się gromadził pod wodzą pułkownika królewskiego Kostki, ze świętej pochodzącego rodziny, przeciw żydom i szlachcie w Imię Chrystusa, którego żydzi zamordowali, i najjaśniejszego króla, przeciw któremu szlachta bunt podnieść zamyśla, obiecując, że Chmielnicki w swym uniwersale obiecywał i pomoc kozacką. A iż ściąg wojsk do Nowego Targu do osoby pułkownika zapowiadali, nakazywali listami, aby wszyscy, którzy się do łączności poczuwają, chałupy zielenią maili, a to będzie znak, by ich zwerbowani przechodzący nie rabowali i nie podpalali, jako właśnie czyniły szlacheckie zaciągi, tak, iż przemarsze ich do napadów tatarskich porównywano, a miejscami srogie bójki wynikały, gdzie szlachta grabiła i bez miłosierdzia odzierała chłopów i mieszczan, ci zrozpaczeni wściekle szlachtę mordowali, za co znów bez miłosierdzia karani byli, aż wkońcu zgłiszcza,

ruinę, nędzę, rany i śmierć chłopom i mieszczanom za sobą wraz z trupami z obojej strony zostawiano.

Chłopi też na gwałt wiece zwoływać i gałęziami zielonemi chałupy mieć jęli.

Nie wszystkim jasnem było, o co chodzi i co być ma, ale wszyscy zrozumieli, że się od złego zabezpieczyć można. Wsie jak gaje istnie wyglądały.

Przez takie też zielone wsie Kostka na krótki czas Nowy Targ opuściwszy, do Tyńca krakowskim gościńcem na wózku podstarościego Zdanowskiego pędził.

A był to piękny pogodny dzień wiosenny, kiedy ksiądz opat Pstrokoński z murów klasztoru tyńskiego zwysoka na Wisłę, łany i wsie wiślane patrząc, Kostki mówiącego słuchał.

Ten zaś wołał w gorączkowem uniesieniu:

— Ojcze! Nędznym człkiem, zbrodnią, zemstą pędzony między chłopstwo padłem, a dziś, gdym jako Tomasz w rany Chrystusa, w rany ich palce wetknął, siebiem zapomniał, ich mścić, ich zbawić chcę! I nie straszne mi nic, czylibym i śmierć dla nich ponieść miał! Szeroki ja plan żywię: szlachtę zgnieść, z Rzymem zerwać, aby nam tu zaś Possewinów, jak Batoremu, nie nasyłali, wysokie, z magnatami trzymające, duchowieństwo obalić, królestwo polskie ze swoim własnym polskim papieżem, ze swoim własnym

polskim kościołem zbudować! O, ojcze, ojcze duchowny! Zali może zrozumieć polskiego chłopca od żuru i barszczu włoski ksiądz, sałatą i morskimi ślimakami karmiony? Możeż być pasterzem duszy polskiej ten, który tej duszy nie zna, ten który sam suchą skałą, wodą i cyprysami otoczony, pszenicznej polskiej modliwy, z dębów i jodeł rodzonej zbożności, w szerokich zachodach staczającego się nad Wisłą słońca rodzonej tęsknoty Boga nie zna? O zaiste, ojcze! Swego, o polskiej duszy papieża, nie bulli i rozkazów z rzymskiej kancelarii chłopu polskiemu trza!

— Schizma! — zawołał ksiądz Pstrokoński wzburzony.

— Nie schyzma ojcze, jeno Polska! — krzyknął Kostka. — Jeno polski papież w polskim Rzymie, jeno wawelska katedra miast katedry Świętego Piotra, polski Wawel nad Wisłą miast zamku Anioła nad Tybrem, polski Kościół Marjacki miast Świętego Jana z Lateranu!

— Piotr Apostoł fundował Rzym — rzekł opat.

— Lecz Chrystus wszemu światu fundował Boga — odparł Kostka.

— Papież, Świętego Piotra następcą, namiestnik Chrystusa Pana jest, jako Piotr był pierwszym Jego namiestnikiem — rzekł opat surowo.

— Ja nie wiem, przewielebny ojcze biskupie,

ja nie wiem — odparł Kostka, jakoby z rozpaczą w głosie — teologijim nie studjował, w Piśmie Świętem, w Nowym Testamencie niebiegły. Może to grzech, co mówię, jedno widzę: „*a planta pedis usque ad verticem capitis non est sanitas*“, od stóp do głowy rak toczy, a Rzym nie daje lekarstwa, a Rzym nie leczy! Giniemy, ojczyzno, rozpada się ciało nasze! Wojny nasze, to konwulsje, zwycięstwa nasze to kurcze rąk ściśniętych w spaźmie konania!

Dusić jeszcze możemy — nie pokonujemy! Bronić się jeszcze możemy — nie zwyciężamy! Zginać musi ten lew, co chory słoniom i bawołom rykiem nie grozi, lecz się tylko, w jamie swej leżąc, wilkom, hienom i lampartom łapami, acz potężnemi jeszcze, opędza. Kędyś trucizna jest, co duszę i ciało polskie zatrula. Szlachta otruta jest — umrze. Ojczyzno! Nowej Polski trza! Zali w Rzymie się nowa dusza polska ma rodzić? Zali z Tybru wody trza czerpać, by polską pierś rzeźwiła, zali z cyprysów ogień kłaść, by w budowanym z dębów powiślnych kościele ogień ofiarny polskiej duszy płonął?

— Więc czego ty chcesz? — spytał biskup po chwili.

— Hasła z Krakowa, dzwonu Zygmunta, krzyża z katedry wawelskiej, polskiego biskupa, który chłopom w kłos pszenicy, w różdżkę dębu, w wiązkę trawy łącznej krzyż owity ukazawszy,

powie głosem ogromnym: *in hoc signo vinces!*
W tym znaku zwyciężysz!

Biskup Pstrokoński niżej głowę spuścił, tak,
iż długa mu czarna broda po habicie spłynęła.

— Ojcze! Wstań! Weź krzyż! Pastorałem
nową Polskę wzbudź! Lud nie wierzy w Boga,
on wierzy w was! Chłopu polskiemu księdza
trza! Ojcze! Wstań! Z zakonnikami swymi
z tych murów wyjdź! Patrz! Wiosna się kwie-
ci — rozkwitnie świat! Porwiemy za sobą kla-
sztory, proboszczów wsiowych, młodszy kler!
Stworzymy na starej ziemi nowy kraj, nową
Polskę, której królem ja, papieżem polskim bę-
dziesz ty!

Ksiądz Pstrokoński porwał się.

— Samozwańcy!?

— Jam króla Władysława Czwartego syn!

— Jam biskup katolicki, opat tyniecki, sługa
Rzymu!

— Ojcze!

Biskup Pstrokoński odwrócił głowę i szlocha-
niem wybuchnął.

— Ojcze! — krzyczał Kostka.

— Nie! — odparł opat i twarz w dłonie
ukrywszy, łkał z wielkiem piersi wstrząsaniem.

— Ojcze! — wołał Kostka z rozpaczą. —
Wiesz, że w tem zbawienie! O Rzym, który cię
łamie! O Rzym!

I wzniosł zaciśnięte pięści w górę, lecz ksiądz Pstrokoński opanował się i rzekł:

— Bóg jeden i jeden Jego kościół i jeden jest namiestnik Chrystusowy. Do końca świata Rzym będzie świata panem i wyrocznią. Twój krzyż w pszenicę, dąb i trawę łączną owity, pogański by był. Krzyż Chrystusów jedno różańcem spowijać można.

— Kłamiesz, ojcze, sam sobie! — zawołał Kostka z bolesną porywczością.

— Młody jesteś, królewicu! — odparł opat. — Z ziemi powszechnej powstaje człowiek i w ziemię powszechną powraca. Część ziemi jeno nazywa się Polską. Zaczęła się Polska, skończy się, bo ludzka jest. Lecz dusza z Boga pochodzi i wiekuiście żywie. Wszystko życie świata w naszym krzyżu się mieści. Tego słuchajmy. Piotr postawił opokę, na której stoi kościół świata, a bramy piekielne nie przemogą go. Ja cię rozgrzeszam. Młodyś jest i gorący. Wiara twoja zbawia cię, dobrego chcesz. Duch Święty cię oświeci i na drogą prawą nawrócisz. Idź i dzisiaj, twórz.

— A ty, ojcze, a ty? — jęknął Kostka.

— Modlić się będę za ciebie i za twoją sprawę, która jest świętą, póki jej światło Chrystusowe świeci.

— Nie krzykniesz z twoich murów tyńskich?

— Gdyby Rzym pozwolił.

— Nie wyjdiesz w infule z krzyżem z nich?

— Jeśli Rzym rozkaże.

— Ojcze! Ty gubisz miliony ludu! Na jedno słowo wasze, biskupi, na widok krzyża we waszych rękach — my zwyciężce!

— Jam sługa posłuszny — rzekł opat tyniecki.

— A! — zawołał Kostka z wściekłością prawie. — Ah! Palcami grudę rwać, gdzieby ją można rydlem jako piasek za się ciskać! A! Czego ja bym z wami nie dokazał!? Jutroby Polska naszą była! Lecz nie, ojcze! Ja ciebie porwę z sobą! Gdy tu, w Krakowie, chłopci w Zygmunta uderzą, ty się nie oprzesz, ty pójdziesz. Wiem! I rozkażę, by cię nikt nie niepokoił z tych, co tu ze Śląska ciągnąć do mnie popod Tyniec będą.

I do podręcznej torby która obok leżała, sięgnawszy, sprzęt potrzebny dobył i szybko pisać począł:

„Ich inscriptus Oberster zu Ross und Fuss commando und befehle last dem Closter Tyniec mit sein einige Güter ganz frei lassen, aliter non faciendo sub poena colli.

Ja, niżej podpisany, zlecam i mocno przykazuję, ażeby ten Konwent Tyniecki ze wszystkimi wsiami wcale nienaruszenie zostawał od przechodzących żołnierzy, pod regimentem naszym będących, pod utraceniem gardła, ktoby się inaczej śmiał poważyć i przyczem być znakowi woj-

skowemu sobie na obronę postawionemu, i listowi ręką i pieczęcią własną zaznaczonemu. Dan w Tyńcu dnia 8 maja, r. 1651. Aleksander Lew z Szternberku“.

Poczem Tyniec i biskupa Pstrokońskiego opuściwszy, Kostka nazad pod Tatry wrócił i tam podług rady marszałka Łętowskiego przez Sobka Topora skalnych Podhalańców ruszyć na halę ku Stawom poszedł.

.

W błękitnych mgłach, daleko, widywał Kostka nieraz podczas łowów, które mu podstarości Zdanowski gotował, z gór Beskidu, Kluczek i Gorca, zamek czorsztyński, nad Dunajcem na skalnym ostrogu wzniesiony. Wydawał on mu się sercem opancerzonem tej doliny, której koroną królewską były Tatry, mieczem jasny Dunajec. I górale na łowach zamek ów wskazywali. A wieści o zbierających się gromadach chłopskich coraz częstsze i gęstsze dochodziły.

Na błękitnym tym zamku z owitą w błękitne, przezrocze muśliny Beatą Herburtówną Kostka się widział — — różowe jej ciało przez przezrocze świeciło...

A złote korony na głowach światłem grały...
Ach! Czynu!...

Jako orzeł uderzyć od góry!

Hetmanem zaporoskim ogłosił się Bohdan

Chmielnicki, a ten tytuł jemu niemniej niż zwycięstwa, blasku dodawał; starostą czorszyńskim postanowił się ogłosić Kostka — w imię króla przeciw królowi, niewolnikowi szlachty. A co starosta czorszyński góralom, to kasztelan krakowski małopolskim chłopom miał zwiastować, a potem król — całej Polsce.

Wrzało 13 czerwca, w zły dzień, 1651 roku w wielkiej karczmie Icka Hammerschлага na rogu rynku i ulicy Szaflarskiej, którą zbójników podhalańskich w kajdanach często do miasta na stracenie prowadzono i o której jest szeroko znana nuta:

Wiedom ze mie wiedom Saflarskom ulicom,
pewnie mie zawiedom ku tym siubienicom.

Ze stu chłopów zgromadziło się tam, a byli to przedstawiciele dziesiątków tysięcy górali, przy panu pułkowniku Kostce się opowiadających. Wielu tam było młodych sołtysów, którzy na mocy prawa króla Władysława, od zaciągów wojskowych na wojnę kozacką się wykupili, wielu gazdów poważnych, a za stołem pod ścianą, gdzie siedział sam pułkownik, po prawej ręce mając podstarościego Zdanowskiego, po lewej rektora Radockiego, zasiedli po obu ramionach marszałek Łętowski, sołtys z Chochołowa Jędrzej Kojs, z Białego Dunajca Pawlikowski, z Białki Nowobilskich trzech, z wójtem sołtysim

Maciejem, Zych z Witowa, mieszczenie nowotarscy, wójtowie niesołtysi i z mnogich jeszcze wsi gazdowie znaczni, a na rogu stołu Sobek Topór, owce i bacostwo Byrnasowi zwierzywszy, szerokimi barkami wszystkim górował.

Urada szła, wino, piwo i gorzałka sprawiedliwie potokami się lały, którą bogaci sołtysi i gazdowie dawać kazali. Naleciało się bab i mieszczanek, baby także od wsi przybyły za chłopami, a Podhalanki skalne wierchowały nad wszystkimi wysoką głową i jasnem licem, szafirowemi jak z ognia oczyma i wysokimi, pełnemi dumy i siły ramionami. Szyję też pojedna całą w dukaty węgierskie obwieszoną miała, że gdy kroczyła, to jak złoty dzwon dźwiękla.

Pośród nich Maryna Toporówna podobna do jodły bujnej królowała.

Dziesiątki tysięcy ciupag i kos do stóp Kostki kłoniono.

Potężnym się czuł, królem już prawie.

Róg jego z czorsztyńskich murów jak grzmot uderzy.

Wtem chłopci, Podhalanie, ryknęli ogromnym chórem:

Wto pije, to pije, piom Podhalanie,
dali se powiesać ciupazki na ścianiel...

Polana, polana niejednego pana,
polane skosili, pana obwiesili!

Panowie, panowie, budzicie panami,
ale nie budzicie przewodzić nad nami!

Panowie, panowie, wyście nas trafil,
i my was budziemé jyno powstaniemé!...

Panom béło wolno po kobiercak bieżec,
a nam béło wolno w grobie ciho lezec!...

Złowrogo huczała pieśń. Rozgorączkowane, rozgadane, rozjaśnione twarze chłopów ściągnęły się i stały drapieżne, głuche i twarde. Twardość, zaciętość, suchość okrutna i złowieszczą jęła się ryć w znanych sobie, przez siebie wyżłobionych bruzdach na licu. Orle nosy, wąskie wargi, blade i suche policzki z wystającemi kośćmi stały się kamienne nieomal, w żelazo zastygłe. Tylko oczy niebieskie i bure płonęły, podobne do ognisk na dzikich kamiennych polach jesieni.

Do rana pili i do rana śpiewali. Nikt w mieście nie spał i warty stały pod bronią, choć czuły swą bezsilność wobec tego zboru zbrojnych w ciupagi chłopów, jednak wściekłość przeciw szlachcie tak opanowała chłopskie głowy, że ani jeden uczynek gwałtu na mieszczanach się nie spełnił.

Pili jeszcze nazajutrz i śpiewali, kiedy Kostka, wysławszy Sobka Topora na Podhale, marszałka Łętowskiego do Czarnego Dunajca na tworzenie pułków chłopskich, z kilkunastu ludźmi pod zamek czorsztyński ruszył.

Starosta czorsztyński, młody i piękny Platemberg, w szmelcowanej zbroi i w lamparciej skórze na ramionach jako szambelan królewski ku osobie królewskiej w czas wojny wraz z całym swym poczem wojskowym się wybrał, pozostawiając, wbrew prawnemu przepisowi, miast załogi ochronnej żydów dzierżawców.

Kostka pod zamek podstąpił i gdy główny dzierżawca, żyd Jozue Zbarazki, w rozwianym hałacie, z pejsami u wielkiego okrągłego łba, z cebulastemi oczami, w białych pończochach i pantoflach bramę otworzył o świcie, zaczajony ze swymi w lasku pod murem Kostka przez bramę wpadł, żydów, żydówki i żydzięta powiązać kazał i stał się panem Czorsztyna.

Gdy na mur zamkowy wstąpił, rozszerzyła mu się dusza, jak skrzydła wielkiego ptaka, gdy je, ocknąwszy się ze snu na wysokiej skale, szeroko rozłożył i potężnie niemi zatrzepoce.

Rycerskich Wazów królewski syn stał na blankach królewskiej twierdzy i poglądał po ziemiach.

Na skale, nad spienionym Dunajcem wyniesiony, dzielił zamek czorsztyński Węgry od Polski. Posiadłości Rakoczego tuż za Dunajcem leżały, a droga z Węgier do Krakowa przez Czorsztyń wiodła. Był to klucz, który wrota Wawelu od Spiżu zamykał.

Lecz mógł i otworzyć. Rakoczy, księżę Sie-

dmiogrodu, przeciw któremu pozornie Kostka wojska werbował, przez Czorsztyn na Kraków patrzył...

Niesłychanie, gwałtownie, nad podziw szybko niedawne jeszcze chęci tylko Kostki, przybrały ciało. Uczynił krok na przepastnym moście, lecz wierzył, że przejdzie. Czy nie teraz spełnia się wróżba cyganki siedmiogrodzkiej, iż wysoko umrze? Czy nie jest już wywyższony nad innych?

Ze swojego zamku w Siwym Rogu, ze swoich baszt w Sieniawie, czy Brzeżanach, nie dumniej, nie wynioślej, nie wspanialej pozierają Herburt, lub Sieniawski. Dziesiątki tysięcy otaczają ich nienawidzących ich poddanych — jego setki tysięcy ubóstwiających go górali. Sześć tysięcy żołnierzy ma Sieniawski, cztery tysiące Herburt — on kilkadziesiąt tysięcy siekier, kos, maczug, rusznic i pistoletów podniesie. Gdyby dzisiaj chciał, mógłby niebawem ruszyć stąd, w proch zetrzeć Siwy Róg, z ziemią zrównać Sieniawskich gród hetmański, Beatę na rękach chłopskich, jak wydarte z ogrodu nurtem powodzi brzoskwiniowe drzewo, gdzieby chciał ponieść — ale nie chciał. Nie był już zakochanym ubogim młodzieńcem — był odnowicielem Polski u progu czynu.

Ale że chytrze, zwłaszcza w początkach, nim się górale, wiedzeni przez Sobka Topora i Łę-

towskiego zgromadzą, poczynać trzeba było: do księdza Piotra Gębickiego, biskupa krakowskiego, wysłał umyślnym list donosząc, iż za rozkazem królewskim zajął Czorsztyn „z obawy, ażeby forteca ta pograniczna, nie mająca żadnej załogi i opatrzenia, nie dostała się w ręce Węgrów“. Prosił też biskupa o posłanie mu kilku armat przewoźnych, prochu i kul, bo nic w zamku, oprócz nadartych z chłopów przez Jozuego Zbarazkiego pieniędzy i nagromadzonej przez żydówki obfitej żywności, nie zastał.

Aliści ksiądz dziekan nowotarski, Jędrzej Bytomski, zaproszony na indora do proboszcza ludzimierskiego, księdza Michała Słomki, zauważył przez wieś jadąc, iż wszystkie chałupy umajone są zielonemi choinami.

Zadziwił się i spotkanego przysiężnego ludzimierskiego Cyrjaka o powód zapytał.

— Jegomość nie wiedziom? — odparł Cyrjak. — Je dy to nato, coby wojsko nie rabowało i nie podpalowało.

— Jakie wojsko?

— E to, co pan Kostka, królewski pułkownik, za królewskim ozkazem werbuje.

I biskup Gębicki otrzymał w Krakowie równocześnie niemal Kostkowe zażądanie działek i amunicji do zajętego Czorsztyna i alarmujące listy od dziekana z Nowego Targu i proboszcza z Lubnia koło Pcimia, gdzie rektor Radocki

wiece chłopskie tajemnie zwoływał, a nawet od pana Zdanowskiego, któremu ksiądz Bytomski o majeniu chałup donieść rozkazał.

Włot zrozumiał biskup, iż ów obrońca całości Rzeczypospolitej wysoce jest podejrzany, a zapowiedziane zaciągi Bóg wie naco posłużyć mogą, odpisał więc Kostce, że „nie w taki sposób zajmuje się królewskie zamki do obrony złecone“ i że radzi mu, aby dobrowolnie Czorsztyn opuścił, sam zaś zwołał radę panów krakowskich, którzy w mieście obecni byli, sześćdziesięciu dragonów pod panem Michałem Jordanem, dobrych starostą, na odebranie Czorsztyna wysłał, ku którym się spory poczet wolontarjuszów szlacheckich przyłączył.

Zmieszał się srodze Kostka list biskupa otrzymawszy i w pierwszej chwili gorąco i zimno mu się zrobiło, a łydki pod nim zadygotały. Wydało mu się, iż potrzebował tylko rękę wyciągać i brać, że zajawszy zamek nogę jakoby w strzemieniu postawił i tylko drugą przełożyć musiał, aby w siodle sieść, ale przekonał się przy pierwszym kroku, że się łudził i mylił. Przeraziło go także własne młode niedoświadczenie, którego sobie pisząc list do biskupa jaskrawy dał dowód.

Opór przeciw sobie sam wywołał i przyśpieszył. Odezwać się można było, mając kilka tysięcy, a nie kilkunastu ludzi w Czorsztynie.

Za drugiego Chmielnickiego, w którym mieszkał „lew wespół z wężem“ się miał, przekonał się jednak, iż stary hetman zaporoski z uśmiechem by go klepał po ramieniu, a on go jak żak nauczyciela słuchać był winien.

Jednak chwilę tylko zniechęcenie i przerażenie trwało. Odwagą i męstwem niedoświadczenie i nierozwagę wyrównać postanowił, a i czasu na myślenie nie stało, gdyż pan starosta Jordan swego brudnego kasztana ze strzałką, dragonów, oraz ochotną szlachtę tak pędził, że już nazajutrz po liście biskupim pod Czorsztynem stanął.

Brzuchaty i wąsisty pan Jordan, pod zamkiem przenocowawszy, murom się o świcie przypatrywać począł i podług instrukcji biskupa zamyślił się z panem Kostką naprzód w słowne pertraktacje wdać. Rozkazał więc trębaczowi, Szeludze z Czarnej Wsi pod Krakowem, płachtę białą, od pasterki wziętą, na kiju wywiesiwszy, z trąbieniem wielkiem ze sobą pod zamek podjechać.

Kostka naonczas spał, a spali i chłopci, krzątaniem się po zamku i plondrowaniem go znużeni, nie spały tylko baby, dwie Nowobilskie, Maćkowa i Józkowa, i dwie dziewczki, Jantosia Zegleniowa z Miętustwa i Hanka Pokusówna z Długopola, co z chłopami z Nowego Targu do Czorsztyna przywędrowały. Siedziały one w kuchni i piekąc z mąki pani Jozuowej Zbarazkiej kołacze z serem, uradzały.

Nagle Józkowa Nowobiliska przestała zagnia-
tać mąkę, nastawiła uszu i powiada:

— Cosi robiom, co trombiom.

— Moze? — odpowiedziała jej Nowobiliska
Maćkowa.

— Naozaist trombiom — powiada Józkowa. —
Trza wyjźreć.

Wyszła i wróciła z wiadomością, że szlachcic
na koniu i żołnierz z białą płachtą na kiju i z trą-
bą pod murem stoją.

Maćkowa Nowobiliska, żona sołtysiego wój-
ta — rodziny sołtysie miewały osobnych wójtów
i wójtom gminnym nie podlegały we wsi — odło-
żyła ciasto, otarła ręce i wyszła z kuchni, a za
nią towarzyszki.

Wystąpiły na blanki, a Józkowa krzyknęła:

— Nie trąb ta telo, bestyja, bo pana obudzis,
j... ci oko dziś!

Ale Maćkowa, baba obstarna i obszarna, rze-
kła z godnością:

— Ckaj! — i zapytała wyniośle:

— Wto?

— Hej tam mōsterdzieju! — wrzasnął Jordan,
bo takie przysłowie miał. — Niema nikogo, tylko
baby!?

— Som jest i hłopy — odparła Maćkowa. —
Co fcecie?

— Gdzie pan Kostka?

— Śpi.

— To go obudź!

A Maćkowa rzekła wyniośle:

— A cożto nie widzisz, że gaździna?

Wspomniał Jordan polecenie biskupa, ażeby politykował, chłopów nie drażniąc, zatrzymał więc oburzenie i zawołał:

— Obudźcież go, gaździno!

— Naco?

— Jaśnie Wielmożny Michał Jordan, starosta dobczycki, rozkazuje!

A Maćkowa odpowiedziała z dumą:

— Nas pan starosta ciorstyński taki dobry, jak i dobcycki!

— Książd biskup krakowski mnie tu posłał!

— E to se stójcie! — zawołała Józkowa Nowobiliska.

Pan Jordan wpadł w pasję — narazie jednak słów i pomysłu mu brakło i zwrócił się do Szelugi ze srogim spojrzeniem, wybuchając z pasji:

— Phu mosterdziej, co!? Brrum!

A Hanka Pokusówna, tęga, przystojna młoda dziewczyna z „djablim pyskiem“, z pod baszty:

— A coż to hań grzmi? Bo tu u nas pogoda.

Siepnął się Jordan w kulbace, ale strzymał jeszcze.

— Słuchajcie baby, — podniósł głos — idźcie mi po Kostkę natychmiast!

— Ej ja hań nie ide, bo sie boje, byk sie nie zadawiła — odpowiedziała Pokuszczańska.

— Best! — rozśmiała się Józkowa Nowobil-ska. — Djabłów zjadło z dziewczkom!

— Pocioście, panie starosto, przyjechali? — zapytała Maćkowa godnie.

— Zamek brać! — odparł Jordan zdołu.

— Zamek u mnie gotowy, jyno nie wiem, cy kluc nie djabli potę! — zawołała Pokusówna.

Huknął śmiechem trębacz Szeluga, który mundsztukiem trąby zęby zaciskał, buchnęły śmiechem baby na murze, a Józkowa zawołała:

— Siejdze pokuso zatracona! Cy cie milońscy dziś!

Pan Jordan zaś cały sploniony, ryknął:

— Psie baby sobaczel! Skórę z was drzeć każę!

— A skądze pan zacnom? — zapytała Pokusówna.

— Skąd, ty małpo wszeteczna!? — wrzasnął pan starosta. — Stamtąd! — I obróciwszy się w siodle, zaryczał bawolim głosem:

— Bywaj!

Wnet z przylasku poczęli się wysuwać dragoni biskupa Gębickiego i szlachta wolen-tarjusze.

— Stąd! — powtórzył pan Jordan w furji.

Stropiła się Józkowa Nowobilska, poznała, że niepeć i rzekła do Maćkowej:

— Stosecnyk djabłów zjadło aj zjadło — zoł-mirze...

Ale Maćkowa nie straciła godnego rezonu; wiedziała ona, że tysiące chłopów pod Czorsztyn nadciągnąć mają i krzyknęła zgóry zuchwale:

— Panie starosto! Cobyś nie wlaż, jak koński mihał, ka ci nie trza!

— Czekał ty wiédźmo stara! — ryknął pan Jordan i zdarłszy konia z trębaczem za sobą, zawrócił ku swoim.

Długo sapał, nim się wysapał, a gdy za radą porucznika dragonów i pana Gozdawy Mieszkowskiego wymowny pan Skoraczyński i ksiądz z Maniów, za wojskiem przybyły, z samym Kostką już mówiący i obiecujący mu zupełną swobodę, gdyby zamek dobrowolnie oddał, nic nie wskórali: do szturmu uderzyć kazal.

Aliści kilkakrotne zapędy dragonów pod mury i usiłowane podpalenie bramy nie powiodły się; w zamku było nieco broni, chłopci też mieli swoją, w dodatku obecny pleban z Maniów ducha oblegającym odbierał, nieustannie powtarzając i wołając: Śpieszmy się! Śpieszmy się! — Obawiał on się bowiem mających rzekomo nadciągnąć zbuntowanych górali.

Nieudane ataki, strata kilkunastu koni ustrzelonych i dość ciężkie rany i potłuczenia kilku dragonów, a przytem coraz rosnący strach przed czernią chłopską, źle podziałał na pana Jordana, gdyż nagle, nic nie powiedziawszy nikomu, z pa-

nem Mieszkowskim, Skoraczyńskim i jednym jeszcze szlachcicem ogony końskie zamkowi pokazali. Gdy wodza brakło, ruszyła za nim, tchórzliwie zresztą bardzo zachowująca się ochotnicza szlachta, a za nią i dragony pomknęli z kopyta gościńcem ku Krakowu, wślad starosty.

Drwił Kostka sam ze siebie, że się tak łatwo dał był narazie listowi biskupiemu nastraszyć i że go tak szybko zwątpienie opadło. Zetknął się, starł z nią i zwyciężył przeciwność tak łatwo, że aż śmiechu to było warte, bez jednego skaleczonego w zamku człowieka. Stłukł się tylko w kolano, jakby naumyślnie na śmiech i żart, że przecie rany przy odpieraniu szturmu były, kował z Łopuszny, Magiera, o kant kamiennego muru się uderzywszy.

Rad też i wesół, gdy państwo Jozue i Ryfka Zbarazcy miodem swoim i winem chłopów częstowali, zasiadł w kancelarji szambelana Platemberga i znalazłszy tam inkaust i co potrzeba, do imci pana Wiktoryna Zdanowskiego list prozą i wierszem pisać począł, zapraszając, aby „na świętego Jana stawić się w Czorsztynie raczył, bo wielkie wojska tutaj ściągać się będą, gdyż jest wola Boża, a nie inna, aby tak wielkie zbrodnie ukarane zostały, co daj Boże aby bez rozlania krwi chrześcijańskiej. Ja WM. Pana gospodarzem zostawiwszy, pójdę sam, gdzie mię Bóg z wojskiem obróci...

...bramę zapalili,*)

Mniemając, żeby orła w piersi ugodzili.
Wtym się im lew otrząśnie, pocznie prosić z góry,
Aże miała maślanka rozlała się w dziury.
Bramę zalał, ich pokłuł, pozabijał konie,
Ze nazad musiał jechać na świniem ogonie.
Wtym obaczy, nie dudka, starostwa pragnący,
Chłop babiasty i tłusty, Jordanek rzeczący:
Nie chcąc czekać ostatka samoczwart uskrobał,
Czyli się też w kwatery między skały schował.
Potym w kotły usarskie w zamku uderzono
I ospałych żołnierzy z akownic budzono.
Wtym się porwą do koni, nie chcąc czekać dalej,
Pieszo jedni, na koniach drudzy uciekali,
Inni jeszcze na zamku w Krakowie statutu
Zapomnieli i swego prawnego talmutu.
Kazał ich lew prowadzić, z długich arkabuzów
Nabawił niejednego z nich strachu jak guzów.
Otóż wam Zuzanicy, cóżeście wygrali,
Tylkoście lwa daremnie na sie rozgniewali,
Który się skrył choć cicho, na tajemne skały,
Kędy ledwie orlice pióra donaszały.
Przy kiem Pan Bóg, z tym trudno, nieboże, wojować:
Lepiejby snąć za grzechy wcześniej pokutować.
Bojemy się człowieka; Bój się raczej Boga,
Przy tym stojąc, mnie ufaj, nie dojdzie cię trwoga.
O nieszczęsne łakomstwo, o przekłeta pycho,
Któraś w Polskę ach, ach, ach, wprowadziła lichol!
Boję się, by nie przyszły już proroctwa ony,
Ze miało wniść wszystko złe tu od Akwilony.
Ten, co widział, świadczy."

*) Wiersz pisany przez Kostkę w zamku czorszyńskim,
cytowany przez Kubalę.

Drugi też list do marszałka Łętowskiego wysłał, ażeby jako z największym ludem przybywał... „A upomnij WM. M. M. Pan, ażeby z sobą brali siekiery jedni, a drudzy rydle. Pójdziem wszyscy przez Kraków i dalej przez wszystką, jeśli wola będzie, Polskę. Mamy dobrą znowę z Chmielnickiem i z Tatarami i niemieckie wojsko przyjdzie nam na pomoc...”

Radowała się i weseliła młodość pana Kostkowa. Na zamku starościńskim, na wyniosłym ostrogu siedział, listy wojenne pisał, w hardości stał. Na wspaniałem karle szambelańskim rozparty, nogi przed się na niedźwiedzią podesłaną pod kantorek skórę wyciągnął i ręce w kieszenie szwedzkich rajtuzów wsadził, głowę przez poręcz przewiesiwszy.

„Ty będziesz płakała,
jo nie bende słysoł,
jo nie bende słysoł,
sionde sobie w pokoiku
listy bende pisoł“ —

przypomniała mu się pieśń mazowiecka o trzech panach Potockich, co jechali z wojny „pytali się, pytali się o nocleg spokojny...”

A kiedy już mieli „tę nockę spokojną,
pytali się, pytali się
o dziewcyne strojną...”

Beata Herburtówna...

Zali sen?...

Kędyś, gdzieś ogród kwietniowem wczesnem
ciepłem pachnący... dawno... daleko... Uścisk —
uścisk promienny...

Sieniawski, Sulnicki, Korecka księżna, woje-
woda...

Pożar Zagorzelic, luna...

Królowej Cecylji Renaty dwór... bale dwor-
skie... uczty... psoty paziowskie...

Poniewierka, głody, niedostatki...

Zali sen?

Ach! ten słodki, ten cudowny, ten niebiański
uścisk nadziemskiej iście rozkoszy...

Wtem stanęła przed nim Maryna z Hrubego.

— Panie — rzekła — przysłał mnie brat So-
bek ze dwoma ludziami, sam w tym tyżniu haw
s tysiące ludzi będzie.

Przypatrzył się jej Kostka zamglawionemi
marzeniem oczyma. Wspaniale stała.

— A ty co? — spytał. — Chcesz tu zostać?

— Fcem.

— Poco?

— Ja do wojny pudem.

— Bić się?

— Haj.

— Chłopów dość, wystarczy.

— Ja sie we krwi oplókać muszem.

— Albo co?

— Bo ja sie od djabła kusić dała — muszem
sie omyć.

— We krwi?

— Haj.

— A coś robiła?

— Ja sie z potworem zadawała.

— Jakto?

Nie odpowiedziała Maryna, tylko rzekła ponownie:

— Sobek brat haw bedzie hnet. Samyk Toporów ś nim siedmi, Mardulów trzok...

Kostka przypatrywał się piękności Maryny.

— Maryna — rzekł, przeciągając się.

— Co?

— Maryna — powtórzył.

— Panie, ostańcie mi święty, hłopski zbawiciel! — rzekła Maryna i wyszła z komnaty.

Przybył nazajutrz Łętowski, ale z paru tylko chłopami, w odwiedzinę, obiecując powrócić i z pod Czarnego Dunajca dziesiątki tysięcy chłopów ze wszech stron góralszczyzny zwieść, oddano też w cztery dni po ustąpieniu Jordana list od rektora Martinusa Radockiego z Pcimia, który, o „miłośnikach prawdy Chrystusowej“ wspomniawszy, donosił, „iż chłopci, gdyby dozwoleństwo, albo głos IMci króla słyszeli, tedyby prawie sami na dwory szlacheckie następując, niszczyli je, aby już więcej hardość i wyniosłość ze złością tyrańską na ziemi nie panowała.....“

Siadł więc Kostka ponownie przy kantorku Platemberga i manifest swój, zaczynający się od

„Pokój Chrystusa!“ — pisał, gdzie w imieniu króla „wszystkie wolności tym wszystkim, którzy teraz stać przy nim będą i dwory szlacheckie i co w nich“ w obszernych słowach obiecał. Dawał też „aby (jako ma polecenie od króla IMci) żadnym uniwersałem choćby i z pieczęcią i z ręką króla IMci były, wiary nie dawali, gdyż te musi wydać, bojąc się szlachty“.

Na Kraków zapowiadał pochód i do Czorsztyna „pod swe skrzydła garnąć się“ kazał, kościółów polecając nie tykać, „gdyż o Boga i krzywdę ludzką wojować będziemy“.

Dan w Czorsztynie 22 czerwca 1651.

Szczęśliwa i radosna młodość pana Kostkowa na zamku się cieszyła. Manifesty wydawał, potęgą się czuł, sławę nieśmiertelną przed sobą widział. Cieszył się jak dziecko i w ręce byłby klaskał, a cebulooki, kłapouchy, minogogęby, mały, gruby, brudny, krostowaty i finezyjno-ironiczny Jozue Zbarazki śmieszył go nad wyraz. Sam nie wiedział, czy się bawi w rewolucję, czy to prawda? Jest li mesjaszem chłopów, panem Czorsztyna, wodzem setek tysięcy — czy paziem królowej Cecylji w Warszawie, w wojnę turecką z towarzyszami grającym? Krótko, nagle, jakby przez sen się działo...

Wpadł Kostka po napisaniu swego uniwersału z kancelarji Platemberga i na Józkową Nowobilską trafiwszy, pod boki ją chwycił i kręcić

babą zaczął, a pokrzykiwać: hop! hop! — że myślała, iż oszalał. A kiedy ją puścił, choć baba pięćdziesięciu blisko była, zwierzyła się Maćkowej Nowobilskiej:

— Wiécie, kumosko, kie mie ujon, hoćjek ta taka nienomłodsza, ej wiécie, na mój prawdu, jaby sie mu nie bronila — jakby tak jus musiało być...

A Maćkowa:

— Hej, wiera, jakby musiało...

I westchnęła ze zwątpieniem.

Aliści niedługo miał się czas cieszyć sobą młody pułkownik.

Z krzykiem: Zołmirze idom! Zołmirze idom! — przybiegł wysłany po jaja na wieś chłopak, co przy Kostce służbę pacholka pełnił. Wpół godziny później dragoni, piechota, puszkarze z dwoma działami zamek otaczać poczęli — w tysiąc ludzi blisko pod wodzą pułkownika biskupiego Jarockiego.

Ksiądz biskup Gębicki, po niesławnym odwrocie pana Jordana z pod Czorsztyna, gdzie babom na gębę, a chłopom na pięści nie sprostał, wielkie larmo podniósł. Wysłał 250 piechoty pod Czorsztyn, a do podstarościego i sędziego grodzkiego krakowskiego list pchnął: „Z Krakowa d. 30 Junii 1651. Czorsztyn ubieżono i zbójcami osadzono! *Ad primum nuntium* posłani ludzie *qui flammam extinguerent*, nic nie wskórali i ten ogień tli się, bo chłopstwo *insurgit*...

Dla miłości i ratunku ojczyzny, przybywaj, przybież W. M. Pan, bo to straszny ogień!”

Popędził goniec do króla, rozesłano do wszystkich proboszczów po wsiach, aby z ambon przeciw buntowi wołali i lud powstrzymywali, a za 250 wyprawionej piechoty wyekspedjował przerażony biskup jeszcze 200 siewierskiego swego regimentu, 60 harników, zwanych tak od harnisza, albo zbroi, a także świstakami, od komendy świstaniem na wzór zbójecki, strzelców górskich wybranych i dwa działa. Starosta z Lubowli otrzymał rozkaz i przywiódł również dwa działa i 150 żołnierzy. Z pod Muszyny przybyli dragoni biskupa. A gdy na dzień 27 czerwca podstarości krakowski Śmietanka wszystką szlachtę, starych, chorych, sługi, faktorów i urzędników królewskich i duchownych do Krakowa przeciw buntownikowi Kostce powołał: miał on 22-go czerwca naprzeciw tysiąca oblegających 27 górali i 5 kobiet w zamku.

Ale miał pewność odsieczy. Z Podhala z Sobkiem, z Beskidów z Cepcem i Sawką, od Czarnego Dunajca gromady Łętowskiego przybyć miały lada godzina. Cepiec i Sawka donieśli, iż pod Lanckoroną, pod Melsztynem stoją całe kupy czerni, iż całe wsie z pod Krosna, jak Żeglce, Budzyn, ciągną z wójtami na czele, iż pod Babią Górą, w Ochotnicy nad Nowym Targiem, w Porębie, w Niedźwiedziu, w całej oko-

licy bliskiej i dalekiej dziesiątki tysięcy pod bronią stanęły.

Więc choć się nie spodziewał oblężenia i 27 tylko chłopów i 5 bab w zamku miał, nie uląkł się i bronić postanowił, a wici smolne na alarm palić kazał. Rozgorzał Czorsztyn na wsze strony i dymem się osłonił.

Tymczasem gdy się zamek na wezwanie nie poddał, bombardować go z dział i szturmować piechotą poczęto.

Rusznic i armat kilka w zamku było, ale nie było prochu i kul. Kostka za czasu manifesty pisał i z Jozuego Zbarazkiego kpinkował, ale o amunicję się niebył postarał. Zębami zgrzytał teraz i paznogie w dłonie wciskał, ale to się na nic nie zdało.

Wierny pacholek jego do Lubowli w nocy po proch i kule choć do rusznic chyłkiem wysłany, w ręce dragonów wpadł i pod zamkiem na widoku rano 24-go czerwca ćwiczony był batami.

Wstało to rano złowrogie. Smolne wici płonęły na murach dzień i noc, gorzał Czorsztyn na wsze strony i dymem się osłaniał, na alarm buntownikom, ale nikt nie przybywał.

— Coz będzie? — zapytał Kostkę Łętowski w kuchni, gdzie ogień płonął.

— To! — krzyknął Kostka i wybiwszy czekanem szybę z ramy ołowianej, wydarł ołów i na tygiel rzucił. — Będą kule!

Zaczem za jego przykładem wszelki metal w zamku na kule przetapiano, gwoździe z gon-tów darto, baby marmury z posadzek łamały, smołę warzyły, kamienie z bruków wywazały; czem kto mógł, raził, prażył, tłukł dobywających fortecy.

Dobiegło południe — pomoc nie przybywała.

— Coz będzie? — zapytał sołtys Łętowski, patrząc ku wojsku biskupiemu, które obiadało.

Ale Kostka, ranny draśnięciem kuli w czoło, nic mu nie odpowiedział. A że krew mu oczy zalewała, poszedł ranę zawiązać.

Spotkał w progu Marynę, kule ulane w kuchni z kandelabrow Platemberga na mur niosącą.

— Płótno masz? — spytał.

— Cysta kosula — rzekła Maryna i ugiąwszy spódnicy, płótna kawał oddała.

— Wiąż — powiedział Kostka.

Zawiązała.

— Gdzie twój brat Sobek?

— On przydzie.

W tej chwili kula armatnia okno zdruzgotawszy, nad głowami im w pułapie cegły krusząc utkwiała.

— Aby tylko dotrzymać! — rzekł Kostka. — Zresztą mnie nie wezmą. Nie damy się wziąć!

Marynie stanął w oczach straszny wyraz twarzy Szczepana Kurosa, parobka z Miętustwa,

kiedy kochanka jego Żegleniówna, która mu jeść na mur niosła, kulą w pierś trafiona u nóg mu padła i zmarła.

Maryna zauważyła już, że chłopci między sobą zamieniają szeptane słowa i kryte spojrzenia. Słyszała, jak Nowobilski Maciek, chłop po Łętowskim najpoważniejszy, mówił do brata stryjecznego Józka: Nie przydzie nik. My tu wyginiemé sytka i telo bedzie.

A Józek Nowobilski, olbrzym woły noszący, ponuro powiódł po ziemi jastrzębiami oczyma.

— Ale co z Sobkiem? Co z Toporami? — mówił Kostka. — Co z bratem twoim, Maryna?

— Ja nie wiem, panie. Wto, jak wto, ale on haw jus powinil być. Na wcora pod noc se ślubil przyjść. A Sobek hłop nie taki — co komu, cy sobie sam przyślubi, to zrobi, choćby mu sam Chworz-Smok z carnemi skrzydłami, abo Krwnik-Ubijca, śmierzci bóg z macugom, zastompili.

— Niech się dzieje, co chce — rzekł Kostka chwiejąc głową. — Już drugi dzień na murze na nogach jestem, oka dwie noce nie zmrużyłem, morzy mnie taki sen, że wytrzymać nie mogę. Chwileczkę pośpię.

— Nie légajcie, panie — rzekła Maryna. — Wto wié, co moze być?

— Niech będzie, co chce! Za ten czas może Sobek nadciągnie, albo Cepiec i Sawka...

I rzucił się na łożo Platemberga.

Tymczasem działa biskupie i starosty lubowskiego grzmiały bez przerwy i mury zamku kruszyły. Gorączkowo dobywał Czorsztyna pułkownik Jarocki, bo się nadciągnięcia chłopskiej odsieczy bał. Osobliwie o Podhalanach skalnych wieści pewne doszły, że się ruszyli i naprzelaj przez góry na Białkę mieli iść. Sobek Topór dowodził. Coś ich śnać w drodze zaszło, ale każdej chwili przybyć mogli.

Nie wiedzieli jednak o tem oblężeni chłopci, a wiarę w odsiecz stracili. Piechota, ani dragoni do zamku się nie darli, chował ich Jarocki na możliwy atak czerni, tylko działa raz po raz kruszyły mur, rażąc wewnątrz muru zamkniętych ludzi.

W piwnicy, aby się od kul zasłonić i winem pokrzepić, zebrali się obaj Nowobilscy, Kuros i czterech innych górali.

— Co może być, co nik nie przychodzi — rzekł Józek Nowobilski.

— No ja ci nie wiem pedzieć, bracie — odpowiedział Maciek. — Sobek od Jasice się zadusiował na rany Hrystusa Pana i na samego boga Poklenca kłan, co haw wcora we wieczór z ludziami przydzie. Dy ani wte niewiedział, co s nami będzie, a nie dopióroz teraz, kie harmaty po górak dudniom, jaz Ożwiena głuhnie. Ale tu nikogo z nikąd niewidno.

— No, to co będzie, krzesny ojce? — ozwał

się Kuros. — Mamé ginać sytka, jak moja Jan-tośka nieszczęsna?

— Ze dy prawda — rzekł Kułach z Ludzi-mierza.

— Obwiesom nas, lebo bedom i kołem łomać, lebo ćwiertować, jak w jatkak — rzekł Bagan-carz z Klikuszowy.

— Pasy s nas kazom katowi drzyć — rzekł Truty z Lasku.

— Bedom s nas ciało odscypali, jak trzaski — ozwał się Kapuścian z Pyzówki.

— Ani nas we świenconej ziemi nie dadzom grzybść.

Zwiesili głowy.

— Baby i dzieci ostawimy sieroty...

— Majątki, ziemie świętej odumremy...

— Na męki sie damy...

— A nie spravimy nic...

— Hłop był hłopem i hłopem bedzie...

— Pan był panem i bedzie panował...

— Taki musi być porzondek świata i wola Boska...

— Coz bees robiel?...

— My tu nasom śmierzciom świata nie zbawimé...

— Ani nikogo...

— Moze ta pan Kostka i dobrze kcieli...

— Abo i marsiałek Łętowski...

— Ale kie sie nieda, to sie nieda...

— A coż komu z naskiej haw śmierzci przydzie? Nic.

— Abo z męki?

— Ma sie odmienić, to sie odmieni, a nie, to nie.

— Ale bez ten zamek sie nie odmieni.

— O bo wiera nie!

— Wto dowodzi — nieg radzi. Ginać sie ni komu niefce.

— Zej ba! Héba by głowy nimiał!

W tej chwili we drzwiach piwnicy okazały z siwą brodą, Łętowski stanął.

— Hłopy! — krzyknął. — Hań na murak jyno pięci zdrowyk, a wy tul?

— Tu — odpowiedzieli ponuro.

— Coż radzicie?

Chwilę milczeli, a potem Józek Nowobilski rzekł:

— Ginać darmo sie nikomu niekce.

Zrozumiał Łętowski i zbladł.

— No to co fciecie? — zapytał cicho.

— Kaz som jest pułkownik? — ozwał się wymijająco Maciek Nowobilski.

— Poseł rane zawiązać.

Nastało milczenie. Wtem zagrzmiało i z muru za plecami Łętowskiego gruz się od uderzenia kuli działowej posypał.

— Sami widzicie — rzekł Józek Nowobilski.

— Nas jest zdrowyk mało co wysy dzie-sieńci, a hańtyk jest tysiące.

Nagle porwał się Szczepan Kuros z niskiego stolka.

— Co haw długo ukwalować!? — krzyknął. — Zamek trza oddać i jest!

Na to chłopci czekali.

— Zamek trza oddać! Słusnie gadze! — zawołali, zrywając się z miejsc dwaj Nowobilscy, Kułach i trzech towarzysze.

— Hłopi! Bójcie sie Boga! — krzyknął Łętowski. — I zamek oddać i pod nóż iść! To lepi zginać w murak!

— Ja juz wiem, jako zrobić — zawołał Maciek Nowobilski. — Mnie nie trza ucyć. Ja przy wojsku bywał.

I porwał się biec.

— Kaz lecis? — zatrzymał go Łętowski we drzwiach.

— Na mur! Zamek dać!

— Przez pana pułkownika nie wolno!

— Pytaj sie go sam.

— Nie pudzies!

— Pude!

— Marsiałku, puście nas! — krzyknęli chłopci, którym Łętowski drogę z piwnicy we drzwiach zagradzał.

— Przez pana pułkownika nie!

— Bajto! — wrzasnął zuchwale Kuros i starca wpół uchwycił, by na bok szarpnąć.

Gdy się ten ośmielił, ośmielili się i inni. Ubez władnili Łętowskiego, a Józek Nowobilski rzekł:

— Zapremy was haw, w piwnicy, do czasu.

I wepchnąwszy Łętowskiego do lochu, drzwi zatrzasnęli.

Maciek Nowobilski zaś na mur wbiegł, powiewając białą czuchą nad głową na znak, który, jako dawny wojskowy, znał.

Dostrzegł pułkownik Jarocki czuchę i pod mury się posunął.

— Co chcecie? — krzyknął.

— Za Kostke i za Łętowskiego puśćcie nas śleobodno?

Jarocki się czerni bał, odpowiedział więc:

— Puścimy!

— Przysięgnicie?

— Przysięgniemy!

— Podpisecie się?

— Podpiszemy!

— No to ustańcie strzylać! Poślemy opis do podpisania!

— Dobrze!

Skoczył Maciek po Jozuego Zbarazkiego, wywłókł przerażonego żyda z pod stosu pierzyn za kołnierz i rozkazał mu pisać warunki poddania zamku i wolności.

Armaty ucichły.

Kostki chłopci nie szukali. Nie chcieli mu spojrzeć w oczy. Wiedzieli od Maryny, że spał.

Wtenczas Maryna weszła do komnaty i ujrzała Kostkę na łożu Platemberga nad chęć snem zmorzonego.

Wstrząsnęła go za ramię.

Zerwał się: Co!? Sobek z Toporami?

— Nie — odpowiedziała Maryna. — Hłopi zamek oddali.

— Jaktol!? Co!? — krzyknął Kostka skacząc na równe nogi.

— Jako wam mówiem. Skoda was.

— Kto oddał!? Gdzie Łętowski? Ustrzelon?

— Nie, zaparty do piwnice.

— Prawdę mówisz?

— Prawde.

Kostka opadł na łożo.

— Słuchajcie, jak nie wierzycie — rzekła Maryna. — Armaty cicho stojom.

Kostka poczekał na chwilę.

— Prawda — rzekł.

— Skoda was — powtórzyła Maryna.

Strasznie wydało się Kostce milczenie oblężniczych armat.

— Jak śmierć — rzekł jakby do siebie.

Nagle porwał go gniew, wściekłość, tupnął nogą, cisnął przez zęby przekleństwo, porwał się biec... bronić się jeszcze godzinę, jeszcze dwie... pomoc nadejdzie!

Skoczył w drzwi, chciał wypaść na podwórzec zamkowy — ciężkie drzwi dębowe, na schody wiodące, znalazł zamknięte od zewnątrz.

Śnać czemś zaparte. Skreślił ku oknu, ale z okien apartamentu Platemberga nie było widać podworca, tylko wdali Tatry, a przed nimi okolicę podgórza. U dołu był wysoki stok skały zamkowej. Niepodobna się było wydostać.

— Zamknęły mnie psiewiary! — krzyknął stając bezradnie.

— Zamknieni — rzekła Maryna. I po raz trzeci dodała:

Skoda was.

W mgnieniu oka, jak tonącemu przesunęło mu się przed myślą wszystko, sfalszowane listy królewskie, werbunek i buntowanie chłopów, uniwersał Chmielnickiego, uniwersał jego własny przed dwoma dniami wydany, zajęcie zamku — jawna zdrada i rewolucja... czekać go mogła tylko śmierć...

Siadł na łóżku i głowę na rękach na stola wsparł.

— Zał wam młodego zycia? — zapytała Maryna.

Kostka milczał.

Nagle coś zahuczało.

— Strzelili! — krzyknął radośnie, dźwigając głowę.

— Nie — to mur kajsi kulami zdziurawiony gruchnon.

Kostka naprężył uwagę — cicho było.

— Zal wam zycia? — powtórzyła Maryna.

Naówczas Kostka podniósł oczy, popatrzył na nią i począł mówić powoli:

— Hej, Maryś...

Hej Maryś! Słońce się nade mną wzniosło, jak nad młodym dębem, królem drzew, i koronę mi uzłociło... zacóż tak rychło, tak zaraz chmury miały wzejść, piorun się nade mną miał zakołysać?... Wywyższon chciałem być — ale nie jeno własnej chwały — ludzkiegom szczęścia pragnął...

Wieki miną, nim się to pełnić pocznie, co się za moją sprawą, co się przeze mnie pełnić miało... Królem chłopów, królem małych chciałem być, jako on król Kazimierz Wielki...

— Królem jeście kcieli być? — zapytała zdumiona Maryna.

Ale Kostka nie wytłumaczył jej, tylko mówił dalej:

— Wieki miną... Chłopi sami, rękoma własnemi, nóż pęta na ich szyi przecinający w odmęt morski rzucają. Czemu mnie opuścili? Czemu nie przyszli? Oh! Czemuż biskup Pstrokoński, opat tyniecki, Rzymu się bał? Któż pierwszy gubi mnie i któż pierwszy gubi wolność narodu chłopskiego!? Wiem! Zgaduję kto!

Rozżalił się Kostka i łzy mu w oczach stanęły.

— Czemu chłopci nie przyszli! — wybuchnął. — Czemu nie przyszli! Zdruzgotali mnie życie młode, sobie powróz na szyję zmocnili! Obaczają teraz! Ogień i miecz ich karać będzie. A mnie jeno śmierć... O Beato, Beato, Beato!...

— Świętom Beate wołacie?

— Świętą, mnie najświętszą na ziemi! Miłowałem ci ja, miłowałem, aż serce tajało we mnie! Miłowałem dziewicę aniołowi niebieskiemu podobną i ona mnie też miłowała. Myślałem z nią szczęśliw na szerokich majątnościach, albo i więcej jeszcze, być, a dziś co? Na suchej skale zamknięty, wojskiem obleżony, od wszystkich odstąpiony — krzyż mnie, mesjaszowi chłopskiemu, z cierni korona, włócznia do boku i gąbka octowa! A o szatę moją, o myśl moję, o cnotę moję szlachta z księżmi kości rzucać będą i niedolę chłopską wydzierać sobie będą, jak krucy kości i ścierw, szponami go każdy we swoją stronę ciągnący!

Straszliwy żal, ból brzmiał w głosie Kostki. Przybliżyła się doń Maryna i rzekła:

— Panie, luto mi was.

Pojął na nią Kostka.

— Uzałiło się mi was serce moje. Miejcie pocieszenie.

— Jakoż pocieszenie mam mieć? — odpowiedział gorzko Kostka.

— Prząśnice, piekielne panny, na kołowrotku

nić wam pletły... Juz nastarsa nozyce biere, juz ogień gotowy, nie wypletom wam nici do znaku, w ogień prasnom. Pociescie sie — na kwile.

— Jak?

— Uciescie sie se mnom.

— Jak — powtórzył Kostka nierozumiejąc.

— Tu wam legne — rzekła Maryna, stając przy łożu szambelana Platemberga.

.

Zezwał Sobek chłopów ze Skalnego Podhala. Z pod Osobitej od Orawic pod Murań do Zaru rozlecieli się jego wysłańcy po wsiach podtatrzańskich... Zeszło się przeszło trzystu zbrojnych chłopów przed chałupę Topora Jasicy do Hrubego. Stanęli gromadą, w kosy, łuki, maczugi, ciupagi, często w rusznice i pistolety zbrojni. Było wielu starych, byli chłopcy nieletni, bo młódź parobska w polu przy królu była.

Wyprostował się stary Topór Jasica, że się o głowę wyższy, niż zwykle zdał, i zieloną gałęzią smrekową krzyż nad wojownikami w powietrzu uczyniwszy, silnym wyrzekł głosem:

— Bogu przenoświętsemu was oddajem, Panu Jezusowi i Matce Boskiej Ludzimirskiej! Nieg was prowadzi, a Tur bóg, co ramie dźwiga, i Trzas Straf, co przed nim na kuku leci, nieg bedzie s wami! Dziewięsiły, Čmy i Krocie nieg bedom s wami, a Cérnica Marzanna, Mór po-

przed was! Wężokose, jędze strasne, i Dziw-Dziwo z kociom głową i kat-djabo! z wilcym pyskiem nieg wroga przed wami płosom! Jessa, trzygłowy boze, Panie świata, pomagaj w bój!

Zaczem wyniosła Toporowa Sobcackula jar-kich węglików drzewnych na łopacie żelaznej, a Topór obuchem siekiery w łopatę uderzył, że się ogień na wsze strony świata rozprysnął i gromkim głosem zawołał:

— Jako té wagle na strony świata, tak od was nieg idzie moc i przerazenie! Bydźcie zdrowi!

— Jezus Maryja s nami! — krzyknęli chłopci. — Ostajcie z Bogem!

— Boze prowadz!

Wyszedł Sobek na czoło, a Mardula obok niego, z wielkiego męstwa wyrzucający młynćem w powietrze zberczącą obrączkami ciupagę.

Chciał Sobek Janosika Nędzę Litmanowskiego pozwać ku sobie aby się z nim spotkał i posłał doń Krzysia z Mardulą na Nędzów Gronik. W ciepłe piękne południe tam zaszli.

— Is, is, kieli lezy! — ukazał Krzyś Mardule Janosika Nędzę, wyciągniętego pod jaworem do słońca. Z podziwem nań popatrzeli, choć go dobrze znali, a podziw ten w Mardule był tak wielki, że nawet nie budził zazdrości.

Mały dwunastoletni chłopiec, celadniczek, siedział za Nędzą na pniaku jaworowym, bo od wie-

ków jaworami Nędzów Gronik zarośniony był, i grał mu na gęsiółkach.

Nędza w krzesanice Czerwonych Wierchów błękitno bielejące między ciemnymi lasami na reglach patrzył. Białe i różowawe obłoczki ukazywały się i nikły.

Krzyś przybrał uroczystą minę, a Marduła począł drobne kroki stawiać. Podchodzili niezauważeni przylaskiem rzadkim, dom od wschodniej strony ocieniającym. Krzyś ruczył kapełusz nad czołem i ozwał się:

— Nieg bedzie pokfalony! Co se tak hań poziéracie?

— Niegze bedzie! Witajcie! — odrzekł Nędza, wstając z trawy na widok gości. — Patrzem, bo sie mi widzi, ze hań cosi widzem.

— Je co?

— Jyno się wpatrzajcie dobrze. Straśnie haw u nas w Polanak dzieci na cosik mrejom. U samej mojej siostry umarło dwoje, a trzecie jyno, jyno! Patrzajciez dobrze! W rzeczy mgielka. Hań za lase, popod turnie. Widzicie?

— Haj, widzem — rzekł Marduła. — Obłoczek.

— Obłoczek, wpatrzaj sie tego, a przisłoń ocy, bo słonko razi. W białej sacie Ciha, bogini moru dziecięcego hodzi, a wianek ma na głowie z cyrwonego polnego maku i krwawiącam hustom włosy obwija. Ja tu juz uwazował, ize ona ho-

dzieć ma, bo kwiaty skły i trawa miejscym tak jakkieby pozwypalawał. Ona to hań!

— E? — zawołał Mardula z przestraszonym niedowierzaniem.

— O, óna bedzie — potwierdził Krzys z dwóch powodów: raz że we wszystko nadzwyczajnie wierzył, powtóre, że skoro tak potęga Janosikowa widziała i mówiła, to tak musiało być.

— No, to jom widzicie — rzekł Nędza. — Ona hań jus dość dawno miga. Ceka pewnie na Kanie, co té dzieci, co jej zuciekały, przywabi ku sobie, pohyce i hań je na obłoku przywiezie.

— E jakoz to? — zapytał chłopczyk co gęśle trzymał.

— Cicha jest cyrniata na gębie, a ocy ma wylupione, jak u sowy i takie, jak mróz. Powietrze koło niej jak z grobu, zimne, wilgotne, zatychnione. Białom ma smate na sobie, taki płasc, opleśniony, a pręt carny trzimie w rency i ka na dziecko trefi, to go tym pręte tknie i dziecko mre.

— Sine sie stanie, jak kiebyś go zadawił — rzekł Krzys. — Ja to widział pod Budzyne, be temu ze trzydzieści roków.

— Haj. A té dzieci, co jój ucieknom, to zaś ściga piekielna bogieńka niescężścia, Kania. Ta sie obróci kazdemu dziecku w jego matke, kie sie ś niém stretnie, i wabi go ku sobie. Dzieci lazom, jak głupie, to je pote na obłoki posadzi, siednie ku nim i leci.

— Ka? — zapytał chłopczyk.

— Je wtoz wie? Ciha służy u Marzanny, Kania zaś Cihej dospomaga.

— Ja jesce se staryk ludzi słyhował o Śmiertnicy i o Dzumie — rzekł Krzyś.

— Toté to jyno starsyk ludzi naracyj bierom — rzekł Nędza. — Mnie to Sablik radziél o nik. Béły haw obie pote, kie tu Tatarzy w Kościeliskiej dolinie byli i z Polakami sie bili.

— Dzuma pono jesce gorsa — rzekł Marduła.

— Sytkik wte Carny Bóg i Peklenc z piekła puścili. Trzybek i Marzanna na Pogwizdowyk skrzidlak lecieli i hłopów i baby bili, a Mór z kosom za niémi seł.

— Haj. Boby se sama Dzuma nie dała rady — rzekł Marduła.

— Wte mieli hrubom robote — zauważył Krzyś.

— Bajto! Sablikowi gwarzél pradziadek, co sie ludzie kopyrtali, jak muhy.

— Bie! Nie kopyrtalbyś sie, kie cie taki palice tknie!? — rzekł Krzyś.

— Wicie jom? Cihom? Ona hań ciągle z lasa we wirhu wyhodzi i wraca. Ja sie ku niej u samego rania patrzem. Ceka na Kanie pod tur-niami — mówił Nędza.

— Wiera ceka — przytwierdził z przekonaniem Krzyś.

— Pono śmierzć, Marzanna, na piersego

kwietnia wte, kie słomianom osobe we wodak topiom, a śpiewajom: śmierć sie wije po płotu, sukająca kłopotu, mre — ozwał się chłopczyk z gęślikami.

— Wiera ci ta śmierć mre! Nie gadaj gówien — odpowiedział Nędza, a Krzyś z podziwem nań patrząc, rzekł:

— Terazeście wej, Janosiku, dobrze pedzieli! Wy macie rozum!

I popatrzał z pokiwnięciem pochwalnem głową ku Mardule.

— No, aleście haw do mnie s cémsi przisli? — zapytał Nędza. — Maciuś, powiedz mace, ze som jest goście. Coby mléka prziniesła i oscypka i spyrki i placka.

Wyniosła zatem gaździna, wzniosłego wzrostu i pięknej powagi, poczęstunek: popod jaworami legli, jedząc i pijąc. A chłopczątko przygrywało im na gęślikach, raz po raz przerażeniami oczyma ku biało-różowym mgłom pod krzesanicami Czerwonych Wierchów poglądając.

A gdy się najedli i napili i Marduła z Krzysem, poco ich Sobek Topór posłał, opowiedzieli, odrzekł im Nędza, oddając naprzód, jak przystało, cześć Sobkowi:

— Sobek Topór hłop jak się patrzy i my dwa, kieby na to padło, toby my świat oznieśli. Ani nie wiem, wto lepszy, jyno co Sobek jakisi powolniejszy. Ale ja ta wojny mam dość po Wę-

grak, za Tatrami. I co mnie to ta obhodzi? Ku mnie haw nie idzie nik, zaden pan, ani ksiądz, ani zyd, ani pahołek, cy to królewski, cy kaštełański, lebo starościński, nieg bedzie jaki fce, bobyk go obuske wypłaciel, coby syčke zęby we smatece du domu poniós. Mnie haw dobrze. Komu źle, nieg sie broni. Jakby mnie źle béło, to ja hań nie pudem nikogo pytać, ba sie bedem bronił sam. Moje interasy hań — wskazał za Tatry — nie po dziadowskik dolinak. A i casu niémam tracić. Sablik ośpihował bogatyk kupców, co pojadam bez Luptów, idziemé na nik i moi trze hłopi jutro.

— Sytka polscy hłopi majom wstać — rzekł Marduła.

— I ci od Krakowa i od Sąca?

— Haj.

— Dobrze, coś mi pedział! Jaby sie hań z Lahami miał babrać? Nędza Litmanowski, skrzydlaty Podhalan? Bajto! Jesce kiebyście sami górale hoćby ta i Klisce i Zagórzanie na jaki dwór śli! Moze byk ta i poseł. Z podkówcarzami kieby sie mi dało zejść, to héba poto, cobyk ś nik kope w polu ustawiel, jak ze snopków owsianyk.

— O całom Polskom idzie — rzekł Marduła. — Tak mi Sobek pedzieć kazał.

— Je jakaz to ta Polska? I ka? Tu, bo my Polacy, a za granicom Orawcy i Luptacy, a pote Madziary. A ku Krakowu nie Polska, jyno Lafy.

Ze coż mi ta po hańtyk hłopak? Nieg im ta i za pazdury drzyzgi wbijajom. Mnie to jedność.

— Król spółny...

— Pan Bóg jesce spółniejsy, taki twój, jak i miemiecki. A bees to Miemca broniél? Jesce byś bestyjom kupnon, jakby go maścili, kiebyś jyno pięte wrazil.

Na taki argument zwiesili Marduła i Krzyś głowy w zakłopotaniu.

— Powiedźcie Sobkowi tak: — dodał Nędza — ja hań w doliny nie pude, bobyk sie wodom struł i pod nos by mi dólskie powietrze śmierdziało. Ba jakby haw wto do nas, z góralami, ze skalnemi, wojne fciał robić, to ja mu zastompiem. Wte nieg odkaze po mnie. A i to. Jest hań nizey tys zbójnicy godni, Cepiec, Sawka. Nieg robiom, co uwazujom. A mnieby nie rzec było hań im zbójecki honór odbiérać iść. Stary Sablik pada, jize niedźwiedz z pod Krziwania nie pudzie niedźwiedzom pod Osobitom, lebo pod Wysokom wołów paśnyk bić. Ja tu, tam oni, zbójcecy he-tmani. Ja im ta przeskadzać nie pude.

— Kie to nie o zbójectwo rzec idzie. Tém raze — rzekł Marduła.

— Sewiec jyno buty robi, a kowal jyno konie kuje — odpowiedział Nędza.

Powtórnie zwiesili w zakłopotaniu głowy posłowie i widząc że nie wskórają nic, ku odejściu z powrotem się zabierali. Ale Nędza wtedy

wstał, do chałupy poszedł i wkrótce stamtąd do czekających z darami powrócił.

Dostał tedy dla siebie Krzyś pięć złotych węgierskich dukatów, pięknie pod słońce migocących, a Marduła nóż liptowski w cisowy trzonek oprawny, w kościele w Ruziomberku, przez biskupa święcony, aby się nim przez trzydzieści brzuchów można wypruć, po wielkim i sławnym zbójniku Śliwie z Kubina. Dla Sobka dał Nędza blachę złotą, równie świętą, bo ze zabranej w Kiezmaku monstrancji, wielki talizman w przygodzie, przez słynnego Stanika w Starem Bystrem misternie przekowaną, dla Maryny złotej lamy na gorset, kupcowi w Koszycach skradzionej, i dla starego Topora Jasicy cztery flaszki wina, własnoręcznie przez Sablika ze znawstwem rzeczy w piwnicy w Ujhely pod Tojakiem u grafa wybranego. W winie tem był ogień życia.

Każdy dar wręczając Janosik Nędza, co trzeba było o nim, powiedział. Złotem suł ze szcudrych białych rąk, co nigdy nic twardo nie robiwały.

A matka jego, dumna gaździna na stu krowach, dla Maryny sztukę ślicznego płótna, w domu uprzedzonego dodała. Z zadowoleniem na tę moc swego rodu i podziw przybyłych patrzył, stojąc w progu, stary Nędza Litmanowski, Janosików ojciec, pan czterechset owiec i polan niezmiernych. I na skinienie jego celadnicek

dzbanek gorzałki wyniósł, którą uraczyli się wszyscy do sytości. Zarazem się pożegnano.

— Hej — mówił Krzyś, chwiejąc się nieco na krótkich, poderwanych w kolanach nogach — hej, wiés, powiem ci: majontek:

— Majontek — powtórzył, usiłując się utrzymać w równowadze Mardula. I obaj jedną myślą przejęci zawiedli na gęsty las, którym powracali:

E dy se Janosik, twoje bile ruce...

Sobek niepomyślną odpowiedź Janosika Nędzy otrzymawszy, nie czekał, ale ruszyć do Czorsztyna postanowił. Jednak nie wprost, jak było najbliżej, na prawo w stronę Pienin, lecz wdół nad dunajeckie koryto, wsiami większemi, bo się spodziewał po drodze ludzi zagarnąć.

Aliści biskup krakowski, Gębicki, do kogo mógł, listy słał, a wojewodzie Sieniawski, zdrową już niemal lewicę czując, zaopatrzenie zamku w Sieniawie pozostawiwszy, mimo, iż tak znaczne hufy królowi pod Beresteczko wyprawił, jeszcze dwieście siedmdziesiąt koni z sześciu działami polowemi pod Czorsztyn na wezwanie biskupie mógł ruszyć. Żołnierz każdy w strzelbę i pistolety w olstrach był uzbrojony.

I ci się ze Sobkowymi chłopami, ku którym się już niewielu przyłączyło, bo w Szaflarach wszystkich chłopów ksiądz zatrzymał, narówni

pod Nowym Targiem o południu zeszli. Nagle, jak na zaklęcie, z mrocznego lasu wypadli Sieniawskiego żołnierze.

Siły były te same, ale uzbrojenie i sprawność bojowa inne. W mig obiegli dragoni chłopów i z koni z rusznic ognia do nich dali, gdy sześć dział prosto w kupę kartaczami bluznęło.

Jęk się podniósł, strach górali ogarnął.

Spotkanie było tak nieprzewidziane i niespodziewane, atak tak gwałtowny, że się chłopci odrazu zmieszali i bezład się wszczął. Napróżno Sobek ciupagę wzniósł i ze wściekłym przy boku Mardułą z nożem Janosikowym w rękę, ku najbliższemu stojącemu dragonom, pędem ruszył; napróżno kilkanaście strzelb chłopskich huknęło i kilkadziesiąt strzał furknęło przez powietrze. Ten i ów dragon zachwiał się i spadł z konia, ale palba ich i armaty, przez ćwiczonych artylerzystów Sieniawskiego kierowane, waliły chłopów, jak burza las. Rozbiegli się w ucieczce.

Sieniawski, rannych chłopów z placu ruszać zakazawszy, aby zażywa dognili, i dragonów na straży tego czynu kilku zostawiwszy, sam pod Czorsztyn, co pary w koniach kłusował, aby przybyć, nim go wezmą bez niego.

Z oczami w sufit wlepionemi, uwięziony w komnacie Platemberga, leżał Kostka na łożu drugą już godzinę z rzędu. Maryna obok siedziała, milcząc.

Czekali.

Wtem otwarto drzwi przedpokoju i kilku ludzi weszło; zastali podwoje do sypialnej komnaty Platemberga zamknięte i zapukali silnie.

— Kto? — zapytał Kostka.

— My.

Poznał głos Maćka Nowobilskiego.

— Łotry, tchórze i zdrajcy!? — krzyknął.

— Nieg pan odepre. Pote bedziemé gadać.

Kostka porwał się i klucz w zamku przekręcił.

Weszli obaj Nowobilscy, Kuros i trzech innych chłopów.

— Daliście zamek!

Potęźni chłopci przeciw niskiego Kostki zmieszali się, aż Kuros zuchwale rzekł:

— Kupilimy zycie i wolność za wasę głowy.

— Za czyje?

— Za wasom i za Łętowskiego.

Rozśmiał się wówczas Kostka. Rozśmiał się szeroko. I śmiał się długo, długo, serdecznie. A potem ręce naprzód wyciągnął i rzekł:

— Wiążcie mnie!

— Tego nietrza, jak pan dobrowolnie pudem — odpowiedział Maciek Nowobilski, nie patrząc Kostce w oczy.

— Dobrowolnie pójde — dobrowolnie narażam się na śmierć dla was, to i dobrowolnie pójde na śmierć przez was. Idźmy.

I Kostka postąpił przed siebie.

— Hłopi — — ozwał się Józek Nowobilski z wahaniem.

Ale Maciek rzekł:

— Przisiengnione, podpisane, skońcone.

— Gdzie marszałek Łętowski? — zapytał Kostka.

— W piwnicy je — zaparty. Zaraz go wy-wiedziemé.

— Przyjaciele — rzekł Kostka łagodnie — we mnie i w nim zabijacie sami siebie.

— Kieby odsiec bęła nadciągała, kieby choć Sobek z Hrubego bęł nadesęł — lepsi co dwie głowy spadnom, jako coby my sytka mieli być o głowe krótsi — uniewinniał rzecz Józek Nowobilski.

— Mieli my ostawiać baby, dzieci sieroty? — mówił Bagancarz.

— Łętowski stary, wyście nie zeniaci — zauważył Kułach.

— Wyście nas zręstom nato przywiedli — ozwał się Kuros. — Za wasom sprawom my tu przišli, za wasym oskazem w zamku sie bronili. Obiecowaliście dziesięć tysięcy hłopów — kazsom jest?

— Kieby bęli przišli...

— Sami powiedzcie, panie, co my mieli robić? — rzekł Maciek Nowobilski. — Dwa dni my sie bili, jak lwy, jageście to sami nie raz i nie dwa razy do nas rzekli. Syćko Złybóg bozek

przeklon! Nie stanie sie nic. Ginońć — o co, ale o nic?

— Haj, haj! — przytwierdzili chłopci.

Otwarli Nowobilscy drzwi od piwnicy i wyszedł z niej Łętowski. Z lękiem spojrzał nań Kostka, ale chłop był spokojny. Nie rzucił mu ani jednego spojrzenia wyrzutu, czy żalu.

Przystąpił do Kostki i wyciągnawszy ku niemu twardą, zmarszczoną od pracy, rękę, rzekł bez wzruszenia:

— No to juz my hań!

Wszyscy zdrowi i lżej ranni chłopci, obie Nowobilskie i Hanka, żydzi z pęt uwolnieni, otoczyli Kostkę i Łętowskiego. Maryna szła z tyłu, jak nieprzytomna.

Okropności, które słyszała była o kochanku swoim, Sieniawskim, a które jej z myśli nie ustępowały, szturm do zamku, w którym walczyła, lejąc na żołnierzy smołę, gruz strącając i widłami wdzierających się po drabinach prac na dół, godzina, przepędzona z Kostką w komnacie Platterberga, nieprzyjście brata, zdanie zamku i wydawanie Kostki na śmierć i spokój jego, podobny do spokoju drzewa na walącym się urwisku w czas ciszy: wszystko to oszołomiło ją, jakby zamroziło krew.

I chłopci milczeli. Nawet zuchwały i zawzięty Kuros odwrócił głowę w bok i oczy przed siebie w ziem puścił.

Stali tak — w chwili wydawania ludzi na śmierć.

Wtem ozwał się chrypliwy, wąskoustny głos:

— Kłaniam jaśnie wielmożnemu panu staroście pułkownikowi, kłaniam!...

To Jozue Zbarazki przestał się bać Kostki i chłopów. A to tem więcej, że w tej chwili przez otwartą bramę zamku wjeżdżał na siwym dzianecie pułkownik Jarocki, a obok na rosłym, złotogniadym tureckim bojowym bachmacie, w bok buławką połączaną wsparty, wojewodzie Hieronim Sieniawski. Za nimi dragoni. Wpadli też i chłopci czorsztyńscy i zaraz widząc zmianę fortuny, przypodobać się wojsku chcieli i Kostkę jęli szarpać za długie włosy i pomstować mu. Przerażony jęknął rozpaczliwie, lecz Jarocki dragonom chłopów precz odpędzić kazał.

Wtedy Sieniawski podjechał bliżej i krzyknął drwiąco:

— Tuśmy się spotkali, panie Kostka!?

Ale w ten raz wzrok jego padł na twarz Maryny.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknął zegnając się przez czoło, lewe ramię i pierś złoconą buławą. — Maryna!? Ty tu co robisz!?

Zacisnęło się Marynie gardło. W zdumieniu, w zaslupieniu poznała Sieniawskiego.

Wojewodzie lekce sobie Jarockiego, oficerów i obecną szlachtę ważył — był pan, a oni wszys-

cy do strzemion mu się ledwie, by sobie jego pańskie łaski zaskarbić, nie gięli; za nic też miał wzięcie w taki sposób Czorsztyna.

Pchnął konia i blisko ku Marynie podjechał.

— Maryna, ty tu, przy tym drabie!? — rzekł surowo, wskazując buławką Kostkę, którego już wraz z Łętowskim dragoni Jarockiego otoczyli.

Maryna milczała. Żal, ból, oburzenie, gniew mowę jej odejmowały.

— Ty przy tym psie!? — powtórzył.

Marynie głos wrócił. Wyprostowała się i rzuciła Sieniawskiemu prosto w twarz, co jej do myśli przyszło.

— To, coś ty bez dwa roki ode mnie ani upytać, ani za złoto kupić nie zdołał, to on ode mnie przed godzinom dobrowolnie dostał! Teraz wiés!?

Zapłynął krwią Sieniawski na twarzy, aż się purpurowy stał. Słowa mu brakło. Nagle buławkę złoconą wzniosł i z konia w głowę Marynę trzasnął. Bluznęła krew, a Maryna, krzyknawszy: Jezus Marja! — z rozkrzyżowanymi rękami wtył padła. Potem wbił w boki bachmata złote ostrogi i zdarł go cuglami, że się wspięty na zadnich kopytach skreślił i skinawszy buławką przed siebie, między swoich konia wparł i poleciał ku bramie, jak opętany. Runęli za nim jego kawalerzyści.

Ruch się zrobił koło Maryny. Podjęły ją z ziemi Nowobilskie z Hanką. Maćkowa jej do

serca dłoń przyłożyła, a widząc, że żyje, zaniosły ją ku studni i trzeźwić zaczęły.

Wojsko zrabowało zamek do cna, potem Jarocki zostawiwszy w nim załogą piechotę biskupią z armatami, Kostkę i Łętowskiego na luźne konie wsadziwszy, co tchu, w obawie przed mogącą nadciągnąć od Czarnego Dunajca, lub Białej Góry czernią, ku Nowemu Targowi z dragonami ruszył.

Gnał przez Luboń, Myślenice i Mogilany i na drugi dzień pod wieczór do Krakowa docierał. A tam, gdy się o prowadzeniu buntownika Kostki wieść doniosła, wyjechała naprzeciw drugą dragonja na Kazimierz, za staw królewski w towarzystwie panów szlachty Siewierskich pod chorągwiami. Tam wsadzili go na kolasę i stojącego przywiązali do drabinek, ręce związawszy. Stał w kolasce, że go mógł każdy widzieć. Stał i wesoło, śmiało, swobodnie po tłumie ludzi, bo lud srogi wyszedł na Kaźmierz, pozierał. Łętowski siedział za nim w kolasie, z rękoma wtył związanemi w magierce i brudnej koszuli. Przez Grodzką bramę koło wału, przez miasto, przywieziono ich przed pałac biskupi, stamtąd odwieziono na zamek i wpakowano Kostkę do wieży szlacheckiej, Łętowskiego do złodziejskiej.

A już w Szaflarach księdzu plebanowi tamtejszemu oddawali chłopci uniwersał Chmielnic-

kiego, dany przez Kostkę Cepcowi i Sawce, a przez nich i ich wysłanników pomiędzy lud rozdawany. Ten uniwersał pleban szaflarski biskupowi Gębickiemu posłał, podpisując „pod przysięgą“, skąd go dostał, i ten uniwersał, przetrząsając w więzieniu kieszenie Kostki, w jednej kieszeni znaleziono.

Zebrał się na gwałt sąd krakowski i na gwałt strażnik grodzki przedłożył protokół, akta, listy i uniwersały Kostki, raporta zaciągów niemieckich i ów uniwersał Chmielnickiego i wniósł oskarżenie. Śpieszono się, bo słuchy szły, że górale odbić Kostkę ciągną.

Nie chciało się to panom krakowskim, a osobliwie biskupowi Gębickiemu pomieścić w głowie, żeby jeden jakiś młody człowiek, bez bogactw, bez znaczenia osobistego, bez potęgi, Kostka, czy nie Kostka, choćby jak śmiały, porwał się sam na szlachtę i to w tak bezczelnie zachwały sposób, gdyby kogoś za sobą za plecami nie miał. Agentą czyjegoś w nim podejrzewano.

Samo porozumienie z Chmielnickim, przed którym bądź co bądź wielkie wojsko Rzeczypospolitej w tej chwili stało: wydawało się niewystarczającym. Jedni mówili: Rakoczy, inni: cesarz niemiecki, inni imię samego nawet króla, którego ogół szlachty nienawidził, w grę wciągali. Mógł on o przygniecenie żywiołu szlacheckiego skrycie się starać. Inni rachub nawet pomiędzy

sobą szukali. Wiedziano, że Kostka po dworach pańskich bywał. Mogły być czyjeś ambicje, zemsty, zamysły poruszone... Kostka mógł być podstawioną figurą jakiego magnata, dążącego do zrujnowania i unicestwienia rywali, detronizacji gasnącej dynastji Wazów i sięgnięcia po chłopską koronę... Ksiądz biskup Gębicki zaś, któremu pełniący cnoty Św. Franciszka z Asyżu opat tyniecki dawno już pod oczy padł, a który, jak wiadomo było, Kostkę nie tylko ostatnim czasem gościł, ale nawet glejt bezpieczeństwa, w oskarżeniu przedłożony, od niego otrzymał: tam po-dejrzenia swe zwrócił.

Nie mógł sobie biskup wyobrazić, czegoby opat w związku z buntem chłopskim szukał, coby zyskał, ale faktem było, że gdy się wszyscy tego ruchu bali, on się go nie potrzebował bać. Za nic, dla świątobliwości opata i jego cnót miłosiernych, Kostka by był listu bezpieczeństwa tak starannie stylizowanego nie dawał. Ręka rękę myje — myślał ksiądz Gębicki — też kruczego tylko oka kruk szczędzi... Mógł opat w razie potrzeby schronienie obiecać Kostce, mógł mu i pieniędzy dostarczyć... Kto wie, co on tam, chodząc po swoim tynieckim ogrodzie za murami mógł myśleć...

Kostka wyznać prawdę i wyjawić wszystko musiał. Postanowiono przeprowadzić z uwięzionymi śledztwo na mękach.

Ze zamkowego okna szlacheckiej turmy po-
zierał Kostka nad Wisłę w stronę Tyńca. Było
rano, świt. Ślicznie wschodziło ogromne słońce,
złocąc niebo odrazu zuchwałym blaskiem. Na
Wiśle zazieleniła się i zasrebrzyła fala.

Jak okiem sięgnąć, zboża i łąki, pełne kwiecica
białego sady, ogrody kwitnące i naokoło puszcze.
Góra Świętej Bronisławy zielona, białe dwie
wieże kościoła kamedulów bielańskich z czar-
nemi dachami, jakby pochylone nad Wisłą.
Szeroka, zielona przestrzeń Błoń, na które już
stada miejskie, ze Zwierzyńca, z Półwsia Zwie-
rzynieckiego, z Woli, z Czarnej Wsi, z pod Łob-
zowskiego Kazimierzowskiego pałacu wygania-
no — stada krów i konie.

Pod zamkiem i naokół cicho — cicho aż het
poza pola ku błękitnym wzgórzom Beskidu, ku
dalekim, majaczącym w szezodze rannej ostrym
lśniącym widziadłom Tatr.

Szły drobne z wysoka postacie bab krakow-
skich w jaskrawych chustach, jasnych spodni-
cach i czerwonych butach, z koszykami na rę-
kach i plecach do Krakowa na targ. Szły po
dwie, po trzy, czasem grupką — drobne, kolo-
rowe jak w jasełkach dla dzieci.

Na zamkowej górze pod murami śpiewało
mnóstwo ptaków wiosennych, czyniąc świegot
i wesołe, radosne dźwięczenie powietrza.

Świat cały obudził się ze snu i otwarł barwne, świetne, dźwięczne żrenice.

W taki czas opat ksiądz biskup Pstrokoński chodził po swym tynieckim parku i pacierze poranne odmawiał.

Kwitły koło niego jabłonie i czereśnie, zieleńiła się winnica benedyktyńska, kwitły starannie hodowane i pielęgnowane róże, lilje, narcysy, fuksje, piwonje i tulipany.

Pachniał mu w spokoju ogród, w pogodzie i rozmodleniu porannem.

I wydaje się opatowi, iż Bóg widzi jego modlitwę — jego i klasztornego ogrodu; iż odwieczne dęby, lipy i klony, wśród których w surowym swym habicie się przechadza, współ z nim się modlą, jakoby kopułę nad ołtarzem, baldakim splecionych konarów nad jego pacierzem czyniące.

O ojczy, ojczy Pstrokoński!...

Czemuż nie chciałeś krzyża w rękę wziąć i z murów klasztoru twego, z Tyńca bram wyjść i chłopom polską chłopską wiarę powiedzieć i krzyż im w zboża, w bławaty polne, w trawę łączną owity wynieść?...

Czemuś nie chciałeś papieżem chłopskim być, narodowego kościoła jutrznią i wieszczem?...

Czemuż nie chciałeś być zwiastunem i ogłosi-cielem chłopskiego, polskiego Chrystusa?

Czemuż wolałeś być i pozostać sługą Rzymu?

Czemuż dałeś na zatracenie sprawę świętą, czemuż w rękach sług Rzymu i przyjaciół hardego barbarzyństwa przepadła?

O Beato!

Beato Herburtówna, piękna, oto przez twoje ręce w ręce sądu wydany!...

Boleśnie, żałośnie, patrzył Kostka przed siebie.

Otwarły się drzwi żelazne.

Wszedł dozorca więzienny i dwóch drabów z krótkimi, szerokimi tasakami w rękę.

— Na sąd? — zapytał Kostka.

— Nie, na męki — odpowiedział dozorca.

— Jakto!?

Nie odpowiedziano mu nic, jego zaś zimny pot oblał od stóp do głów w jednym momencie.

— Na męki!? Czemu!? Zaco!? Możecie mię zabić, lecz poco męczyć macie!?

— Nie wiemy. Przywieść rozkazano.

Opanował się Kostka. — Idźmy — rzekł, podobnie, jak kiedy go wydać miano w Czor-sztynie.

Powiedli go na dół po wąskich schodach kamiennych, wywiedli w ciemny korytarz i wprowadzili w niskie sklepienie, kształt piwnicy mające.

Tam na ścianach czarnych ciosowych tliły się kagańce czerwone i słaby blask dnia przez kra-

towane okna zazierał; obok stołu, nisko płonęła w tyglu siarka żółtym płomieniem.

Siedział za wielkim stołem, czarnem suknem okrytym sędzia w kapturze zapadłym na oczy, w opończy długiej. Obok stał kat i jego pomocnicy.

Stawiono Kostkę przed stół.

Staął prosty i sztywny, jakby wyniosły.

Królewski syn, ludu wódz i zbawiciel...

— Ktoś jest — zapytał sędzia.

— Aleksander Leon Kostka Napierski ze Sternberku.

— Kłamiesz! — rzekł sędzia.

— Kłamać nie będę. Jam Władysława Czwartego króla syn.

— Z kim byłeś w zмовie?

Nie rzekł nic.

— Bierz go kat!

Zbliżył się kat i jego pomocnicy. Zwleczono z Kostki odzienie do pasa. Do obręczy żelaznych, w podłogę wbitych, przywiązano mu nogi, do podobnych obręczy, wtwierdzonych w powalę, ręce i przewleczono sznury, które ujął kat w dłonie.

— Z kim byłeś w zмовie?

Nie odpowiedział.

— Włócz go kat!

Raz!

Kat wyprężył sznury. Zatrzeszczały kości w stawach w ciele Kostkowem.

— Z kim byłeś w zмовіе?

Dwa!

Trzy!

Pal go kat!

Dwaj pomocnicy kata przytknęli pochodnie do płonącego tygla i zapaliwszy, przybliżyli je do wytężonego, wyciągniętego w strunę ciała Kostki do boków. Skóra poczęła smędzić.

— Z kim byłeś w zмовіе?

Milczenie.

— Raz!

— Dwa!

— Pal go trzy!

Kat zanurzył żelazną warząchew w tyglu i bryznął płonącą siarką na obnażone piersi Kostkowe.

Ze ściętych jego zębów wydarł się krótki, dziki jęk.

— Będiesz mówił? — zapytał sędzia.

— Będę! — stęknął Kostka.

Cofnięto płomienie, sfolgowano sznury.

— Chłopów zbuntować chciałem, Chmielnickiego pomoc przyrzeczoną miał — jego włócz! Rakoczy zjednany był — jego pal! Werbować Niemców posłałem, Kraków rabować, kościoły palić, dwory szlacheckie w popiół mienić, szlachtę tępemi nożami rżnąć chciałem! W zgłiszczе,

w perzynę, w kurzawę dawną Polskę obrócić chciałem, nową z polskiego dębu i polskiej pszenicy postawić! Jak mór, jak Boży gniew, jak wulkan i trzęsienie ziemi, jak deszcz ognia piekielnego Gomorę duchowną, Sodomę szlachecką przejść, zniweczyć ślady i pamięci imienia nie pozostawić chciałem! We krwi i ogniu utopić i zatopić was, księża, panowie, szlachta, biskupi, rycerze, sędziowie, katy: tegom chciałem!

Runął i zemdłał. Ocucono go wodą. Sędzia, wzburzony, więcej go już nie pytał, rozkazał pod pachy wziąć i do celi odwlec, a co Kostka mówił, spisał.

Zkolei przyprowadzono Łętowskiego.

Ten, wchodząc, przeżegnał się i westchnął.

— Nazywasz się? — zapytał sędzia.

— Stanisław Łętowski, sołtys z Carnego Dónajca.

— Z kim w zмовie byliście?

A Łętowski odpowiedział:

— Z Panem Jezusem, co ludzi sytkik równyk strworzył.

Wkręcono mu palce w śruby i obcęgami żelaznemi szczypano ciało, ale nawet nie jęknął. Powiedział tylko:

— Choćbyście mie tu umencyli, nie powiem nic, bo nic do powiedzenia niémas.

Héba to jedno: nie dziś, to jutro! Zreśtom wiécie sytko.

Ale biskup Gębicki miał list proboszcza z Lubnia w ręku. Posłano pięćdziesięciu dragonów do Pcimia i ci na siodle rektora Martinusa Radockiego rzemieniami umocowawszy, przywieźli go do Krakowa, gdzie był przed sąd stawion, męczon lecz, tak samo jak Łętowski, mówił, że nic nad to, co wiadomem jest, do powiedzenia nie ma.

Tymczasem przyszły wieści, iż król z pod Sokala Michała Zebrzydowskiego, miecznika koronnego, z kilkuset jego własnymi ludźmi, przydając mu pieniądze zaciągniętych, kozackie chorągwie cztery i dragonów pana Marcina Czarneckiego cztery kornety, przeciw rebelji chłopskiej wysłał, a ku tym przyłączył się pan Aleksander Michał Lubomirski, koniuszy koronny, sandomirski starosta, „chcąc i majątnościom swoim, które wszystkie prawie około Krakowa leżały, succurrere, i oraz się spodziewając prędszej w tej tam na sławę dobrą zarobić akazyjej“. Ku temu i Lanckoroński, śniatyński starosta, się przybrał. Ci z uwalniającą od pospolitego ruszenia atestacją królewską: „Jan Kazimierz z łaski Bożej Król Polski, Wielkie Książę Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie, Smoleńskie, Czerniechowskie, a Szwedzki, Gotzki Wandalski dziedziczny Król. Wszem wobec i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy, a mianowicie Dygnitarzom, Urzędnikom, Sta-

rostem i wszystkiemu Rycerstwu i Obywatelom koronnym, uprzejmie nam miłym, oznajmujemy, iż na zatłumienie buntów i tumultów, w województwie krakowskiem i po wszystkiem Podgórzu przez jednego łotra wszczętych, niejakiego Aleksandra Kostkę, wyprawiliśmy etc. etc. etc... zaczym, jeżeliby którego z pod tych chorągwi Urodzonego Koniuszego Koronnego towarzysza albo czeladnika, kto względem tego pospolitego ruszenia turbować chciał, aby za ukazaniem tej attestacyej zaraz wolny od prawa zostawał. Na co dla lepszej wiary przy podpisie ręki naszej pieczęć koronną przycisnąć rozkazujemy. Dan w obozie pod Beresteczkiem dnia XXVI miesiąca Czerwca, Roku Pańskiego MDCLI, panowania naszego Polskiego III-go szwedzkiego IV-go roku. Jan Kazimierz Król“ — ruszyli.

Też „Jerzy Hrabia na Wiśniczu Lubomirski, Marszałek Wielki Koronny, Generał Krakowski, Spiski, Chmielnicki etc. Starosta“, wszystkiej szlachcie, którą „za nastąpieniem niebezpieczeństw od ściany podgórskiej i żarzącej się między chłopcy rebelliej J. K. Mć. Pan nasz M-ciwy dla obrony i zabezpieczenia wszczynającym się rozruchom, ze zdaniem Panów Rad i Senatu powracać raczy“ atestację „z władzy urzędu swego“ dał, że „ochotni do obrony całości ojczyzny etc. byli“ i teraz „za samem zdaniem tylko, wołą J. K. M. i Senatu potrzebą Rzpltej pociągnięni, wracają“.

Razem 2000 wojska z wielkim strachem, mimo potęgi kozackiej i tatarskiej naprzeciw, na gwałt wyprawiono.

„Albowiem najbardziej ze wszystkich niepokojących wieści z kraju (przez pana Twardowskiego, surrogatora Poznańskiego i pana Adama Niedźwiedźkiego z Królikowa powiatu słupieckiego przysłanych), potrwożyły wszystkich listy Piotra Gębickiego, Biskupa Krakowskiego“.

Wyrok sądu zapadł: osądzono Radockiego na ścięcie, Łętowskiego na ćwierutowanie, Kostkę na pal.

Jechał ksiądz opat biskup Pstrokoński do Krakowa wstawiać się za Kostką, ale gdy mu powiedziano, iż wydany dla klasztoru tynieckiego list żelazny powagę powszechną zwrócił, uląkł się. Uląkł się tem więcej, że stosunki Kostki z sekciarzem Radockim, wrogiem panującego Kościoła, podejrzenia jakowe i na niego zwrócić były mogły.

Zgłosił się tylko na zamku, iż jako dawny obwinionego znajomy i wychowawcy jego, nieboszczyka kasztelana Rafała Kostki przyjaciel, wypowiadaćby go chciał, naco pozwolono.

Było rano wczesne w dzień egzekucji, kiedy go do celi Kostki puszczono.

Kostka leżał na słomie, oczy miał otwarte, w słup stojące, nieruchome.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — ozwał się opat próg przestępując.

— Niech będzie na wieki wieków. Amen. — odpowiedział skazany, nie patrząc kto wchodzi.

— Synu, niosę ci ostatnią pociechę przed śmiercią — rzekł opat.

Kostka wzniosł głowę i poznał przybyłego.

— A — rzekł, dźwigając się z pościeli — to ty, ojcze? Bądź zdrow!

— Przyniosłem ci Ciało i Krew Pańską.

— Ojcze, jam chciał kościoły palić!

— Ciało i Krew Pańską ci przyniosłem.

— Ojcze, jam chciał dobra duchowne chłopom rozdać!

— Ciało i Krew Pańską ci przyniosłem — rzekł po raz trzeci opat.

— Rzym mi przyniosłeś, ojcze! Jesteście, jako śmierć! Cokolwiekby się robiło, jakkolwiekby się broniło: przyjdzie! I wy przychodzicie, jak śmierć: pewni, w godzinę śmierci! Ale niema was tam, gdzie jest życie!

— Chrzcimy — powiedział opat.

— Chrzcicie! Woda wasza i sól — to żelaza!

— Bluźnisz synu i grzeszysz w ostatnim momencie życia.

— Bluźnię i grzeszę!? Zali ciebie, ojcze, nie okuto w żelaza w zaraniu, abyś, gdy przyjdzie pora, ręce i nogi pod pętami uczuł? Nie powsta-

leś, nie wyszedłeś z krzyżem przed prosty lud, ten lud, którego Chrystus był mesjaszem!

— Anabaptysta Radocki przez ciebie mówi.

— Nie potrzeba tu anabaptystów! Świętego Franciszka z Asyżu naśladujesz, który Chrystusa naśladował. O zaiste! Gdyby się Chrystusowi podobało w te dni z nieba zstąpić, byłby on cię rozgrzeszył, ojczu, przed nami z krzyżem spotkawszy! I świętym byłbyś we większym kalendarzu, niż ten, którym rok rachujemy! Świętym byłbyś w kalendarzu milionów dusz niešťczęśliwego narodu uciemieżonych! Nie kadzi-dła za tynfy u kupców nabyte by cię, ojczu, okazały w ołtarzu, ale by ci błogosławił tłum cie-miężonych i łzy niewoli obmyłyby ci stopy i ręce wodą świętą, jak woda chrztu!...

Pod ten czas wypowiedawszy się i komunję przyjąwszy od zamkowego księdza, sołtys Łętowski pisarzowi, do kaźni mu przyprowadzo-nemu dyktował testament, zaczynając:

W Imię Pańskie Amen! Roku Pańskiego 1651 Dnia 24 lipca.

Ja Stanisław Marsiałek alias Łętowski widząc się być z dopuszczenia Pana Boga Wsechmogoncego blizsym śmierzci, nizeli żywota, takie osporządzenie cyniem: naprzódzi duse swojom oddajem Panu Bogu Wsechmogoncemu w rence jego świę-te, a ciało ziemi... Siestrze Kajsce becka kapusty,

co pod oknem w carnej izbie stoi i dwoje cielont od cisule. Jantalek śrybelnyk wielgik talarów wengierskik na nowy ołtarz w kościele w Dónajcu legujem, kotlik dukatów nieg dzieci pomiendzy sie ozdzielom. Jyno coby sie przy tém nie kłopotili. Brat Franek do równości sprawiedliwie ozdzielić ma. Jest je showany w ogródku za izbami, blisko studnie, między skalami, pod takom wielgażnom skrzizal, tak, jako w murze. Jyno trza przódzi renkom miejsce przezegnać i trzi razyj przepedzieć: w Imie Ojca i Syna i Duha Świentego. Amen. — bo ig inacy nie dostanie. Śmiertelny jest cłek i śmierzci sie zawdy spodziéwać musi. Nie zal mi umiérać, bok długo zył i Panu Bogu sie nie prociwiem, jyno mi to zal, co nie w doma ka ojcowie marli, umrem, ba na mękak, cemu ja sie nigda za zywoebycia nie spodziéwał.

Ale skoro taka wóla Boska, nieg bedzie. I to mi zal, co sie ze swojémi ludziami, ze zonom, z dzieciami, z bratem, ze siestrom i ze sytkiémi nie pozegnam, ani co se jesce na swoje rolom i na sad, hoć sie ta w nim płono rodziło, na łaki i na las, na całe gazdowstwo, a béło z łaski Pana Boga niemałe, nie uspoziéram, ocy ś niém nie uciesem, ba trza obdalno od swojego kraju odpytać świat. Bóg zegnaj sytkim i sytkiemu, co po mnie ostaje, i bądź miłościw mnie grzesnemu teraz i w samej istej godzinie śmierzci mojej,

co nieg sie stanie w Imie Ojca i Syna i Duha Świętego. Amen.

Rektor Radecki odmówił księdza i ostatniej spowiedzi.

— Z Bogam duszę wziął, Bogu ją oddam — rzekł do zakonnika, który doń przyszedł.

Nie bądź zuchwały myśleć, iżbyś Bogu ręce wiązać, lub rozwiązywać mógł. Co wy zawiążecie na ziemi, będzie zawiązane i w niebie, a co wy rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie, powiedział Chrystus, co dotyczyło jego świętych prawd, nie władzy nieba i piekła w ludzkich rękach!

A gdy przedstawienia, namowy, prośby i zaklęcia nic nie pomogły i suchy, żylasty starzec niewzruszonym pozostawał, wzburzony ksiądz wyszedł, krzyknąwszy: Idź więc, przeklęty heretyku, samochcąc w ogień wieczny! Na stosie by cię spalić należało!

Wówczas powiadomiony o tej zatwardziałości sąd głowę jego na palu wystawić rozkazał.

Na Krzemionkach za Wisłą, troistą szubienicę wzniesiono i pomocnicy kata ostrz żelazny na pal sosnowy wbili. Jedenaście chorągwi konnych w pełnym rysztunku, miejskich, biskupa i panów okolicznych, wyjechało, a gawiedzi miejskiej masy ogromne poza Wisłę przez most, na promie i łódkach rybackich się przeprawiły. Ze strachem, który z niecną i podłą ciekawością walczył.

Wieść, iż Kostkę pojmano, iż go do Krakowa dragoni „pod siablami“ wieźli, rozeszła się falą po góralszczyźnie. Żony mężów, matki synów, siostry braci, dziewczki kochanków, a dzieci ojców za szyje, czy pod nogi obejmowały i wołały, aby go szli bronić. Ku wieści tej przymieszała się wieść po śledztwie, na którem się Kostka wyznał, iż był królewski syn. Starzy chłopci pamiętali wielkie wojny za Zygmunta III i Władysława IV, walczyli pod nimi przeciw Turkom i Rosjanom, pamiętali bunty i rokosze szlacheckie, królów udrękę, i chowali w duszach miłość i cześć dla rodu królewskiego i królewskiej krwi. Dlatego „cała siła województwa“, jedenaście chorągwi, otoczyła plac egzekucyjny.

Pod ten czas też Beata Herburtówna, na rekolekcjach w klasztorze klarysek w Nowym Sączu przez ojca osadzona, usłyszawszy iż Kostkę na pal wbijać mają, po prześcieradłach związanych w nocy po murze się spuściła i jak szalona przed się w habicie, w który ją przyodziano, biegła. Biegła ku Krakowu gościńcem, napadana przez psy, które jej habit darły, różańcem się im ametystowym opędzając.

Biegła przez noc z tą myślą, aby Kostkę ratować, lecz ku ranu sił jej braknąć zaczynało i z wycieńczenia ślaniała się, gdy w polu nieopodal dym i ogień dostrzegła. Czując, że padnie

i krwawemi stopami nie pójdzie dalej, tam się zwróciła.

Traf chciał, iż obozował to Sieniawskiego oddział, z pod Czorsztyna przeciw chłopom wiezione.

Sieniawski jeszcze do nikogo nie przemówił był; jechał na czele i szukał band chłopskich, które, o ile się wily w okolicy, przed jego dragonami pierzchały.

Przy osobnem ognisku, na derach i kobiercu leżał Sieniawski pół drzemiąc, kilkadziesiąt kroków od żołnierzy, gdy ku niemu Beata Herburtówna przypadła.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał oczy podnosząc.

— I ja go chwale! — odpowiedziała Beata i w tej chwili poznali się nawzajem.

— W takim stroju!? Wojewodzianka!? Tu!? Sama jedna!? Pieszol!? — mówił zdumiony Sieniawski.

— Pana Kostkę ratować biegnę! Na pal go w Krakowie wbijać mają!

Zerwał się Sieniawski z leżenia na równe nogi. Złe ognie na twarz mu wybiły. Przytknął trąbkę do ust i zagrał na alarm. W mig porwali się pobudzeni już dragoni.

— Konia luzem! — krzyknął.

Usłyszeli dragoni i duchem wierzchowca przywiedli, w zdumieniu na pannę spoglądając.

— Mości wojewodziańko, oto koń — wybaczej, lecz damskiego siodła nie mamy z sobą — rzekł Sieniawski.

— Dokąd? — zapytała Herburtówna.

— Kostkę odbić! — odpowiedział Sieniawski dziwnym głosem.

Beata ustami do ręki mu przypadła. Rycersko odsunął ją Sieniawski, na konia w rękach prawie podniósł, burkę swoją na nią zarzucił i na ogiera swego skoczywszy, ostrogi mu wbił i krzyknął: Naprzód!

Wichrem pomknęli. Wszystko stało się tak szybko, że dopiero teraz na koniach w pędzie żołnierze mieli czas na dziwienie się i nierozumienie. Odbiegli lanckorońskich lasów.

Nikt nie przeszkadzał egzekucji u troistej szubienicy na Krzemionkach. Na wielkim drabiniastym wozie, w otoczeniu eskorty wojskowej z dobytą bronią, wieziono trzech skazanych przez Stradom, Kaźmierz, na most, i przez Podgórze nad Wisłą na Krzemionki. Dzień był dżdżysty wiosenny, to chmurny, to świecący słońcem, pełen wilgoci.

Kostka jechał blady, jak trup, ze ściętymi ustami i z oczyma tak zimno surowemi, że gdy na kogo spojrzał, mróz szedł po członkach. A patrzył po ludziach ciągle, na prawo i na lewo — czy chciał się im przypatrywać czy szukał kogo? Wyprostowany siedział, nieporuszo-

ny. Ale od czasu do czasu garbił się, kurczył, strach śmiertelny i zgroza osiadały mu twarz, smutek, ból i rozpacz ściągały mu głowę wdół — i znów prostował się i znów jechał wyprostowany, zimny i surowy.

Radocki oczy w przestrzeń miał white, jakby nie istniało naokół niego nic. Łętowski wypił w kaźni konewkę wina i jechał obojętny, na śmierć, która, tak czy tak jest nieuchronna.

Wtem ujrzał Kostka troistą szubienicę i pod nią pal we mgle.

Wówczas szyja wstąpiła mu w ramiona, a broda wpila się w pierś, oczy skołzczały, pot wypłynął na czoło, zaczął się trząść i dławienie poczęło mu ramionami podrzucać. Nieopisana trwoga osiadła mu twarz. Ale trwało to krótko. Opanował się, nie wzniósł, ale poderwał głowę wgóre, wyprostował się i ukazał twarz tak spokojną, stężoną, własnowolną, jak gdyby ta śmierć, której naprzeciw szedł, była oczekiwaną.

Podjechano pod szubienicę, wysadzono skazanych z wozów. Stał kat z pomocnikiem; jeden miecz ciężki trzymał w ręku, drugi przy palu z nabitym szpicem żelaznym stał. Pień na głów ścinanie był przygotowany.

Urzędnik grodowy, wśród grobowego milczenia tłumu i żołnierzy, odczytywać począł wyroki: spokojnie ich skazani wysłuchali.

Poczem podprowadzono rektora Martinusa

Radockiego; i on i Łętowski ręce mieli wtył związane.

Dwaj pachołkowie opuścili Radockiego na klęczki, obnażyli mu szyję; Radocki milczał i oczy miał wzniesione w niebo.

Dopiero, gdy ukląkł, westchnął i dużym głosem zawołał:

— Przyjdź Królestwo Twoje!

Ciężki miecz spadł: głowa potoczyła się wśród strumieni bluzgającej z arteryj krwi.

Poczem kat podjął ją za długie siwe włosy i otwartemi usty bluzgającą jeszcze krwią i lypiącą oczyma, jął przybijać gwoździami do jednej z szubienic.

Pomruk zgrozy przeszedł przez tłumy.

Następnie przyprowadzono do pnia Łętowskiego.

Nie rzekł nic, tylko:

— Skoro sie tak Panu Bogu nawysemu podobalo...

Ukląkł i został ścięty. Potężne jego ciało, z odzienia odarte, kat mieczem na części ćwiotował.

Kostka patrzył na te egzekucje bez drgnienia powieki. Twarz miał białą, bez kropli krwi. Nie drżał, tylko chwiał się wtył i naprzód, jakby zgoła ruchu swego nieświadomy.

Raz po raz zwracał twarz w stronę Tatr — odsiecz nie nadeszła...

— W godzinie śmierci swojej powiedz, jak się nazywasz — ozwał się sędzia.

— Szymon Bzowski, Władysława króla syn — odpowiedział Kostka cicho, ale wyraźnie.

Pomruk, głosy różne, współczucia, żalu, sztyderstwa, nienawiści, zawziętości, litości odezwały się.

Kat kazał się Kostce położyć na ziemi.

Legł.

Dwaj pachołkowie uklękli przy nim tak, iż każdy jedną ręką rozszerzył mu nogi i przytrzymał, drugą ramię do ziemi przyciskał.

Naówczas kat uniósł koł zaostrzony i co miał siły, uderzył.

Jęknął Kostka. Dał się słyszeć płacz i śmiech spazmatyczny kobiet.

Kół nie wniknął w ciało należycie.

Drugi więc i trzeci raz ugadzał nim w ciało Kostkowe niezręczny kat rękami drżącemi, wśród okrzyków, klątw, wyzwisk, łkania i przeraźliwych pisków mieszanego tłumu; pot ściekał mu po twarzy, dygotał cały. Z Kostki zaś piersi wydierały się jęki nieludzkie.

Za którymś razem rozpruto ciało Kostki, jak należy; szpic utkwiał we wnętrznościach. Wówczas z żygającym z podbrzusza krwią ciałem, czerwony cały od krwi pal pomocnicy kata z Kostką wnieśli i w przygotowany zawczasu dół wstawiwszy, ziemią go okopywać zaczęli.

Trupią, ale żywą twarz Kostki z oczyma raz wraz przymykającemi się i otwierającemi ujrzało ponad sobą. Głos snąć zamarł mu w piersi z cierpienia.

Nagle tłum się zakołysał i rozstępować począł — przeraźliwy, przerażający wrzask niewieści przeszył i wstrząsnął powietrze, lby końskie sapiące wydobyły się z tłumy i na miejsce egzekucji osypani kurzem Sieniawski we zbroi, Beata Herburtówna w burce Sieniawskiego i Sulnicki za nimi przypadli.

Beata konia wstrzymała i jak gdyby zatęgła w siebie nieruchoma. Sieniawski zaś w bok się wsparł i zawołał:

— Cóż, panie Kostka? Spotkaliśmy się? Ha zaiste! Imię twoje jest w księdze dziejów zapisane nie tam, gdzie nasze będzie! Rywalu!

Tłum i wojsko, a nawet urzędnicy i dygnitarze w pierwszej chwili, nim Sieniawskiego poznali, myśleli, że to może gońce królewscy z ułaskawieniem, spóźnionem już, lecą. Słowa Sieniawskiego zdumienie i zgrozę wywołały; wtem Beata Herburtówna zeskoczywszy z konia i nie krzycząc, ale skrzecząc okropnie, pod pał Kostkowy podbiegła.

Burka osunęła jej się z ramion i spadła na ziemię — poznano kobietę.

Nikt jej w pomieszaniu drogi nie zastąpił — oblapiła słup z ciałem Kostkowem ramionami

i usta do buchającego krwią żywą tułowia przycisnęła.

Z obecnymi poczęło się dziać coś nieopisanego. Kat i pomocnicy uciekli między wojsko, tłum uchodzić począł niemy, unosząc omdlałe kobiety. Nieprzytomnie stojącemu na koniu Sieniawskiemu Sulnicki cugle z dłoni wyrwał, przez łeb koński zdarł i parł się z nim ku sieniawskim dragonom, choć im nie grożono, gdyż wszystkim tysiącom ludzi mowa została odjęta.

Chorągwie wojewódzkie mieszać się zaczęły i zwracać konie ku miastu bez rozkazów. Jedna za drugą ruszyły kłusem wzdłuż Wisły, dążąc ku podgórskiemu mostowi. Naówczas ogarnęła tłum paniczna trwoga przed zapowiadaną odsieczą czerni. W niewypowiedzianym strachu, tłocząc się, kotłując, przewracając, obalając i depcąc jedni drugich wiele tysięcy uciekało wślad jazdy rycerskiej, lub biegło, gdzie stał prom i przewoźne łódki. Dygnitarze i urzędnicy wskakiwali na wózki, gdzie kto mógł, i pędzili galopem za wózkiem kata, który ze swymi pomocnikami pierwszy na przodzie na wozie egzekucyjnym za wojskiem, biczem konie smagając, gnał.

W kwadrans nie było na Krzemionkach nikogo, tylko ze straszliwie rozdziawionemi powiekami głowa rektora Radockiego, przybita do szubienicy i krwawe jego ciało, głowa sołtysa Łętowskiego, twarzą leżąca do ziemi i czerwone

ćwierci jego korpusu, i na pal wsadzony Kostka, a pod nim Beata Herburtówna, pal obejmująca.

— Pić — szepnął Kostka.

Herburtówna oderwała się od słupa — spojrzała wokół: wody nie było. Opodał, daleko płynęła Wisła, lecz w czym przynieść?

— W czym ci przyniosę!? — krzyknęła z rozpaczą.

Kostka uczynił ruch rękami w znak, iż rozumie, że mu jej podać nie może; ruch to był chorego dziecka.

— O Boże! — jęknęła Herburtówna. — O Boże! — zawołała. — Ludzie! Pomocy!

Nie było nikogo.

Kostka stulił dłonie i pokazał, aby mu tak przyniosła.

— Jakże ci podam, choćbym doniosła!? — krzyknęła Herburtówna.

Ponowny ruch zrozpaczonego dziecka wykonał Kostka.

— Cierpisz!? — wydarło się z łona Herburtówny.

Nie odpowiedział.

— Kochałam cię! — krzyknęła.

— Z ciebie... — odpowiedział Kostka wyraźnie i znać serce w nim pękło, gdyż skonał.

Stał Sobek Topór obok koszara i cytał owce, zegnane z paszy na odwiecerz, jako to baca, czy wszystkie są?

Sto se jedna, sto se dwie,
stoi baca u jedle —

przyśpiewywał pod nosem stary Byrnas, przypatrując się z opodał tej robocie.

Czytał Sobek Mardułowe owce, a czytać trzeba było nietylko że się co kilka dni zawsze liczyło z obowiązku, ale że się Mardule samemu zdawało, iż mu „cosik chybiło“. Kiedy Marduła z pasenia wracał śpiewając:

Hej na mojej polanie sto owiecek stanie,
ty moja dziewczyno poziéraj se na nie! —

to wiadomo było, że wszystkie wie dzie; ale kiedy, co się od czasu do czasu przygodziło, śpiewał:

Owiecki pocytać, owiecek niespełna,
cy sie potraciła poza bucki welna? —

to już Sobek wiedział, że albo „wilk co porwał“, albo „z turnie odpadła“, albo sie „cosi kajsi stało, ani niewiedzieć co, co jednej niémas“... Czasem dwu, czasem trzech... Bo Mardulę kusiło w nocy,

kusiło i w dzień — a nieszczęście nie czeka. On ino ku Bronci Polkowskiej w Kasprową, albo ku Helci od Seligi w Goryczkową od owiec poleciał — raz kiel cas — bo przecie dziewczek na miejscu przy Stawach moc było — hop! jest! brakuje.

Sobek teremtetuje, gniewa się, to potem na parę casów dobrze.

Ale Mardulę kusiło w nocy, kusiło i w dzień...

Przerachował Sobek owce, kierdel brakło trzech.

— No, kieloz ik ta chybia? Jedna? — zapytał Mardula z udaną niedbalością, bo się Sobka, jako bacy, bał.

Trzi — odpowiedział Sobek.

— Moze? — zgmytlił Mardula jakoby ze zdziwieniem.

— Coś robiel?

— Ja cozbyk robiel? Mozek ta zadrzimał kielo telo.

— Kaś bël?

— W Kaspr — mam pedzieć: w Kościelcu.

— Dy ja wiem, zek ci w Kościelec z owcami kazał iść; ale kaś ty sam, przez owiec, bël?

— Je kazbyk bël? Déj ci gadam: mozek ta zadrzimnon, a Licha z Biédom nietrza pytać. Oni som wartcy.

— Jak ty ku Bronci.

— Edż — obraził się Marduła, a gońcy huknęli śmiechem.

— Ja wiem, jako béło — rzekł Byrnas. — Raróg bozek wlaż Gałajdzie do rękawa i we wilkołaka go odmienił. On owce Mardule porwał i zjad!

— Hahaha! — śmiali się gońcy i jęli wołać ku wolarzom: Gałajda! Zjadesz Mardułowi owce!

Bo Gałajda, jak olbrzymi był i za trzech ludzi siłę miał, tak też za trzech ludzi jadł, mógł jeść zawsze i nigdy syty nie był.

A Raróg Rarasik, bożek maleńki, Peklenca Boga służebnik, w Gałajdowym rękawie jak pchła mógł skakać.

— No — rzekł Sobek, pozierając na gęste, mroczne mgły, które zawaliły góry — dziś ig niemas co iść sukać. Ciémno. Héba jutro rano. A jak sie nie najdom, to ig Marduła Kubowi z Podwilcnika zapłaci. Bo to jego chybia.

— Cozbyk nie zapłaciel? — Zapłacem — mruknał Marduła zły.

— Uskładajom sie Broncia z Helciom, a jesce i Jadwisia co doruci — i Kasia i Hańcia i Zosia — żartował Sobek.

Marduła marknął dosyć obraźliwie dla dziewcząt, gdzie je wszystkie ma i mieści, i chcąc się Sobkowi przypochlebić, jał się gotować do dojenia.

— He, hłopy! — zaśmiał się Byrnas. — Romb-

cie las na ogień, bo do jutra nie uwarzimé. Marduła będzie dojeł.

— Ha ha ha! — huczeli gońcy.

Gdy podojono, powieczczano i pokiepkowano jeszcze z Marduły, a dokuczały mu najbardziej równie zazdrosna o niego Jadwisia, jak niepodbita przezeń nigdy Zosia, i gdy zapadła groźnie ciemna, w chmurach utopiona noc, wówczas Sen przyszedł na polanę ku Stawowi skleić powieki dzieci i starców, zewrzeć w uścisku kochanków i rozciągnąć członki samotników, jak Gałajda, przy ognisku wedle wołów pod smrekiem rozłożyłystym.

— Na jutro be śnieg — ozwał się do siedzącego na ławce Sobka stary Kret, poprawiając toporzyskiem watrę w szalasię.

— Wtoz wié — może być. Zima.

— Haj. Raz tu na téj hali w Bartłomiejskim przisły takie zimna, co nad cuda mroziło. W nocéj my sie redykali ze statkiem dołu, bo sie widziało, co umarźnie.

Dorzucił drew na watrę i począł ręce grzać, wyciągając je nad ogień. Sobek zaś znowu myślał ku temu, co się zdarzyło, powrócił.

Już minęło kilka tygodni od rozgromu pod Nowym Targiem, którego doświadczył. Wrócił w hale. Wieść o wzięciu Czorsztyna, o wydaniu Kostki i Łętowskiego, o ich śmierci męczeńskiej

rozeszła się szeroko; i ku Stawom posłał ją Stasel synem, ten, który tam Kostkę prowadził.

Marynę baby przywiozły na Hrube, gdzie bezprzytomna długo leżała, nim do sił powracać zaczęła. Silnym ciosem ugodził ją „rycerz“. Toczyła ją jakaś tajemnica rycerskiej krwawej miłości, o której nie wiedział nikt.

Sobkowi się wszystko czasem wydawało, jak Sablikowa baśń...

Trudno było uwierzyć, że się stało, że on sam udział w tem brał.

A słowo „szkoda“, co myśli Sobkowe od kilku tygodni zamykało, mieściło w sobie wszystko, co Sobek czuł.

— Skoda... Bo sie widziało ze świat odmłodzi...

Wtulił ręce między kolana, głowa mu zwisała ku ogniu.

— Śpi — na siedzątku — zamruczał Kret do siebie, spojrzawszy na Sobka. — Taki to sie i tak wyśpi...

Sobek spał, tymczasem zaś ciężkie, ciemne chmury, co nad Tatrami zawisły, poczęły silić śniegiem, jak w listopadzie. Orawski dojmujący wiatr z zachodu huczał doliną.

— He — mrucał stary Kret — be tyś hań staw sumiał...

Wielki, głuchy, niezgłębiony Czarny Staw, którego już trzydzieści lat nie widział, bo tylko w dolinie pasał.

Ku ranu zdrzemnął się Kret, obudził się zaś Sobek. Było jeszcze mroczno, ale już miał się robić dzień. Chlipnął Sobek zimnej żentycy, obmył twarz wodą z konewki, wziął ciupagę i pistolety za pas i wyszedłszy z szałasów gwizdnął zcicha na swoje dwa psy owczarskie.

Śnieg przypirchnon dosyć grubo, ale Sobek się bał, że słońce w Jakubskim miesiącu może nagle wejść i stopić śnieg do znaku, a chciał po tropach owiec przez Mardulę potraconych poszukać.

Cichy stał świat, tylko wiatr czasem po koso-drzewinie przesumiał i poleciał dalej.

Sobek ruszył ku Czarnemu Stawu owczą pęrcią.

Na dolinie był słabszy, ale w górach wysoko musiał tęgi wicher dać, bo się chmury jęły rozbijać, wznosić i gdy słońce zaczęło świtać, brzask się z pod chmur, na niebie skłębionych, w których tonęły szczyty, popod turnie ukazał.

Rozwidniło się.

I wówczas Sobek wzdrygnął się nagle, stanął i w przerażeniu prawie że zawołał:

— Jezus Maryja! W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen! Je coż to takie!?

Przestraszone jego oczy padły na psy, ale psy spokojnie stały.

Tak jest — wyraźny to był ślad. Przy pierw-

szem zaświeceniu dnia dostrzegł go Sobek. Ślad małych stóp, jakby dziecięcych.

Słychował Sobek z ludzi starszych o bogieńkach, co w kyrpcoskak chodziły, ale to nie był ślad kierpców. Był to ślad małych, szerokich, dziwnych butków z dużemi obcasami.

Sobek dygotał i ciupagę w dłoni ścisnął. Ale cóż pomóc mogła ciupaga przeciw duchowi, co w bucikach chodził? Gdyby był święconą kulę do pistoletów miał — ale nie miał. Jednak i tak wyjął pistolet z opaska i gotów był go przełożyć pod kolano kurkiem na dół i strzelić, jak się do Złego strzela.

Ogarnięty niewysłowionym niepokojem byłby uciekł z powrotem do szalasu, gdyby nie spokój psów, które niczego nie węszyły, a wiadomo, że pies ducha czuje.

Odważył się postąpić i zajrzeć w kosodrzewinę, w którą się wkręcała ścieżka. Ślad trwał.

— W nocy sło — szepnął sam do siebie przejęty.

Sobków początkowy pełen przerażenia lęk, począł się przemieniać w lękliwą ciekawość. Jednak to nie szło na dwóch ratkach, tylko na bucikach.

— Kiebyk posł za tém? — pomyślał.

E wiera! — przyszło mu na myśl. — Cy mie pote nie wewiedzie ka w pustki i nie przisiednie, abo w jakim grote w Kościelcu nie wewiedzie i skalami nie zawali na wiekuistom wieczność?

Szedł ostrożnie, czujnie, z wyteżonym słuchem i wzrokiem. Serce biło mu prędko, gwałtownie. Coś go ciągnęło. Czuł to. I ujrzał Staw Czarny, cichy, posępny, rozległy i zmarszczony. Chmury nad nim wisiały całunem, dookoła bieleły się upłazy. Martwy, wieczysty staw.

Staął i sparł się oburącz na ciupadze.

Wtem zaszczeakały zajadle psy; Sobkowi omal ciupaga ze strachu nie wypadła z garści.

A nieopodal o jakie dziesięć kroków, w kosodrzewie, śnać wsparty przedniemi łapami na łomie pnia, ukazał się niedźwiedź czarny i ogromny.

Sobkowi ciupaga wrosła w garść i odwaga mu powróciła, a nawet humor na widok tego dzwierz w sérokik madziarskik gaciak, towarzysza gór.

— Tuś? — krzyknął. — Dziadu zatracony.

— Pudzies! — zawołał na psy, które się ku kosodrzewinie rzuciły. — Pudzies ty!

Ale już było za późno; zaciekła suka poskoczyła za blisko. Niedźwiedź schylił się i przerażliwy psi pisk przedarł powietrze. Z rozdarciem, tryskajacem krwią uchem, którego niedźwiedź sięgnął pazurem, suka uskoczyła ku Sobkowi.

— Jerdyk tobie! Zjés ty ozpalonem skałe! Bees mi haw droge zastempował i psy kalicél!? — wrzasnął Sobek.

I dobywszy pistoletu, nie pytając, w kufę niedźwiedziowi wypalił.

Kula gdzieś po boku paszczy się pośliznęła, czerwieniąc czarne kudły. Niedźwiedź w pierwszej chwili jakoby się zdziwił — nie zabierał on się snąć wcale do walki, byłby człowieka koło siebie przepuścił, ograł się tylko psu. Ale teraz ryknął złowrogo, zniknął w kosodrzewinie, zachwiał nią, jak halny wiatr, i w mgnieniu oka wzniósł się przed Sobkiem na ścieżce na zadnich łapach olbrzymi, ciekący juchą z rozwartego pyska, z łapami przednimi podźwigniętymi w górę i rozczapierzonemi pazurami.

— Opraleś ty dwok djabłów! Ckaj! — wrzasnął Sobek i z drugiego wyrwanego z pasa pistoletu lepiej, w komorę strzelił.

W tejże samej chwili dopadły boków niedźwiedzych broniące, wierne swemu panu psy.

Niedźwiedź po strzale padł na łapy, beknał, oderwał od siebie i prasnął jednego psa w bok, gdzie pies padł martwy, bez jęku nawet. W tymże momencie ostrze ciupagi Sobka wcięło się po obuch w czaszkę niedźwiedzia.

Niedźwiedź z rykiem siepnął się tak straszliwie mocno, że Sobek, nie chcąc runąć za ciupagą, puścić ją z rąk musiał.

Niedźwiedź przypadł na przednie łapy przed głazem, z ciupagą sterczącą w czaszce.

Jeszcze się szarpnął, poderwał i osunął na

piersi. Zaciekła suka chwyciła go za kark za uchem. Sobek zaś wyskoczył na głaz i oburącz z czaszki ciupagę wydarł.

— Skoda dźwierz — sapnął. — Nie robiel nic, statku niebił, ta jałówke jedne. Kazdy fce żyć. Mięło pojrzyć kie po ubocy hodzi. Darmo. Zawdy sie ze śmierzciom mijał nie bedzies. Niedźwiedź w kosówce niesukana rzecz. No nic.

Spojrzał znów na ślad bucików. Wił on się dalej śniegiem. Niezmierny strach ogarnął Sobka znowu, jednak walka i zwycięstwo dopiero co odniesione czyniły go śmielszym. Czuł się w łasce Pana Jezusa.

Zdjął zabitemu psu obrożę, gwizdnał na sukę i począł iść za tropem, szukania owiec niechając zupełnie.

Trop od wody skierował się w prawo i znaczny był na uboczu Kościelca.

— Ku wodzie przisło, koło wody sło i wzieno sie spinać — zauważył Sobek.

Jednak zaraz też zauważył, że buciki na śniegu się ślizgały, znać było nawet upadek na kolana, poczem skręt wdół na prawo, przyczem w paru miejscach ślady upadku i usunięcia się.

— E kiz to djasil? — szepnął sam do siebie Sobek. — Coz to za bogieńka, co kielza?

Tymczasem jednak nagle zagrzmiało, skłębił się powicher i z chmur wiszących całunem nad halami sypanął mroźny ogromny grad, tak gęsty,

że natychmiast pokrył i zabielił sobą całą powierzchnię skalną. Mglista wilgoć przysiadła ziemię. Niebo siało jak z kadzi. Suka skuliła się, a Sobek zakrył ramieniem twarz, bo się o oczy bał i kucnął w kosodrzewinie, aby się jako tako osłonić.

W niedługą chwilę po kostki tego gradu było.

— Żle — myślał Sobek przerażony — niwto iny to bół, jyno planietnik, co gradami rządzi. Pogniéwał sie, cok go ślakował, i cysto pięknie doline gradem zasuje... Kieby haw jyno ku mnie nie fciał przyjść!... Widlisko jedno!...

Zimno spadło takie, że się Sobek mimo serdaka i całej wytrwałości trząść począł.

Waliło i waliło gradem przy gruchocących się po skałach od czasu do czasu grzmotach, poczem znowu lunęła chmura śniegiem z deszczem zmieszanym z taką gwałtownością, jakby potop miał nastąpić.

— Co mie tys to aj co skusiło za tom potworom iść!? — myślał Sobek. — Je dy świat zniesie, jak nie ustanie...

Wtem suka zjeżyła grzbiet.

Sobkowi dech zamarł w piersiach. Usłyszał chlupot, jakby coś biegło, coraz bliżej. O Świenci Pańscy, ratujcie mnie! — westchnął. — Lecz spojrzal i zobaczył Mardulę w serdaku zarzuconym na głowę sadzącego susami, jak jelen.

— Franek! — krzyknął.

Marduła się wzdrygnął, z przestachu ledwo nie siadł i stanął, jak wryty.

— Kaz tak uciekas? — zapytał go Sobek dźwigając się z ukrycia.

— Rany Boskie, Sobek! — krzyknął Marduła. — Ja widział coś strasne!

— Ka!?

— Hań, pod Małym Kościelce — w kosówce... wlażek na to...

Sobek nie pytał dalej; wyskoczył ku Mardule na péric i jęli uciekać obaj z pod Kościelców na lewo, w przeciw.

— Hań niedźwiedź — sapnął Sobek.

— Niegzeta! — odsapnął Marduła, nie zwalniając kroku.

Przeskoczyli trupa niedźwiedzia, suka z warczaniem za nimi, i biegli na prześcigi obchodną drogą ku szałasom.

Gdy zdyszani wypadli ze smreków na hałę, ujrzeni przed szałasem starego Kreta, który na łubie z kory węgla jarzące trzymał i ku chmurom z nich z pod okapu dachu kadził.

— Is, is! — rzekł Sobek. — Kret się planetnikowi prociwi. Kadzi ku niemu.

— Cy go tys przewładze? — zastanowił się Marduła.

Przybiegli ku starcowi.

— Tuście? — rzekł on. — Cy jus świat fce zabrać, cy co?...

Całe okole ciekło strugami wody.

Ale nagle ulewa poczęła się uśmierzać; szybko jak naszła.

Porwał się zdołu nieuhamowany wichur i jął gnać chmury z niezmierną gwałtownością, zupełnie jak powódź wielkiej górskiej rzeki niesie szerokokonare pnie drzew, splątane z sobą. Na wschód pędziły chmury, poza Granaty i Kozi Wierch, tak szybko, iż wkrótce poczęło się ukazywać ponad niskimi wzgórzami we framudze Tatr od północy niebo ostre, czyste, błysłe, świetnego, głębokiego, granatowego niemal szafiru, jakby zmyte i wymrożone nawałnicą. Rozprzestrzeniało się coraz więcej, wzniosło, rozszerzało i wreszcie z poza chmur trysnął blask słońca tak ognisty, aż ślepił. I jakoby wypadła z kłębow obłocznych w szalonym gonie ogromna kula słoneczna i słońce jakby żarłoczne i rozhuwane runęło promieniami na ziemię. Śnieg i grad, gdzie go kupy nierozmoczzone od deszczu w zakryciu leżały, począł świecić, a potem topnieć i tajać w oczach; słońce prażyło, jak żywy ogień. Po rozpętaniu słoty zważyło się na świat takie szaleństwo pogody, że się zdawało, iż świat skipi i rozbłyśnie się promieniami. Nie trwało dwóch pacierzy.

— No wtos hań rządzi? — zamruczał stary Kret. — Cy sie Pogoda z Psotom i insi bogowie zawzieni? Wtory mocniejszy?

Ruszono się dorazu z szałasów i szóp statek głodny na paszę wyganiać. Wtem ku szałasowi zbliżył się olbrzymi Gałajda, który pilnował wółw, brnąc w mokradle i dźwigając na rękach ciało pół białe, pół czarne powłóczyście odziane, kobiece snąć, bo długie, jasne, mokre włosy niemal do stóp Gadajdzie spływały.

— Je coż to niesies? — spytał Sobek, przystępując z ciekawością.

— Ja to znalaz w kosodrzewinie — odpowiedział Gałajda.

.

W cichem, ustronnem uroczysku leśnem Maryna układała ostatnie kamienie na kopiec kwadratowy. Było to w sam dzień Wniebowstąpienia Najświętszej Panny Marji, 15 sierpnia.

Krowy zeszyły już z hal, zimna bowiem przyszły wczesne, a pastwisk wszędzie blisko chałup było dosyć; przy stawach zostali tylko juhasi z owcami i wolarze, Teresa więc pomagała Marynie układać głaz na głaz.

— Bój się Boga, Maryna — mówiła — duse diabłu zaprzędamé. Dy jesce nie to, ale dziś sam dzień Matki Boskiej. Odpust w Ludzimiérzu.

Nie odpowiadała Maryna nic, tylko stanawszy przy stosie kamiennym i przymierzywszy, iż sięga jej wyżej pasa, rzekła:

— Dość.

Poczem siekierą poczęła ciąć dookoła siebie młode smreki, rąbać i na stos ciskać.

Teresia czyniła machinalnie to samo i wkrótce gruby pokład świeżych, smolnych kłód leżał na głazach.

Wtedy Maryna wyjęła z kieszeni serdaka krzemień, krzesiwo i hupkę, skrzesała iskry i podpaliwszy chraści, podsunęła ją pod stos drzewa.

— Maryna, rany Boskie — mówiła Teresia — dyj my krzcone... świenconom wodom...

Niedługo czekały: ogień chwycił się żywicznej smreczyny, języki ogniste poczęły obiegać białe drzewo, pełzać po niem, lizać je, wyginać się, jakby z sino-czerwonej blachy były i wystrzelać ponad nie i z pomiędzy kłód, podobne do wiatrem chwianych czerwono-złotych kwiatów o ostrych końcach.

Naówczas, gdy się stos dobrze rozpałił, przystąpiła Maryna ku małemu byczkowi, który stał nieopodal uwiązany u jodełki, postawiła na ziemi garnek miedziany i zabiwszy obuchem byczka, poderżnęła mu nożem gardło tak, iż krew ściekała w miedź.

Następnie rozćwiertowała byczka i część po części na ogień rzuciwszy, postawiła wśród płonących polan garnek z krwią i wznosząc ręce do góry, krzyknęła głosem wielkim:

— Jécie i pijcie!...

— Maryna! — ozwała się Teresa, zaczynając dygotać.

Ale Maryna, jakby nie słysząc, wołała z oczami ponad las w niebie utkwionemi:

— Halu, ty co w zimie marźnies, a odtajes na kazdom wiesne, boze wsehmogoncy, światło stworzenia, słowo ojca bogów i ludzi, ty co zwie-stujes objawienie Jestem! Halu, boze wsehmogoncy, ty, co w niwec obracas i zaś odnawias świat, w tobie cas, w tobie wieczność! Trygławie, ze wtorego trzok urwanyk głów staneno trzok bozyców, bóg biały, bóg carny i bóg rudy, a za kazdym siedem potęg, co światem władzom! Światowidzie — Słońce i wy Zwiezdy wieczorne i raniejse, Lelu, Polelu, matko Łado, matko Dziewo, bogami brzemienna! I ty Pierunie-Gromie, Torze, co wroga orzes! Zywieno, Dziedzilijo miłosna, Przyśnieno, pani sprawiedliwości, co sie jyno śnis, Wodanie Jezerny z Wihrami! I ty Świentoborze, Jedlowy Stromie ze sielom zelaza, Pachmo woniejący! I wy, Majki zielone majowe, Drzewice przepromienione miesiącem, lasowe panny! I wy sytka złe bogi, piekielni panowie, Peklencu, Nijo, Marzanno, Carty, Latawce, Chwycice, Mór! Jécie i pijcie!

— Maryna, Maryna — szeptała, drżąc ze wzruszenia, Teresa.

— A cóż!? — krzyknęła Maryna. — W imie Krystusa, z Naświentsom Maryjom Pannom

ludzie śli i co sie stało!? Ludzie pobici, Cioróstyn wzięty, pan Kostka na palu zginon, sołtysa Łętowskiego ćwiertował miecem kat, jako ja haw tego bycka siekiérom ozrubała! I co sie stało!? Hań, daleko, pod Berestecke, kajsi na stepak, ślakta hłopów ruskik pobijał! I co sie dzieje!? Panowie sie teraz zlecieli nazad do Polski mścić, jak krucy na chorego zajaca! Ka słyseć: siubienice, pale, kije, kary, ogień, miec! Panowie karajom, ze hłopi polscy wolności fcieli!

Krew sie leje, jęk, płac, zębów zgrzitanie! Wolność hłopska posła w popiół i w dym! W imie Krystusa, z Matkom Boskom panowie ślakta na hłopów idom, no to my co!? Dyj sie Bóg Sam proci Sobie nie porwie, a coz mu lud!? Na Boga trza bogów takik, jako i On!

— Ze dy krześcijański Panbóg namocniejszy.

— Mocny! Zwalél kamienie ołtarze okfiarne, chramy świente, gontyny zmian, świente gaje, bożnice, przenoświentse bugaje w nik zabacone od ludzi! A spytaj sie nasyk dziadów, jako za starodawnych bogów bywało? Kmieć bél wolny, ślebodny i z kmiecia bél król i królewski ród, jako kieby i s nas, z Toporów. Nie bél lepsy kruświcki Piast, jako haw podhalański Topór! Bél kmieć! Za starodawnyk bogów wolność béla — za terażniej wiary jest pańscyzna, jest na hłopa łańcuchy, kara i śmierć! Telo wej jest — więcél nic!

— No to co ty fces?

— Starodawnyk nasyk bogów wołam! Nieg nas wesprejom, nieg bróniom! Na całom Polskom hłopski jęk! Panowie z wojny wrócili i za reberyjom pana Kostkowom karajom! Toś słysała!?

— Słysała...

Wtem, kiedy się już krew dodymiała w mie-dzi, a mięso żarły smolne płomienie, zerwała Maryna grube czerwone korale, setki talarów warte, ze szyi i rzuciła je na stos, wołając:

— Co nadrogsego mam — wam dajem!

Spojrzała po sobie — nie miała więcej kosztownego na sobie nic; więc zdarła z ramion złotemi kwiatami haftowany gorset i prasnęła na stos z wołaniem:

— I to! Hoć biédne!...

Nagle wzrok jej padł na złoty medaljon święcony w Krakowie, który świecił w rozwartej koszuli na piersiach Teresi, powieszony na czerwonej wstążeczce; poskoczyła ku niej i urwała go ze wstążki.

— Maryna! — krzyknęła Teresia przerażona. — Coz ty robisz!?

— Ofiarujem go Niji, pani miłosierdzia, piekiel królowój!

Teresia zasłoniła twarz obu rękami ze zgrozy i jęła uciekać, sama zaś Maryna, jakby przesiłona swym czynem, została bez ruchu i słowa nad ogniem.

A gdy była już zupełnie sama, pośród milczących jodeł, smreków i buków, co tam rosły, w dzień cichy, padła na kolana i podniósłszy ręce na głowę, z płaczem i szlochaniem zawodzić zaczęła:

— Dziedzilijo, pani miłosna, ty co wieniec mirtowy różami mas pleciony! Wydrój ze serca mojego ten miéłość niescensnom, przeklentom! Cok ci winowata, iześ mi carta wcielonego miéłować kazała? On brata mojego i hłopów naskik pogromieł, przezeń pan Kostka, hłopski Mesyjas, na męki i śmierć dany, on mnie buławom złotom głowę ozbiéł, on krwiom hłopskom sie pasie, hłopów katuje! Za coż ja w téj miéłości tonem w tém miélowaniu sknem i pozbyć go niémogem!? O Dziedzilijo, pani, bądź lutościwa mojemu pragnieniu! Wydrój mi ze serca młodego, z młodéj duse Sieniawskiego ze Sieniawy pana!

I twarzą się ku ziemi skłoniła, a włosy jej ciemne w dwa warkocze uwite przez ramiona opadły na leśny mech.

Powoli jął wstawać wiatr i szumieć lasem.

.

Pod ten czas stary Topór Jasica i stary Krzyś siedzieli przed chałupą Toporową i ukwalowali. Toporowa żona, Sobcackula, do Ludzimierza na odpust pojechała. Bogata gaździna, ubrała się pię-

kanie, aby ani mieszcżkom nowotarskim, ani za-
możnym sołtysiankom Długopolskim, ani słyn-
nym z majątków Gąsiorkowym z Rogóznika nie
ustąpić. Na głowę czepiec włożyła wzorzysty, śli-
cznie i krasno haftowany granatowo i czerwono,
na szyję korale grube, w trzy rzędy, ogromnym
dukatem spięte, na się kożuch odziała czerwonym
suknem kryty, młodziutkiemi białemi barankami
podbijany, do stanu, złotemi wstążkami szame-
rowany na piersiach i lamowany w pasie i ztyłu.
Spodnic wiele, a na wierzchu wzorzystą, ciemno-
granatową w siwe tłoczenia, ku temu buty żółte
wysokie na podkówkach, a na ramiona rańtuch
biały cieniuchny. Tak strojna powiozła się
z czeladzią wozem o drewnianych osiach, zgrzy-
piącym, parą końmi, tęgimi kasztanami, które-
mi pacholik niemy powoził.

W domu została tylko niemłoda szpetna
służka, Ewa od Kośłów ze sąsiedniej Pardółówki,
i małe ciele, co w izbie mieszkało. Jak to u gazdy.

Ciepły wiatr podmuchiwał.

— Wiés, Symuś — mówił stary Topór — co
ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem: ciepło.

— Ciepło. Taki wiater, jak grzane piwo —
odpowiedział Krzyś.

— Hej wiera, ciepło. Taki dzień, jak wte, kie
Sobek z chłopami w Ciorstyn seł.

— Taki.

— Nie dał Bóg — rzekł stary Topór i zasmucił się.

Ale Krzyś jedno brzydził się smutkiem, drugie nie poniósł osobiście żadnej szkody, trzecie o humor i zdrowie bogatego Topora, swego hojnego przyjaciela dbał, rzekł więc:

— Nie trapmy sie. To na nic. Kieby ziemia była smutna, tobyś nie kwiaty, ani jagody nie rosły.

Topór pomyślał.

— Boby niémogły — powiedział.

— Nie rosło by nic, jyno krzan.

— I gorcyca.

— Terazescie wej, Janie, dobrze pedzieli! Wy macie głowe! I jałowiec.

— He he he! — rozśmiał się Topór. — Kwicale by miały uciehe, ale Symuś dziecko, coby tys wte pastérki zbierały po lasak?

— Abo s cymby sie ołtarz strojél?

— He, wiés, Ona ta wié, Matka Boska. Ona se wse kwiatów nagazduje na wiesne.

— Je bo wié, ze Jój świento bedzie na Matke Boskom Zielnom.

— Ale dziś pono Wniebowstąpienie, to jesce lepszej Matki Boskiej, jako Zielnej.

— O bo lepszej. Niémas leipsejszej, jako dzisiak.

W tej chwili wiatr zadał mocniej i na bakier lekko wdziany kapelusek Krzysiovi z głowy o parę kroków na murawę zniósł.

— Is, is, is! Niedało, a biere — rzekł stary Topór.

— To nie w porzondku — dodał Krzyś podnosząc kapelusik. — Daj, ale nie bier!

— He — — cy nam tys ta Sobcackula co prziwiezie z odpustu? — rzekł Topór.

— E! — zauważył Krzyś z niedowierzaniem, spoglądając na Topora.

— Prziwiezła by to co kiedy gaździna! — ozwała się Jewka, wychylając głowę z drzwi. — Dy to łakome, jak pies, a skape, co cud!

Stary Topór zaczął się śmiać.

— Słusnie gada.

Jewka zaś zakończyła:

— Obiad!

— Pojdze — rzekł Topór do Krzysia, zapraszając.

— Je dy ta — odpowiedział Krzyś z ceremonją, choć na obiad czekał pożądliwie.

— E pojdze jyno! Podź.

— Je dy ta — powtórzył Krzyś i poszli do izby, gdzie ich bogactwo otoczyło.

Tam Jewa postawiła przed nimi krupy warzone i dymiące mięso baranie. Dobry obiad we wielkie święto.

Podsunęła Toporowi baraninę, a Krzysiówi krupy, ale Krzyś rzekł:

— Wy mnie krupami koślawko nie siélcie, ba mi dejcie klubre mięsa, bo mi z mięsa nie źle.

Usłyszawszy to Topór śmiać się zaczął i sam gościowi mięso w misie przysunął, mówiąc:

— To to taki skąpy brzydoś, jak i Sobcackula, ta Jewcia.

Jedli. Krzyś mlaskając połykał i połykał, bo żarłoczny, choć mały był. Nie mogła Jewa wytrzymać i rzekła z przekąsem, widząc, że ogromnie ubywa z misy:

— E dy juz moze dość bedzie?

Ale Krzyś odpowiedział:

— Lepi coby brzuk puknon, jak coby to miało ostać — i jadł dalej.

A gdy się już najedli i gęby otarli, stary Topór mleka słodkiego się napił i do Krzysia się ozwał:

— Matki Boskiej Wniebowstąpienie... hm... Slisałeś tys to Symuś, co gadajom?

— Je co?

— O Mace Boskiej na Suhyk Horak orawskik?

— Wiém.

— Ze je zywa ma być?

— Ta, co skądśi z Uherska na Suhe Hory do kościoła uciekła?

— Ta. Ksiądz niewierny bél i przekonać sie fciał i nozyke mały palec skrabnon. Krew wysła.

— Wiém. Pote sie za zywa замуrować dał.

— Sam sie wej ukarał, jeze niewierzący bél. Kościół drzewiany, a przy nim murowana kómora.

— Haj. Ale niémas Matki Boskiéj nad Ludzimirskom.

— O niémas! Ona je tys zywa. Kie jom po ujńsciu ludźmirskik Cystersów do Scyrzyca w Nowy Targ do fary przenieśli, to sie w nocy wyrwała do Ludźmirza.

— W nocy. Hłopi konie pasący jasność widzieli, jak bez pola sła.

— Haj haj haj! Rada swój kościół widzi.

— Je dy Jej tys w nim dobrze. Ciepły, suhy, a i malowany pięknie, padajom, bok hań niebél. Cozby ci hań nie siedziała?

Umilkli chwilę.

— Je — rzekł Krzyś — sytka Świeńci ku Mace Boskiéj nie placom nic. Ona je władna.

— Co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem: władna.

— I dobra.

— Haj.

— Dowiedział ja sie z jednego wendrownego cłeka, ono to kesi w Polsce miało być, co sie raz stało. Prziseł złodziej i korale Mace Boskiéj w ołtarzu ze syje fciał sjonć. Siengnon rencom, a Ona wystawiła rąckę z ołtarza i hyciła go za ten renke.

— E raty! Za ten renke?

— No. Nijakim świacie sie wydrzyć niémóg.

— Eu!

— No i dobrze nie bardzo, ześli sie ludzie.

Radzom: co mu robić? Jeden gada: uciąć mu renke! Drugi gwarzi: uciąć mu głowę! Trzeci mu roki sądzą, ono nic, trzymie. Jaze jeden pada: darujmy mu!

I wte Matka Boska tego złodzieja puściła.

— Puściła!? E raty, Symuś, dziecko! Puściła?

— Telo je dobra.

— E ze już dobra! To ci powiem, tak jak jest: dobra.

— Dobra.

— Anibyś wej nie pedział, ze to z babskiego fajtu, babski potunek.

— O bo nie! Kazbyś ta! Ja baby znam!

— Raz ci upuściła, jak w puhu —

— A pote cie telo dogryzie, co ci do pluc zajzre.

— He he he! — rozśmiał się stary Topór z uradowaniem rozkosznem znawstwem.

Krzyś pożegnał się niebawem i poszedł. Obawiał on się docinków skąpej Toporowej, gdy powróci z odpustu, bo bardzo dużo zjadł.

Poleciała i Jewa, posprzątawszy po obiedzie, na Pardółówkę do siostry, co tam wydana była.

Został stary Topór sam.

Począł się przechadzać po izbie, a cielę beczało głodne. Użaliło się go Toporowi i częstował je, mówiąc:

— Ze bodej ze to keny, bodej! E wtoz to wi-

dział płakać! E coż mie lizes e dziadulko? Nie dostaniesz poledninki pilno, bo zakiel ta z odpustu gaździna przijedzie!... Mas młodzicek, mas sianecko, prógujze... Niebec nic!...

Dawał ciełęciu siano z ręki a ono chwyciło raz za zdźbłą, raz za palce; stary Topór uśmiechał się z rozrzewnieniem.

W tej chwili silnie ktoś zapukał do izby, tak śmiało i silnie, że Topór pomyślał: cy Litmanowskiego Nędzy Janosik, cy co? — i głośno zawołał.

— Nie zapartel!

Otworzyły się drzwi i schylając głowę pod niską framugą dworzanin Sieniawskiego, Sulnicki, wstąpił przez próg, a za nim ukazało się kilku sieniawskich kozaków.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się Sulnicki.

— Niegze bedzie. Witajcie panie! — odpowiedział Topór. — Co haw fcom?

— Takeśmy po drodze wstąpili — rzekł Sulnicki, siadając na ławie. — Na mléko. Uczęstu-jecie nas?

— Je dyc gaździnėj niémas — rzekł Topór z zakłopotaniem — pojechała z celadziom na odpust. A i Jewka służka kajsi...

— O to nic — odpowiedział Sulnicki. — Wnuka wasza Maryna nam poda.

— I Maryny niémas — kesi wysła, od rania.

A skondze pan Maryne znajom? — zapytał pro-
stodusznie.

— Z Czorsztyna! — roześmiał się Sulnicki
brutalnie.

Nieufność i gniew zagrały we wąskich, przy-
mgłonych źrenicach Topora.

— Z Ciorstyna? — rzekł. — Ka jom rycérz
buławkom w coło wycion?

— Stamtąd, stamtąd — zaczął Sulnicki, jak
pierwej, ale nagle mu śnać coś do głowy przy-
szło, gdyż zmienił ton i ozwał się uprzejmie:

— Panu memu luto Maryny, że uderzoną zo-
stała. Sto czerwonych złotych jej posyła, nagro-
dzić pragnie.

Na widok złota, z brzękiem z trzосу wysy-
pywanego na stół, wąskie, przymglone źrenice
Topora zapłonęły chciwym blaskiem, a palce za-
drgały.

— I jeszcze nie tak ją nagrodzi — mówił Sul-
nicki — tylko powiedzcie nam ojcie, gdzie Ma-
ryna?

— Kie tys niewiem, prosem ig pięknie — od-
powiedział stary Topór z uszanowaniem.

— No to my tu na nią poczekamy — rzekł
Sulnicki. — Chłopczy! Dać tu miodu, ale konie
gotowe! — rozkazał kozakom.

W starym Toporze wzbudziła się znowu nie-
ufność.

— Zołmirze? — zapytał, wskazując kozaków.

— Pańscy.

— Moc ig haw?

— Trzydziestu.

— Trzidziestu!? Cy wojna?

— Może być i wojna — uśmiechnął się zuchwale Sulnicki. — Wilki w lasach...

Stary Topór drapnął się za uchem i zabrał ku drzwiom, mówiąc:

— Ja haw zaraz bedem.

— Dokądże to zamierzacie iść, ojcze? — zapytał Sulnicki zastępując mu drogę.

— A coż mi to z własnyk izbów wyjść nieśleobodno? — obruszył się staruszek.

— Macie gości.

— Wiera, gości — rzekł Topór bardzo nieufnie.

W tej chwili dojrzał przez okno Sulnicki wychylającą się z lasu Teresię.

— Łap! — krzyknął, pokazując ją najbliższym kozakom, otaczającym dom.

Teresia cofnęła się na widok żołnierzy przed domem i znikła w gąszczu; kilkunastu jeźdźców ruszyło galopem ku lasowi.

— Kogóz to pan łapać kazujom!? — zapytał ciekawie, ale energicznie stary Topór.

— Twoją wnuczkę, Marynę, chamie! — huknął Sulnicki pewny swego. — Bośmy poto przyjechali!

Stary Topór zapłonął cały; rozprostowały mu

się plecy, jak kiedy w pochód wojenny wybierających się chłopów błogosławił, cofnął się krok wtył i krzyknął groźnie:

— Wnęke mojom, gazdowskiemu dziewczę, wy!?

A coż wam do niej!?

— Będzie łóżko mojemu panu słać i będzie z nim spać! — odpowiedział Sulnicki.

— Ona? Pańska dziewczka!? Maryna!?

— Mogła zdrajcy hołyszowi Kostce za podściółkę być, woli panu wojewodzicowi!

— Pan Kostka święty człowiek béli! — zawołał Topór oburzony. — Z famieliji świętej i królewski pułkownik! La Boga i la króla takiemu nie bees ujmował nic! A wy, psiogłowce zatracone, w pole! Marś!

— A to? — krzyknął Sulnicki, wskazując dukaty na stole.

Zawahał się stary Topór, na złoto spojrzawszy, ale tylko na sekundę jedną; zagarnął przedramieniem w koszuli dukaty i z brzękiem rzucił na podłogę, wołając:

— Bier se ig! Zjédz!

Sulnicki zaśmiał się i krzyknął:

— Złizesz, stara świnio, gdy stąd Marynę za włosy powlecziemy!

Ziskrzyły się wąskie, przymglone oczy starego Topora; schylił się, chwycił siedak za nogę i w łeb nim w czapę drucianą Sulnickiego trzasnął, że się ten zamroczony od ciosu gębą na stół

zwalił; potem zwrócił się ku kozakom ze wznie-
sionym stołkiem, krzycząc:

— Ja tu gazda! Tu was wybijem do nogi, pie-
secne psy piekielne! W pole!

Ale pacholek przyboczny Sulnickiego nie cze-
kając kindżał z pochwy na piersiach dobył
i w bok pod serce Topora pchnął. Z rozkrzy-
żowanemi rękami, z jękiem: Jezus kohany! —
zwalił się starzec na podłogę. Zaczem poczęto
go bić i kopać i zabito.

Widząc, że Sulnicki bez zmysłów, na stół
twarzą padłszy, leży, kozacy, którzy słyszeli, iż
gazdowie górscy skarby mieswają, jedni dukaty
pobierali, a drudzy plądrować się dom rzucili.
Tymczasem też jeden po drugim gońcy Teresi
popowracali.

— Nie złapaliście?

— Nie. Kamień we wodę! To był majak.

— Czort zatumanił...

— Djabeł zrobił, żeby dusza tego starego bez
odpuszczenia grzechów do piekła poszła...

Zprzewracawszy, co było, zrąbawszy skrzy-
nie, zwaliwszy piece, zrujnowawszy piwnice,
stajnie, chlewy, zabrali kozacy nieprzytomnego
jeszcze prawie Sulnickiego między siebie na ko-
nia i kłusem ruszyli ku drodze, którą przybyli,
unosząc łup, co lepszy.

Teresia, ujrawszy dom Toporów otoczony
żołnierzami, za których wzięła Sieniawskiego ko-

zaków, przerażona cofnęła się w las, a słysząc, że ją gonią, wpadła do starego opuszczonego lochu, kędy podobno niegdyś osiadły tu szlachcic, Płaza, banita, wino chował w beczkach. Loch w gąszczu, między dwoma wykrotami po wietrze hałnym uszedł uwagi kozaków. Tak im się też dziwnem wydało, żeby ktoś im poprostu z oczu znikł, że niebardzo tropili, odrazu mamunę czarcią przypuszczając.

Długo siedziała w lochu Teresia, nim się wychylić odważyła, a gdy ostrożnie ku krajowi lasu podeszła i przekonała się, że nikogo naokół nie ma pobiegła ku domowi Toporów i trupa starego Topora w progu ujrzawszy, wrzasnęła z przerażenia i nie patrząc więcej, trzęsąc się cała jak od zimnicy, popędziła w uroczysko leśne ku Marynie.

Niedługo potem stara Toporowa, Sobcackula, z odpustu z furmanem, małym pacholikiem, niemową, bo reszcie czeladzi pozwoiliła w Ludzimirzu jeszcze pozostać, w obejście wjechała. Wspaniale, po gazdowsku. Nie wiozła z odpustu nic prócz kukielki.

Na widok mężowego trupa i wnętrza domu zrąbanego i zniszczonego: w bezwładzie i skostnieniu członków upadła na twardą glinę sieni wznak; pacholik wystraszony głowę jej podjął i poduszkę przywleczoną podsunawszy, uciekł nieprzytomny ze strachu, konie zostawiając.

Nie zastawszy siostry w domu, powracała też na Hrube i Jewka, nie mogąca się uspokoić nad apetytem Krzysia.

— Wrodoś, kielo to zre! — mruczała. — Mi-ske byś polknon! Wiera nié!? Przepaśny kón! Wilce garło! Zarbyś? Jaskółce gniazdo!

Nagle głos zamarł jej w krtani: z otwartych drzwi od sieni wyskoczyła z cienia przez wysoki próg łasica.

— Je coź to!? — zdumiała się Jewka. — Nié-mas nikogo, co haw łasice gazdujom? Je dy wóz i kónie na oborze...

Wstąpiła do sieni i omal nie potknęła się na leżącej z odjętą mową i władzą członków Toporowej.

Potem natrafiła na zamordowanego Topora; potem ogarnęła zdumionemi oczami zrąbane skrzynie, poodrywane dyle podłogi, zprzewracane łóżka, zdarte półki, rabunek.

— Zbójniki béły — zakonkludowała — abo panowie karajom...

Siadła na ławie, wtem wzrok jej padł na coś błyszczącego w rogu pod ścianą — podbiegła.

— Dukat!...

Miał!...

Rzuciła wzrokiem wzgardliwym na starego Topora.

— Miał!

Zaczęła szukać, szperać, biegać, jak łasica, po

domu. Znać było, że szukano przed nią, ale śladów pieniędzy Toporowych nie znalazła.

Były one schowane dobrze, pod jaworem za izbami, w ziemi.

Czego kozacy nie ukradli, to szukając pokrajali, posiekli, poszarpali. Mało co pozostało w dobrym stanie.

Jewka odrazu nie namyślając się, nie żałując nikogo, postanowiła iść w służbę ka inenděj.

Toporowie, Sobek i Maryna, którzy żywi zostali, nie byli jeszcze wprawdzie bynajmniej „dziady“ mimo rabunku, ale ją nie radzi widzieli — młode pępki, landygi!

Postanowiła też w te razy wynieść się z Hrubego w dalszą okolicę, zabierając, co się da. Rozłożyła wielką chustę na pośród izby i ładowała w nią graty mruczając: dobre — nie dobre...

Nie szło jej o nikogo.

Ale oprócz przyodziewy, o ile jej kozacy nie ukradli, jedyną niemal rzeczą niezniszczoną, a zabrać się dającą na plecy, była poduszka, na której leżała Toporowa.

Ze skołczałym językiem i skościami członkami, straszliwym wzrokiem za kradnącą i płądrującą Jewką wodziła leżąca na glinianej polepie w sieni bezwładna, ale przytomna Toporowa Sobcackula.

Kradnie!...

I oczy jej w nieruchomych oczodołach paliły

się piekielnym blaskiem, stare, wściekle, bezsilne oczy...

Kradnie — ten dziad, ten plugac, sługa!

Okrada ją — gaździnom nad gaździny — — kradnie jej majątek!... Resztę majątku!...

— He! Zagłówek! — zamruczała Jewka łakomo, patrząc na poduszkę pod głową Toporowej.

Zagłówek, poduszka, piękny, fajny, dobry!

Piękna poduszka!...

Pochyliła się nad Toporową i chwyciła poduszkę za dwa rogi, wtem we włosy wbiły się jej jak szpony suche, chude, kościane palce ręki gaździny i zastygły tam, zdrętwiały zamarłe.

— Puść! — charknęła Jewka.

Puść, bo cie zadawiem!

Ale oczy Toporowej Sobcackuli tak straszno patrzyły w jej twarz, że nie śmiała jej sięgnąć ku gardłu, aby udusić.

— Gaździno, puście! — jęła błagać.

Chwilowo przerwany okropną złością bezwład członków Toporowej, trwał znowu. Jewka chciała rozerwać jej palce siłą, ale nie mogła.

Wołać było późno. Głos się głużył w sieni i dom stał daleko i osobno na polanie.

Powoli zaczął zapadać mrok.

.

Olbrzymi Gałajda wraz z Sobkiem dziwne stworzenie przynieśli do szałasu i wszyscy juhasi i gońcy zbiegli się i zadziwieni oglądali.

Gałajda trzymał to na rękach ostrożnie blisko ognia i obsuszał, bo było mokre.

Dziewka to była młoda, cudacznie ubrana. Miała suknię na sobie białą, sukienną, na tem płaszcz czarny sukienny i na nogach drewniane, przypięte rzemykami podeszwy z obcasami. Te to Sobek po śniegu ślakował.

Cudowali się Sobek, Marduła, Byrnas, nawet stary Kret nic nigdy podobnego nie widział.

Chrzczone było, bo mu na szyi złoty krzyżyk na złotym łańcuszku wisiał.

Mokre było całe i oczu otworzyć nie chciało. Ale żyło.

— E dy ozebrać trza, coby oskło — rzekł stary Kret.

Więc, że dziewczek nie było, stary Kret i Byrnas na rękach Gałajdowych rozbierać ono zaczęli, młodszy zaś z szałasów wyszli. A że babskiej przyodziewy nie mieli, owinęli nagie, bo do koszuli przemokło, do suchych guń i uwędzonych w dymie kozuchów i położyli nisko i blisko ognia na ławce, tak, ażeby dym ku twarzy nie szedł.

— Uwarz słodkiego mléka — rzekł stary Kret do Sobka.

Więc Sobek wypłukał czyste naczynie i mleko z ostatniego udoju gotować zaczął, oni zaś ra-

dzili, co by to mogło być i skąd się wzięło, ale nikt nie wiedział nic...

— Przisło...

Wtem dziewczyna westchnęła i otwarła oczy niebieskie.

— Patrzy — rzekł młody goniec.

Ale Sobek palcem milczenie nakazał przez delikatność.

Gaładza zaś suszył koszulę i suknie nad wiatrą, bacząc, by się nie przypiekły.

— Gdziem jest? — ozwał się cichy, słaby głos.

— U nas, w sałasie stawiańskim — odpowiedział Sobek.

— Mléka jej dajcie — rzekł Kret.

Nalał Sobek gorącego mleka do czystego skopca i podstawił pod usta dziewczynie, w obu dłoniach dzierżąc.

Piła — i kolory życia nieco jej na twarz wracać jęły.

Wypiwszy, popatrzyła po sobie i prawie że krzyknęła:

— Jam naga! Gdzie moja koszula!?

— Jeć sie susy — odpowiedział Gaładza, rozpinający koszulę, jak żagiel, ku ognio wi.

— Oddajcie mi koszulę, suknię, płaszcz! — wołała dziewczyna, zatulając się gunią. — Czy wy zbójcy!?

— My juhasi, pastérze — powiedział Sobek. — Nie bójcie sie haw nicego!

— Wy dobrzy ludzie?

— Z dobreми dobrzi.

— Jam — zaczęła i urwała.

— My sie ani nie pytamy, wtoście wy — rzekł Sobek. — Bedzicie jesce pić?

Dziewczyna rąk nagich z pod guni wyjąć nie chciała, więc jak poprzednio przykląkł nad nią i ze skopca ją poił.

Napiła się, zamknęła oczy i twarz schyliła.

— Moze bedzie spać — szepnął Kret.

— Wyście dobrzy ludzie? — zapytała cicho, widocznie usiłując walczyć z wycieńczeniem i snem.

— Śpijcie, jak u janiola na rencak — odpowiedział Sobek.

— Młode — nie bedzie temu nic — szeptał Kret. — Cud boski, ani nóg nie odmroziło. Musiało kajsi w kolibie siedzieć. Gałajda, kaześ jom nalaz?

— Ja to nalaz uswijane w kłębko w koso-drzewinie. Wisiało w gałęziak — odpowiedział powoli Gałajda, rozciągając obsuszoną koszulę na żerdzi nad watrą.

— Musiało nogi stulić pod sie, a ręce za pazuchy wephać, bez to nie odmroziło — rzekł Kret. — Bóg świci, co nie zglewiało samo. Uważujciez, coby zygi na niom nie leciały.

— Siumne dziewce — szepnął Byrnas, gdy dziewczynie przywarły się powieki.

— Jak leluja! — szepnął Sobek.

— Do cudu! — szepnął Mardula.

Na palcach chodzili, drwاً obsuszali, nim na ogień poszły, by nie dymiło, mleko gotowe mieli, a coraz czem świeżem przyodziali.

Dziewczyna leżała na naprędcie usłanem posłaniu ze smreczyny i chust, pod kozuchami.

— Zamglało w kosówce — mruczał Kret. — Nieg sie odeśpi.

Osata sie hnet, bo to młode.

Czuwali. Obleczonea przez Kreta i Byrnasa w koszulę dziewczyna leżała.

Szeptem ozwał się Brzegów Wojtek do Sobka:

— W samém tém miejscu lezy, ka pan Kostka pościelone miał.

Wydało im się, że dziewczę drgnęło; popatrzeni — blade było, jak płótno i głowa zwisała mu wtył. Złękli się mocno, ale stary Kret znał obacować i do przytomności dziewczę przywrócił.

Lękliwie pozierali, czy znowu nie zemdleje. Przeszła noc.

I na drugi i na trzeci i na czwarty dzień czuwali — stała się wielka cisza w szałasie.

Jeden przed drugim żałował, że bab niema do pomocy i przyzioru, ale wszyscy radzi byli, że są sami.

Posługi spełniał stary Kret z pomocą starego Byrnasa.

Niewiadomo było, czy dusza nie ucieknie, ale ją za wszystkie końce trzymali.

Nie sądzili dziewczęciu życia, ale nie tracili nadziei, że nie umrze.

A nie dziwota, że śmierć za węglem szałas stała — co to przetrzymać musiało, nim ją Gałajda znalazł, co przetrwało...

Nauczyło się to biedy, o haj...

Ale stary Kret znał zioła cudowne; więc zbierali je na wyprzódki i do szałas nieśli, a Marduła po najlepszy litworowy korzeń aż w Litworowe pod Polski Grzebień lasami na Roztokę i na Białą Wodę doliną pod Wysoką poleciał. O świcie się wybrał, a słońce śródpołu wysoko jeszcze na niebie stało, kiedy wrócił. Tylko nowe kypce zdarł.

Stary Kret ziela warzył, a on seliniejakie przysady znał; zamawiał chorobę.

Dziewczę o świecie nie wiedziało, gadało, krzyczało, ale nikt nie rozumiał co?

Jeszcze co można było zrozumieć niekiedy, to słowo: oczy.

— Urzók jom wtosi ocyskami — mówił stary Kret.

Szóstego dnia rano choroba się jakoby przesiła i dziewczę przytomnie spojrzało.

Stało się wielkie święto w szałasie.

Że delikatnie jeść musiało być nauczone, dawali mleko słodkie z miodem, którego Mardule dziewczki aż z dalekiego Ratułowa naniósły.

Nikt się o nic nie pytał, o nic dziewczęcia nie badał.

Było.

Zrobiły się cudne, gorące dni i zaczęło wychodzić przed sząlas.

Naszła jednak noc parna, a chmurna i mglista nadzwyczajnie.

Nie mógł Marduła wytrwać. Wybrał się cicho z sząlasu i przeżegnawszy się od złego, przyczem mruknął trzykrotnie „Ojce Światowidzie!” i rzuciwszy przed siebie trzy kamyczki, puścił się niesłychanie szybkim pędem z kroku ku Lilijowej przełęczy, skąd zsunął po ćmie, jak nietoperz dołu, kamienie trącone nim spadły stopą przytrzymując, cicho ponad sząlas liptowski. Przystanął obwysno nieopodal za skałą, nasuł prochu na twardą dłoń, skrzesał iskrę i zapalił. Buchło. Już był pewny, że żaden pies nie zaszczeka. Poczem kradł się bez szelestu za instynktem, jak żbik przyczajony, a jak ryś posuwisty. Znał gdzie koszar.

Powiadajom na mnie ze jo ukrod jagnie,
jo je ukrod z owcom, niek mi robiom co fcom —

męło mu się wśród zębów. Nie był ani wesoły ze psoty, ani rad z zuchwałości — wciągnięty

w siebie przystępował i przystępował, wolno a zsuwisto po uboczy, przychylony i djabelnie ostrożny. Dopadł owcę z za ogrodzenia, jedną ręką za wełnę na leżeniu, drugą za nos, by nie zbeczała, podniósł bez żerdź, zarzucił, jak mógł, na plecy i ramię i chyłkiem w zwyrł najśmiglejszy w górę skoczył. Psy się nie ruszyły. Dopiero rad się stał, bo dokazał štuki nad štukę, zuchwałości nad zuchwałość, bystrego serca nad bystre. Już mu dygotało na zębach:

Ucyła mie matka pięknie zatańcować,
a ociec mie ucył ukraść, dobrze shować —

ale się wstrzymał.

Juhasi liptowscy czuwali niedaleko w nizinie. W bacówce watra gorzała przez szpary. Marduła się do razu schylił z owcą na karku, wypiął portki ku juhasom i pomiędzy nogi swoje pozdrowił ich niepięknie. Poczem się wyprostował, podskoczył i kerpce na dwoje w powietrzu skrzesał z uciechy, jedno że ukradł, drugie że pannie przyniesie.

Na Lilijowem się ozdarł:

Bacio, bozaj me w rzyć i z owcom!!....

Owcooom!!... — rozległo się echo od Świnicy i Walentkowej ku Gołym Wierchom i Zielonemu Krzyżnemu — tak zgiełcało we mgle, jakby się dzwon w niebie urwał.

I uradował się Marduła, że ma taki piękny i donośny głos.

Powstała rano larma na hali liptowskiej; baca z Wierchcichej spostrzegł i wybrał się z pięciu juhasami zbrojno, na siłę skradzione owce odbierać. Marduła słynał. Przyszli czarni, ody-mieni i od mosiądzu dźwięczący wczas, w słońca, co mgły zgasiło, blasku.

Ale Sobek wyszedł naprzeciw nich z juhasami i gdy się sobie wzajem pokłonili, rzekł:

— Mamy tu panne, przy bitce krzyk. Wró-cem wam. To ino bez śpas. A jakby wam o bitke sło, to sie zejńdźmy hań na grani. Zgoda?

I dał owcę, którą Mardule markotnemu ode-brał.

— Zgoda — rzekł baca. — A jakbyście se chcieli spróbować, wyjdzeme.

Pokłonili się sobie godnie, podali ręce i ro-zeszli się godnie.

Ale przechodząc mimo Sobkowego szala-su, baca z Wierchcichej i juhasi liptowscy ujrzeli dziewczę siedzące przed progiem.

— Jaaj — zadziwił się śpiwnie baca z Wierch-cichej Doliny.

— Jaaj! — zadziwili się śpiwnie juhasi.

Bo to był śpiwny, smętny słowacki lud; a nie miał w węgierskiej niewoli nic, prócz swoich kobiet.

I stanęli rzędem i dziwowali się pięknu, co rozkosz daje.

I ze wzdychaniem, brzęcząc blachami i zbroją, w górę odeszli.

A gdy stawiańscy juhasi z gońcami owce paść wygnali, Sobek sery w szalasie gniótł: stary Kret, do słońca się grzejąc, bo cudne sierpniowe pogody były, pośród głązów na hali dziewczęciu opowiadał.

Opowiadał jej o ogromnych kościołach w skałach, gdzie księża w białych komżach mszę odprawiają i tysiące świec się jarzy, a od organów na chórach cała góra wewnątrz gra; opowiadał o pieczarach, gdzie złote są mosty nad wodami, po których od mrakoty mało widno, a na sadzawkach bezdennych złote kaczki pływają i jajka z diamentu niosą; o parobku, co dziewczętami gardził, a po śmierci za nimi biegał i rutę im z kapelusza dawał, żeby mszę za jego duszę kupiły; o dziewczynie, co nikogo kochać nie chciała i po śmierci zmieniała się w kwiat-obłok, co ani na ziemi siąść ani do nieba wzbić się nie może; o królu węzów, co na Tatrach leżał i nikomu się widzieć nie dawał, aż gdy go parobek jeden odważny podpatrzył, on śpiących rycerzy na śpiących koniach ze skały na lud w burzy i zawirusze puścił. Od których lud Perłowic, co się z połkniętej perły kobiecie jednej koło Jszownic urodził, za poradą lilji zabiwszy smoka Woło-

syna, który się zamienił w górę nad Roztoką, i widziadło, co w Mnicha skamieniało nad Rybiem Jeziozem i zwalczywszy króla węzów, uwolnił. Ale do śpiących rycerzy nie doszedł, bo król węzów uciekając pod ziemię, skałę ognem strącił i wchód do nich zawalił. A Perłowiec się potem z lilją ożenił, bo tak był ślubował, gdy prosił Boga, aby mu lud od utrapienia uwolnić pozwolił. Wówczas lilija przed nim wykwitła i broń mu pokazała, maczugę. A gdy wątpił, to maczuga była tak ciężka, że jej dźwignąć nie mógł; a gdy wierzył, to była lekka, jak pióro. Niał zwycięzał.

I opowiadał jej o czarnym samotnym stawie pod Kościelcem, kędy z głuchych skał ściekała woda i kędy wiatr pływiał na fali poruszonej. On trzy kwartały w roku, gdy owce, co się nad nim pasały, z hali zeszły, bywał samotny. A wtedy z wielkimi jeziorami w Pięciu Stawach, z Rybiem Jeziozem i Morskiem Okiem ponad niem, z Hinczowym Stawem za Hrubym Wierchem Mięguszowieckim on gwarzył. Pytał się ich bez wiatu przed zimą: nie śpicie ta jeszcze? — czy jeszcze na nie nie zapadł lód; a potem na wiosnę: nie śpicie ta już? — czy lód już po nich potajał? Głosily się stawy jeden do drugiego, bo sytko polubienie ma.

Gwarzyły, jako to było, kiedy cała dolina popod Tatry, pod morzem była. Były wody nie-

zmierne na obszerz świata rozlane, one zaś, wyniesione wysoko w górach nad morskimi wodami, słuchały, jako szumią, bo do chmur zdychno było.

Tysiąc lat po tysiącu szło.

Wtem przyjechał król Chrobry i mieczem przeciął łańcuch gór. Z niesłychanym hukiem i grzmotem runęło morze wdół za Gorce i świat tamten zalało. Ka było morze, leje się Biały Dónajec i Carny.

Stawy zostały same, samotne, wielkie wody na wysokości. A jeszcze dawniej nie było nic, leń śnieg i lód. Dawno.

I różne inne powieści prawil stary, stuletni Kret, a dziewczę słuchało.

Nieraz też juhasi kolejno, jeden za drugim, przy muzyce czyjejkolwiek tańcowali w szalasie wieczorem, a potem często cała gromada chłopaków, gońców, wyskakiwała naraz koło watry „drobnego“, aż bita ziemia odzywała. Czasem chłopcy „cud broili“: na głowach stawali, na rękach chodzili, we watrę się prali, na drągach napoprzek pod dachem powtykanych wieszali się jak małpy i śpiewali popod dach.

A że dziewczę rado słuchało, więc i juhasi śpiewywali, po dwóch i po trzech, lub wszyscy razem w szalasie bacowskim, a nigdy nic nieprzystojnego i nigdy nawet uwagi, ani gany

starsi chłopci młodemu dać nie musieli. Niekiedy stary Kret, w zamyśleniu podczas śpiewów siedzący, przyćmionym, głuchym głosem zawiódł:

Musem jo se musem siekiérke nastalić,
bo mie obiecujom przy dziewczynie zabić!...

i znowu w zamyślenie stuletnie zapadał, w pamięć...

Gdy nikogo w szałasie nie było, gdy juhasi owce w upłazy pognali, a baca ku nim wyjrzyć poszedł, naówczas miało dziewczę gości: szare ptaki, gazda szałasny i siwarnik śmiało koło szałasów się kręcili, ze świegotem i piskaniem, i zlatywał czasem z wysoka tęczoskrzydły, z dzióbem podobnym do żądła motyl skalny o długich silnych pazurach, zwiedzacz ślizgich od ciekącej wody turni wyniosłych i szczelin nadbezdennych nad zawrotnymi przepaściami, gdzie czarna śmierć nocuje. Z kosodrzewiny i z górskiego karlego jałowca krzaków, lub niżej z pośród czerwonych jarzębin zrywał się dziki kohut, cietrzew na ciężkich skrzydłach, lub głuchań z potłumnym łopotem, w przestrzeni kołysały się potężne jastrzębie, lub wartkie, trzepotliwe jastrząbki, nieruchome w powietrzu, jak przespilone w przestrzeni; a czasem zataczał ponad halą koła bijący owce orzeł skalny, lub śmigał ponad nią szybki, gwałtowny, jak z piorunu odpysły, sokół, w locie jaskółkę chwycić zdolny.

Z pod Żółtej Turni gwizdały świstaki, między głazami żerujące, a czasem dał się słyszeć wysoko ze skał ostry, chrapliwy, pszkający gwizd kozicy, blisko zaś wśród kamieni prześlizgiwała się żółto-płowa łasica, lub biały gronostaj. Metaliczne jesienne muchy o przejrzystych błonach migały z brzękiem i pozłociste, świecące zielonawe chrząszcze suwały się w trawie powoli, po której szybko przemykały szare halne pająki o wysmukłych nogach. Ostrożny lis wystawiał niekiedy z gęstwiny pobok ostrokończysty szpiczastouchy łeb, lub żbik żółtooki, albo kuna ciemna popatrzyły ku szalasom z konarów smrekowych i uciekły od ludzi.

Niekiedy po zielonych trawiastych uboczach, co popod Magórę biegły, przechodził rozłogorogi jeleni, cień rosochaty wlekąc za sobą i spozierając wdół czarno-złotemi, mieniaćcami się szafirowo oczyma, lub tętniło po nich stado łań z cielętami.

Tam leżąc z rękami za tył głowy założonemi, na hali, widziało dziewczę nad sobą gry nieba rozmaite, zmienne kolory błękitu, fale barw i światła od blado-srebrnego seledynu aż do w granat wpadającego szafiru, i chmur gry upajająco przemienne od ledwo widnych zwiewnych, pierzchliwych białych mgieł, wypływających z głębiny i niknących niewiedomo gdzie, aż do ciężkich mrocznych chmur, zaścielających jednostajną powłoką dolinę, i żółto-granatowych, świe-

cących fosforem obłoków, na których płynie burza.

Jednego promienistego dnia dziewczę poszło i dość długo go nie było, aż się zaniepokoił Sobek i juhasi, co na odwiecerz z owcami zeszli. Ale ono wyszło z lasu i pęk kwiatów leśnych i ziół pachnących przyniosło i dało pół Sobkowi, a pół Gałajdzie, którzy ją do szalasu przynieśli. Gałajdzie śwircki stanęły w oczach — bo to było przy nim małe, ani mu pod pazuchę głową nie sięgało. On był olbrzym.

Nazywali dziewczynę „ono“ za starym Kretem; imienia nie znali.

Pewnego dnia ono zapytało Sobka:

— Długo tu jeszcze będziecie?

— Niedługo.

— Pójdę razem z wami do wsi, abym tu na wiosnę powrócić mogła.

A nikt, choć z wyjątkiem Kreta i Byrnasa, chłopcy były młode, nawet myśli nieprzystojnej nie powziął. Marduła nawet się pytał Sobka, czy nie myśli, czy to nie święte, albo czy z nieba nie zjechało gdzie z deszczem ku Stawom?

— Jedy bęło zmarźnione i chorowało, w niebie tego niéma — rzekł Sobek.

— Mogło się wej stłuc, tele dale z nieba lecący — odpowiedział Marduła.

— Nie jest z nieba, bo syćko robi tak, jak cłek — rzekł Byrnas. — Ja wiem, bok widział.

— Dy i Pan Jezus jad i pił, a Bogem bël — odparł pomądrze Marduła.

I wszyscy nań z podziwem spojrzeli, bo od niego rzadko o czem innem, tylko o spodnicach, o bitkach, o pijaństwie i o złodziejstwie słychowali.

Ono było ciche i modliło się wiele. A o pobyt pana Kostki na hali nigdy nie pytało, ale gdy opowiadali, słuchało blade i modliło się potem długo w noc klęcząc, w bacówce, gdzie sypiało pod opieką dwóch psów u progu na łańcuchu upiętych.

Psy mu ręce lizaly, owce doń przychodziły. Żeby mu się nie przykrzyło, juhasi przynieśli młode jagnięta. Tych kilka już onego ani w dzień, ani w nocy nie opuszczało. Nieraz juhasi rano budzić przyszli — ono śpi, na jagnięciu głowę wsparłszy, a między jagniętami się grzeje.

— Jak na śkle malowane — mówił z zachwytem Sobek.

Wtem wieczorem, tego dnia, gdy Sieniawskiego dragoni Toporową zagrodę najechali, psy gwałtownie zaszczekały i w chwilę potem w progu szalasu pojawiły się Maryna z czarną wypaloną głownią w ręku i Tereska.

Właśnie wieczorzano i ono piło kwaśne mleko z plackiem.

— Maryś, cos ci!? — krzyknął Sobek, widząc twarz siostry zmienioną i wyraz straszny.

— Pomsta! — zawołała Maryna. — Bogowie wołajom sie mścić!

.
Nieskończonym, nieobjętym szumem chwiał się był nad Maryną las. Powoli, w dymie stosu, poczęła jej się była pojawiać ogromna jakoby miedziano-szkarłatna twarz w złotej z długimi kolcami koronie okolona rudemi kędziorami. Pochylała się ona nad stosem w chmurze dymu. Widziadło.

Maryna, klęcząca od długiej chwili z oczyma w płomień wpatrzonemi, przygięła głowę przed majestatem zjawiska.

Bóg się pojawiał...

Starzy bogowie wysłuchali jej, przychodzili pomagać przeciwko panom i księżom...

Starzy bogowie nieba i ziemi, wód i gór, lasów i gajów świętych...

Stare bogi, człowieka potężni druhowie mili, moce swoje...

Spływali ponad nią w ćmie, staczali się w niesłyszczanym grzmocie. Ich twarze drgały w brzmieniu omroku ich przybywania. Siarką i ciepłem gromu było ich czuć. Marynie pracowała gwałtownie pierś. Przejmowała ich w nią, zastępowała nimi w ciężę.

Wtem zdyszana, zziajana Teresia wpadła w uroczysko.

— Maryna! Niémas dziadka, niémas pościeli, niémas w kómorze nic! — krzyknęła.

— Jako!? Co!?

— Wpadli źli ludzie, dziadka zabili, pościele zrombali co ka béło wzieni, przyodziewe, spyrki — niémas w doma nic! Pustka!

— Wto?

— Zołmirze! I mnie na koniak gonili, alejek do Płazowskiej piwnice uciekła.

— Tobie gonili? — powtórzyła Maryna.

— Haj! Na koniak. Moze z dziesięci. Prawiek z lasa fciała wyjńść.

— Ha! — krzyknęła Maryna zrywając się z klęczek. — To jego zołmirze! To po mnie przijehali! To on — sieniawski pan!

— Ze jakoz wiés?

— Ten bozyc mi rzók, co hań sie w dymie z nieba znosi! On! O bogowie przenajświeńtsi! Wyście mnie ukarali i wy mnie teraz wołacie! Za krew krew! Za głowe dziadka Jasicy jego głowa! Za mój dom jego dwór! Na jego sable: topory! Hejhaaa!

Dziki, przeraźliwy, wysoki wrzask nappełnił powietrze, a porwana ze stosu i zakręcona nad głową głównia wianem iskier owiała Marynę.

— Hejhaaa! — powtórzyła okrzyk. — Tego trza béło, coby sie hłopi porwali bronić i mścić! I poskoczyła naprzód.

— Ka polecimé? — zapytała Teresia.

— Ku Stawom, do Sobka! Mścić sie! Mścić!!

.

Był dziesiąty dzień po przybyciu Beaty Herburtówny na halę ku Stawom.

Sobek zbiegł na dół z dziewczkami, ujrzał własnymi oczyma rabunek i trupa dziadka; nie rzekł nic i pogrzeb dziadkowi wyprawił. Zbili mu jedlową truchłą z czysto rzezanych desek i do truchły, co rad widział za życia, włożyli: stary nóż zbójcecki, starą po Toporze Łamiskale przodku blachę, co się nią koszulę spinało pod szyją, i śliczny obrazek na szkle malowany, wyobrażający świętą Cecylję w zachwycie na organach grającą, której aniołowie słuchali, z zielonemi palmami w rękach, którą za listwą w izbie miał. A stary Topór Żelazny wsunął mu jeszcze pod głowę ziemi garść, bo był gazda i ziemię miłował. Truchłą zabili, włożyli na wóz i do Szaflar do parafji powieźli. Za wozem szły baby z płaczem i zawodzeniem, jako zwyczaj każe, i chłopci milczący, zawzięci, zły gniew żujący.

Tak szli z trupem z Hrubego przez Olczę, Poronin, Białą Dunajec, najlepszemi drogami, aby się trup nie trząsł, do Szaflar.

Szedł i mały Krzyś, strapiony, z olbrzymim Gałajdą, który woły drugiemu wolarzowi zwierzywszy, na pogrzeb z pod Kopy Królowej zstą-

pił. A gdy się pogrzeb odbył, razem wracali i do karczmy w Białym Dunajcu, do srodze znajomego Krzysiu żyda wstąpili i w strapieniu pili. A gdy potem wyszli i znowu pod hale, trzymając się za ręce, wracali, użaliło się Krzysiu Gałajdy, że ani żony, ani dzieci nie miał i samotnie woły pasać w lecie, a w zimie w domu siedzieć musiał, i mówił mu, bo to byli dobrzy znajomi:

— Wiés ty, ja cie ozenie... Najdem ci babsko obitelne, jak sie patrzy... Tobie baby trza...

— Trza — potwierdził rzewnie Gałajda.

— Ja ci najde!... Nie oblizańca, ani nie matafije, coby maniory miała... Mnie tobie zal... Same ino obsiwkary koło tobie, co na jedném ramieniu wode nosi, a na drugiem ogień...

Gałajda westchnął.

— Tobie baby trza — mówił Krzys z przekonaniem. — Ja ci posukam... Gazdowskom dziewczke, nie wysiedzianom, rezuwitnom, wystawnom i przystojnom... Boś ty człowiek!

Gałajda wzruszony stanął, małego Krzysia w olbrzymie łapy oblaścił i lepkiemi wargami w usta go mlasnął. Poczem znowu, objawszy się za karki, ruszyli, a Krzys zataczając się, dowodził:

— Tobie baby trza... Ja wiem... Ja ci najdem... Coby miała duse jak woda, serce jak złoto, rozum jak włosy, a od biedry do biedry w zadku

śtyry siuhy... Browar!... Bo o takom nie trudno, co ma dupe jak scudło...

Gaładza chlipał, Krzyś mówił:

— Kie ja młody bół, za mnom takie kerdelem hodziéły... Wino mi na Węgrak konewkami no-siéły... Ja kazdom uwiód... Nie wierzys mi? To-bie baby trza... Ja ci najdem... Bo baba jest psia para, lec przez baby okfiara... My to nieraz z nieboscyke Topore gadali... On miał głowe!...

Nagle Krzyś się zatrzymał, puścił Gaładę, zastąpił mu drogę i rzekł groźnie:

— To bół hłop! Nie taki jak ty dziadu!

Gaładza się stropił i zmartwił.

Poczem wstąpili do karczmy w Poroninie, gdzie zastali równie wielkiego, potężnego i pijanego, jak Gaładza, Jakuba Karkosa i zaczęli z nim pić. Po chwili Karkos bez przyczyny dał w łeb Gaładzie, aż jękło, a Gaładza mu oddał, aż znowu jękło, Krzyś zaś zdjawszy ze ściany skrzypce karczmarza żyda, zaczął na nich grać Toporową drobną nutę orawską:

„Hora, hora, wysoko si,
moja miéła daleko si“...

Wkrótce Gaładza uderzył w łeb Karkosa, Karkos zaś Gaładę. Ale to wszystko bez gniewu; dlatego, że byli mocni i że im to nie szkodziło. I tak od czasu do czasu huczały grzmoccone pięściami jak bochenki łby, Krzyś zaś grał.

Poczem poczęli do siebie zdrówkać wódką, blaszanemi kwaterkami, a potem zaczęli się ceremonjować, gdyż Karkos, jako miejscowy, chciał płacić za Gałajdę i Krzysia, Gałajda zaś za Krzysia i za niego.

Wreszcie Gałajda wziął pod pachę i wyniósł żyda za drzwi. Krzyś wybił okno bez powodu i wyszedł za nim przez nie, a Karkos wlaźł do alkierza i położył się do łóżka żydówki spać.

— Ja cie ozenie — mówił znowu Krzyś do Gałajdy. — Tobie baby trza... Coby ci honor oddawała... Boś ty człowiek!...

.

Straszliwe gniewy rozplęły nad okolicą górską. Z jednej strony szlachta, dumna i upojona zwycięstwem pod Beresteczkiem, o którym sama wieść zgniotła pozornie wszystkie ruchy chłopskie, przybywszy do domu i karcąc zbuntowanych chłopów „zdawała się odchodzić od siebie ze zemsty i oburzenia“. Śledztwa i sądy, zwłaszcza we wójewództwie krakowskiem, wszczęto tak srogie, iż całe wsie uciekły w góry na życie zbójectwem, lub przedzierały się i poddawały pod opiekę Węgrom. Ścinano, palono, wieszano, zabijano pałkami i puszczano z dymem domostwa. Z drugiej strony zapłonął gniew Toporów z Hrubego.

Już stary Mikołaj Topór od Muru, stryjeczny

brat zabitego Topora Jasicy, i stary Wojciech Topór Leśny z Hrubego i Stanisław Topór Żelazny z pod Wiérchu schodzili się na narady, a wszyscy dookoła, Ustupcy z Ustupu, Murzańscy z Muru i Murzasihła, Łojasy z Pardółówki, Bulcyki z Poronina, Bachledy od Bachledów, Zalińscy z Furmanowej, Chowańce z Cichego, i dalsi, potężni, w przyjacielstwie pozostający Nowobilscy z Białki, Pary z Bukowiny, Jarzabki z pod Kopy, pomiędzy których wieść się o napadzie pańskich kozaków, mordzie i rabunku, rozeszła, dzielili oburzenie.

Wszyscy patrzeli na Sobka Topora, najbliższego, co się pomścić miał, a Sobek, owce z hali zegnawszy, siedział w chałupie i milczał.

— Sobek hłop! O niego się niema co obawać! Cosi namyśluje! — gwarzyli między sobą gazdowie, gotowi pomóc krewniakowi i towarzyszowi.

Tu, w królewsczyźnie na Podhalu nie było panów, ani kar — można było radzić i myśleć.

Maryna Sobkowi opowiedziała wszystko. Jak ją poznał Sieniawski, jak jej się podobał, jak ją kusił złotem i pochlebstwami napróżno, ale jak ona go kochała nad wszystko i gdyby był parobkiem, jak byłaby mu się pod pierwszym jaworem oddała, lecz nie chciała aby jej użył pan, ku któremu nie czuła się równą; jak oddała się panu Kostce, by go pocieszyć w godzinę niewoli

i nieszczęścia, kiedy wszyscy stają się równi, i jak bogów dawnych wołała w pomoc i przymierze — — a Sobek smołę ze smreków żuł w zębach i słuchał milcząc.

Nieruchoma, skościła babka leżała w izbie na pościeli.

Przychodził Krzyś i grywał; grywał stare Topora Jasicy nuty i ducha jego krwawego z tamtego świata wywoływał. Schodzili się Toporowie, Od Muru, Leśny, Żelazny i sąsiedzi i piersi im rozsadzało oburzenie, że się ktoś na Topora i gazdę na swoim porwać śmiał, a młodzi Toporowie mówili Sobkowi: my gotowi!...

Udał się Sobek w Polany do starego Sablika i stary Sablik z gęślikami, rzekomo nika nic ruszył gościńcem krakowskim i po tygodniu powrócił z wiadomością, że zamek w Sieniawie srogi, armatami, nie ciupagami, by go dobywać trza, a wojska w nim tysiące.

W tajemnicy było mówiono. Oprócz Sobka, Maryny i Krzysia nie słyszał nikt, nawet ono, dziewczę, które z hal z juhasami zeszło i u Sobka mieszkało, lekkie posługi domowe czyniąc i koło nieruchomej babki posługując.

Słyszał też w swej wędrówce stary Sablik, iż panu Herburtowi ze Siwego Roga zginęła córka i że jej poszukuje, a za znalezienie trzy tysiące czerwonych złotych wypłaci. Opowiadał i o zakonnicy, co pod palem Kostkowym, gdy wszy-

scy uciekli, została i kędyś znikła potem, jak mgła. Wiele słyszał, bo umiał słuchać. „Miał głowę“...

Tknęło coś Sobka i poszedł wprost zapytać dziewczęcia, ono odrzekło:

— Jam jest. Ale nie wydajcie, bo tu żyć, tu umierać pragnę.

I do ręki mu przypaść chciała, aby ją całować, ale Sobek zatrzymał ją łagodnie i spytał:

— Jako was panno, wołać mamy?

Dziewczę pomyślało chwilę i odrzekło:

— Chrzestne imię trzecie mam Ludmiła — tem mnie wołajcie.

Tak więc ją zwano, ona zaś prosiła, aby ją za siostrę uważać.

— Majętności wam nie zal? — zapytał raz Sobek.

— Majętności moje w ziemi leżą — odpowiedziała z żalobą.

Tymczasem Sieniawski kozakom, którzy rzekomej Maryny, przez Sulnickiego wskazanej, nie schwytali, po trzysta śmiertelnych plag wsypać kazawszy, wiernego i obeznanego z okolicą górską sługę Tomka w przebraniu wędrownego kramarza ze swej strony na prześpiegi w Hrube posłał. W ręce Marynę dostać jakim nie bądź sposobem postanowił. Ruszył więc Tomek z koralikami, paciorkami, grzebieniami, medalikami i obrazkami świętymi i do osady Toporów Jasi-

ców wstąpił, a tam oprócz Maryny ujrzał i poznał Beatę Herburtównę, którą nieraz z panem swym do Siwego Rogu jeżdżąc widywał. Co też powróciwszy Sieniawskiemu zameldował.

Zdumiał się Sieniawski, a potem palec do góry przy bystrem spojrzeniu wznosząc, rzekł do Tomka:

— Ani pary z pyska! Obie w sak! Milcz!

Tysiąc czerwonych złotych masz u mnie — dodał.

Jak przed Sobkiem, tak i przed Maryną wyznała się Beata. Przyjaźń między nie weszła i opowiedziały sobie wszystko — i wzajem w największem wzruszeniu w oczy sobie poglądnęły, bo tenże sam Sieniawski Marynę uwieść chciał, buławką ją ugodził i porwać, choć daremnie, rozkazał — i tenże sam Sieniawski z Beatą chciał się żenić, pana Kostki nieszczęścia stał się przyczyną. Ale Maryna o swej miłości do Sieniawskiego nie rzekła, bo się wstydziła; i o swej miłości do Kostki nie powiedziała Herburtówna. Czemu w Tatry z klasztoru uszła, nikt jej nie badał. Była.

Tylko kiedy się Maryna dowiedziała, że Sieniawski równocześnie, gdy ją bałamucił, inną zamyslał poślubić, krzyknęła: loter! — i Beata na wiadomość, że zalecał się do Maryny w czasie konkurów do jej ręki: o lotr! — szepnęła przez zęby.

Wysłuchał opowiadania dziewczyn Sobek i gdy w czas jakiś ponownie zjawił się ten sam kramarz Tomek, przynosząc przyobiecane Marynie korale do wyboru, choćby tylko napokaz, Sobek na noc go zatrzymał, z pomocą Maryny głowę w nocy mu zakneblowawszy ręce i nogi mu związał i cicho do lasu nieopodal do lochu Płazy wyniósł, gdzie, przytykając mu nóż kończysty do serca, głowę odetkał i rozkazał:

— Gadaj, co wiés!

— Co mam gadać? — jęknął śmiertelnie przelęknięty Tomek.

— Co wiés! Ja poznam prawdę!

I nóż lekko przycisnął.

— Prawdziwyś kramarz?

— Nie — szepnął trzęsąc się Tomek.

— Wtoś jest? Ja prawdę poznam!

— Sługa...

— Cyj?

Zawahał się Tomek, ale Sobek znowu nóż pocisnął.

— Pana ze Sieniawy.

— Widzis? — zwrócił się Sobek do Maryny. — Co wiés?

— Ja sługa, mnie kazali...

— Dobrze. Gadaj sytko, co wiés?

— Siostrę waszą pan mój porwać każe...

— Dobrze. Co więcy!?

— Wraz z wojewodziańką Herburtówną, która u was jest...

— Wié o niéj?

— Wié.

— Skąd?

— Ja ją poznał.

— Pocoś teraz drugi raz do nas prziseł?

Tomek zmilkł.

Sobek nóż pocisnął.

— Gadaj!

— Dwa tysiące koni sieniawskich, niby na karanie chłopów za bunt, w lesie pod Obidową stoi.

— Dobrze. Naco?

— Napaść was.

— Cy jest sam pan? — zapytała Maryna.

— Pan w karczmie w Zaborni, z kilkudziesięciu ludźmi.

— Kie majom napaść?

— Jak doniosę, że dziewczka i panna w domu.

— Dobrze. Co więcy!? — spytał Sobek.

— Więcej nie wiem nic.

— Co pan Sieniawski fce z Marynom konać?

— Nie wiem. Com wiedział, tom rzekł. Ale mnie nie zdradźcie! Na palu bym zgnił.

— Pewnyś!

Poczem Sobek nóż, który na sercu Tomkowem trzymał, po rękojeść wbił, wyciągnął język z ust trupa, urznął i spuściwszy z zabitego dolne

odzienie, wetknął go trupowi w odkryty tył, jak dawny zwyczaj uczył, aby było o takiej rzeczy milczenie.

Następnie w sam koniec lochu z Maryną zabitego wepchnęli i ciężkimi kamieniami przywalili.

Siadł Sobek pod smrekiem i ciężko głowę zwiesił na piersi.

— Teraz jus po nas — począł mówić w strapieniu. — Na takom sięle niémas rady. Ani sie obronić, ani uciec, ani sie skryć. Uciecemé na Węgry, to nas i haństela za piéniądze dostanom. Uciecemé w góry, z polowacki żyć, to nas zima wyzenie. A dom spalom, bydło, owce zabierom, budynki powalajom, wyjndziemé na dziedów. Pote jakoz babke odejńś i onym samom jedne ostawić? Ja juz nie wiem rady nijakiéj... Na dwaścia ludzi, na dwa sta ludzi ciupagi by sie nasły teraz po wojnie, kie hłopy dobre jus w dwoma, ale na dwa tysiąca!... Zginie nase pokolenie Toporów, Jasiców, bo pokiéł ja żywy, ani tobie, ani Herburtówniej on nie weźnie, ale pote co?...

— Trza zwołać jutro Toporów, Zelaznego, Leśnego, Od Muru — rzekła Maryna.

— No i co? Naco, hojby my zwołali? — odrzekł Sobek. — Coz poradzom? Trzaby z dzieścienci mil wkoło hłopów pozwołować, a i toby jesce nic nie płaciło ku teléj sięle. Dwa tysiąca

wojska! Hébaby Walilas z Łamiskalom z grobu powstałi, cobyś obstał!

Dźwignął się z pod smreka i w milczeniu ku domowi szli.

Tam on od czarnej izby lec poszedł, bo jeszcze do rana daleko było; Maryna zaś do białej świetlicy, gdzie z Hurbertówną sypiały.

— Tyś to, Marynko? — zapytała budząc się Hurbertówna.

— Ja.

— Wychodziłaś? Gdzieś była?

— Niescęście — rzekła Maryna, siadając na pościeli. — Ten kramarz, co haw bél, to bél przebrany pana Sieniawskiego służący; pana Sieniawskiego dwa tysiąca żołmirzów kielka mil stąd, pod Obidowem w lesie, on sam w karcymie w Zaborni, tobie i mnie porwać fcom.

— Wiedzą o mnie? — krzyknęła Hurbertówna przerażona.

— Wiedzom. Ten służący cie poznał, kie cie tu kiejsi widział.

— Ten, co tu śpi?

— On tu nie śpi.

— Przecie go brat twój zatrzymał na noc?

— Niémas go haw więcyl.

— Jakto? Poszedł? Do Sieniawskiego?

— On jus nie pudzie nika.

— Albo co?

— To nic... Trza radzić, co robić?

— Uciekać!

— Ba! Ka? Z gór cie niedługo zima w dolinie zezenie. A dóm... a babka...

— Ja ucieknę...

— E to was łapiom. Dwa tysiąca ludzi!

— O Boże, Boże! — jęknęła Herburtówna w rozpacz. — Lubo w klasztorze mnie ojciec замуrować za życia każe, lubo po niewoli żoną tego łotra zostać mi przyjdzie!... Wolej śmierć, niż jedno albo drugie! Równie mi straszna klasztorna cela wilgotna, włosiennica, dyscyplina i niewola, jak łożo tego pohańca, tego gnębiciela, straciciela mego Lwa!... Co robić!? Co robić!? Sierotam nieszczęsna... U was myślałam do końca życia pozostać, choćbyście mi kazali gnój z pod krów waszych widłami wyrzucać i podłogi w izbach myć, a z ostatnią służką jeść dali, ale i wam piorun nad głową wisi...

Poczęła płakać, a potem wśród łez opowiadać, jak ją ojciec, gdy pożar folwarku ugaszono i rabusiów odegnano, do Sącza do klasztoru na pokutę wywiózł, jak ją tam zakonnice dręczyły, jak ją morzyły głodem, budziły w nocy, rozbiebrały do naga i biły dyscyplinami, pokrzykując przytem dziwnie, jak ją siekły językami, wypominając jej świat i urodę, jak poniewierały jej miłość i z jaką radością doniosły jej o skazaniu pana Kostki na pal, że już tego okrucieństwa znieść nie mogła.

— Myślałaś się na Kostkę naprawić — rzekła jej bezwstydnie przełożona — a tu ci jego samego na pal wprawia!...

A gdy to usłyszała, dziwna moc w jej członki wstąpiła, po prześcieradłach zsunęła się z piętra i uciekła.

A gdy od pana Kostki trupa na polu w nocy się oderwała, poczęła iść w tę stronę, w którą ostatnie jego spojrzenie padło, ku Tatrom, i szła, szła, przez lasy, jagodami się żywiąc, obojętna na dzikiego zwierza, nie czując zimna, ani upału, nieznużona, jakby ją te oczy za sobą wiodły, nie wiedząc, poco idzie, ani dlaczego?... Szła nie wahając się, nie błędząc, nie zbaczając z drogi i dopiero, gdy zawieja śnieżna ją napadła, poczęła błędzić i wreszcie skuliła się w kosodrzewinie, by zginąć.

I żałowała wówczas, że nie rzuciła się do tego ciemnego stawu, nad którym przechodziła, ażeby zasnąć w jego głębiach na wieki.

Ah! I teraz żałuje, żałuje, żałuje!...

Jęła ją Maryna gładzić po głowie, ona zaś lamentowała. „Z ciebie“ było ostatnie słowo pana Kostkowe, bo jej wzgarda wbiła weń pal. Gdyby mu była nie okazała wzgardy jako ojciec, jako księżna ciotka, jako wojewodziec Sieniawski, nie byłby on z bólem, rozpaczą i gniewem z zamku Herburtowskiego wypadł, nie byłby się w rebelję chłopską cisnął, nie byłoby się to nieod-

placone, straszne, okropne nieszczęście stało... Z niej to poszło... Ona mu miała rodzić dzieci, a urodziła mu śmierć.

— Pan Kostka ratować kciał — rzekła Maryna. W ciemnie nie ujrzała ona oczu Beaty wznoszących się ku niej z pełnem nierozumieniem.

I dalej lamentowała ona i tuliła się do Maryny, po rękach ją całując, za kolana chwytając, aby jej broniła wraz z bratem, aby jej ani w ręce Sieniawskiego na żonę, ani w ręce ojcowe na pokutę i karę nie wydawali. Obiecywała ich sobie nagrodzić, gdy kiedyś po ojcu fortunę odziedziczy i kulila się pod silne Marynine ramiona.

Uchyliły się drzwi i Sobek spytał:

— Nie śpicie?

— Nie — odpowiedziała Maryna. — A ty, bracie?

— Mnie już sen odbióg powiek, pokieła się tak, abo tak nie przewazy. Trza będzie może, jak Zegłcanom, całej wsi z wójtem, przed pana swojego Krzistofa Cikowskiego tyraństwem i brata jego Jarosa rotmistrza pomstom na Węgry za Beskid: sytkim Toporom kany prec do swiatu się wynosić. Pan Sieniawski, słyszałek, ma sam więcyl wojska, jak nas tu gazdów ku kosie z trzidziestu wsi.

— Sześć tysięcy — szepnęła Herburtówna.

— A i to jak sie ujńś da — rzekł Sobek.

Chwilę milczeli, aż ozwała się Maryna głuchym, nieswoim, ale stanowczym głosem:

— Ostanom Topory na Hrubem.

— Ja pewnie, ale trup — rzekł Sobek z poważną, spokojną rezygnacją.

— Nié.

— Coz myślis, siestro? Zywego mie ani ku domowi, ani ku wam obu nie przekrocom.

— Legnijmé spać — rzekła Maryna. — Sen śmierzci brat, ale dobrój rady ociec.

Cofnął się Sobek do czarnej izby, a gdy się nazajutrz o świcie ocknął, Maryny nie było przy piecu, warzącej śniadanie, jak codzień. Czekał, a gdy się doczekać nie mógł, uchylił znowu drzwi od świetlicy i ujrzał Beatę samą na pościeli. Zbliżył się, stanął nad nią i począł szeptać:

— Jaby cie miał dać komu zabrać, kie jyno u nas siedzieć fces, kwiecie lelujowy!? Niedoczekanie nicyje! Nie jestek ci ja wojewoda, ani ksiąze zadne, myśleć o tobie nimogem, ale cie zaden więcył miłować nie zdole, ani miłować niebedzie! Do twojój wóle moja krew i zycie, ptasku z dolin! Kwiecie lelujowy!

Coś poderwało mu kolana, ukląkł przy łóżku, wtem obudziła się Herburtówna i ujrzawszy Sobka, zawołała zdziwiona i przestraszona:

— Co to jest!? Co robicie, Sobku!?

— Sukałek Maryny, fciałek se paciorze od-

mówić — odpowiedział Sobek zmieszany, powstając.

— Niema Maryny?

— No niéma...

.
Ona zaś, osiodławszy konia i kosę wzięwszy w rękę, jechała kłusem przez las ku Zaborni. Śpieszyła się bardzo. Sieniawski bowiem niewątpliwie, nie mogąc się doczekać sługi, ruszy ku Tatrom. Temu trzeba było zapobiec.

Drogi nie знаła, ale do Raby Wyżniej naprzelaj dobiła, a stamtąd jej chłopci, jako ma jechać, powiedzieli.

Gdy się zbliżyła ku Zaborni było już blisko południa. Jechała stępo, bo koń był już zmęczony i ona sama znużona wielce porówno drogą długą, jak i myślami.

Jechała naprzeciw niebezpieczeństwa, ażeby mu zastąpić, ażeby go nie puścić, by przyszło.

Nie wiedziała, co uczyni, chciała tylko wtargnięcie Sieniawskiego na Hrube zatrzymać.

Oddawała mu się w ręce; jako próg, którego przekroczyć nie potrafi, legnąć chciała u nóg jego. Co z nią będzie — nie mogła przeczuć.

Bogowie ją powołali — to czuła. Za pogrom Sobkowego hufca, za pal pana Kostki, za śmierć dziadka, za rabunek domu, wiedli ją ku Sieniaw-

skiemu się mścić, lecz porówno z nienawiścią, jak i z miłością w sercu...

Dziedzilija, pani miłosna, nie wysłuchiwała jej modlitwy... Pani miłosna, we wieńcu mirtowym, różami czerwonymi przeplecionym chodząca, błękitną przepaską pod piersiami przepięta, gołębiami otoczona, serce miała widne w boku, aby widać było, że nie masz w niem nic nieczystego, zemsty ani zdrady. W sercu Maryniem, jako zmije pośród lilij, pomieszane były uczucia. I kochała i nienawidziła.

Trzymała się leśnych dróg, ażeby na gościńcach w oczy nie wpadać i kierowała podług widoku Babiej Góry, pod którą leżała Zabornia. Tu i ówdzie też ludzie spotkani, jak ma jechać wskazali. Tłumaczyła się Janosika Nędzy Litmanowskiego siostrą i że do Bajusa z Leszczyn, herszta, który miał żółte wąsy i panów Trojanowskiego, Bobrownickiego i Bylinę zabił, w poselstwie od brata wyprawiona, a takie przedstawienie się wystarczało. Nie podniósł na nią nikt zuchwale oczu — chyba poza plecami parobcy łakomo na jej krasę spoglądali.

Dojechała po południu i straży przed karczmą do pana się z interesem od Tomka opowiedziała.

Pod ten czas Sieniawski w izbie przywiezionemi ze sobą kobiercami wybitej siedział i wiersze pisał. Czuł się samotnym, opuszczonym i serce miał przepełnione tęsknotą i żalością. Gdy

pacholek zapukał, dźwignął głowę zaledwie, lecz gdy się dowiedział że dziewczka z kosą na koniu przed karczmą stoi, rzucił pióro, porwał się od stołu i wypadł na dziedziniec.

Tam zdumiał się niepomiernie, ale to zdumienie krótko trwało. Poskoczył ku Marynie i wrzasnął, podobnie jak w czorsztynskim zamku:

— Tyś!?

— Ja — odpowiedziała Maryna z konia.

Dokoła stali dragoni, kilkunastu ludzi, którzy świadkami byli wstydu, jakim go Maryna w Czorsztynie okryła. Wściekłość Sieniawkiego ogarnęła. Jakby ogniem zapalony i przez ogień myślący krzyknął:

— Bierz ją!

Dragoni zdarli Marynę z konia, nim kosą śmignąć mogła.

— Zwleczone! — krzyknął Sieniawski.

Z ramion Maryny ściągnięto kożuszek.

— Do naga!

Nie broniła się. Kilkanaście silnych rąk obezwładniło ją; zerwano z niej zapaskę i spódnice, wreszcie koszulę. Włosy z rozpleczonego warkocza sypnęły jej się na ramiona.

Nie krzyczała. Błada strasznie, patrzała w oczy Sieniawskiemu, nic ludzkiego w spojrzeniu nie mając.

Wysokie, proste jej góralskie ramiona nie

drżały w rękach żołnierzy. Stała naga, jak jodłowe drzewo, smukłe, gibkie, i mocne.

Żołnierze Sieniawskiego, do wszystkiego przyzwyczajeni, spoglądali jednak po sobie. On zaś w bok się, jako miał zwyczaj, wsparł i sapiąc z pasji, w Marynę patrzył.

Maryna nie wiedziała, co z nią pocznie — czy nie rzuci jej na pastwę dragonom? Więc niebieskie jej oczy, jak kończyste noże z błękitnej stali, usiłowały przeszyć Sieniawskiego aż do serca. Śmiertelna zgroza ją owładła.

Jako broń pozostały jej tylko zęby i dusza w oczach.

Sieniawski stał i patrzył na nią.

Widował on w podróżach swoich po Włoszech marmurowe posągi nagich bogiń starożytnych — bogini łowów, Diana, co z oszczepem jelenia goiła, taką być musiała.

Przepyszna moc zwieriała się w ciele Maryny z przepyszna żeńską ponętą. I nagle poczęły Sieniawskiemu usta drgać, broda i szczęki wyciągnęły mu się naprzód, szyja wydłużyła z bark, jak u polującego sokoła, i niespodzianie, jakby większą niż wszystko inne siłą pchnięty, skoczył ku niej, wpół objął ręką i precz! krzyknawszy dragonom, nagą po stopniach kamiennych do karczmy wewłókł. Tam, oczy zamknawszy, aby jej oczu nie widzieć, w objęcia ją chwycił. Ona zaś potęgę Dziedziliji, pani miłosnej,

poznając, czuła, że progiem między Toporami a Sieniawskim legła.

Długo milczeli, aż Sieniawski szepnął:

— Kochałaś mnie?

— Kochałaś — odpowiedziała Maryna.

— Czemuś mi była oporna?

— Ja nie róza leśna, co się tardze, powonio i praśnie!

— Kochasz mnie jeszcze?

— A tyś co zrobił?

— Com chciał.

Sieniawski uczuł, jak ręce Maryny związały mu się za krzyżem i ugięły mu krzyż.

— Tomek cię posłał?

— Haj. Jo go nasła konającego w lesie.

— Co się stało?

— Niedźwiedzica go przysiadła.

— Herburtówna jest u was?

— Jaby tobie i jom zabięła — rzekła Maryna.

— Kochasz mnie jeszcze?

Maryna nie odpowiedziała, tylko dłonią poszukała, gdzie było bijące wojewodzica serce.

Tymczasem zwycięstwo pod Beresteczkiem zgmiotło do cna chłopskie bunty. Wieści o szerokich pogromach chłopskich, karach i zemście szlacheckiej dochodziły coraz gęstsze i straszniejsze, a Sulnicki wściekły na Sieniawskiego, że go w Zaborni w pustkowiu trzymał, sam hulał i żołnierzom hulać pozwolił. Rozpoczęły się pożary,

gwałty, mordy, łupiestwa; co noc płonęły domy w wielu miejscach, łunę olbrzymią na niebo rzucając. Łunami pozdrawiali się wzajem comes Lanckoroński, później od chłopów zabity, rotmistrz Cikowski i Sulnicki sieniawczyk.

W jedną taką czerwoną noc obudził się Krzys i rzekł do swojej żony Byrki:

— Byrka, jak tak dalej pudzie, to ono wej i do nas przydzie.

— O bo przydzie! — potwierdziła Byrka z zadłym babskim pesymizmem.

— Jak sie nie przeonacy na inacy, to bedzie źle.

— O bo bedzie!

— Ratować sie trza.

— No trza!

— Rence jest, jyno głowy niemas — rzekł Krzys.

— To tys to...

— Sobek Toporów bół hłop.

— No, no...

— Ale go zradzielo pod miastem, ludzie doń wiare stracili. I cosi mu chybia. Jo go widział pozawcorem. Jakisi taki łazi, jak zdechły. Jesce sie to Maryńsko kajsi podziało...

— I konia wziena pono?

— No.

— No to sie Sobkowi niéma cego cudować. Dyj to skoda wieldzaźna — koń.

— Sobek nie. Ale ja hłopa wiem.

— Wtoze taki?

— Litmanowskiego Janosik, od Nędzy.

— Tén harnaś?

— Tén. To sęk! Jak ten nas nie zratuje, to niwto iny. Kie tén cupnie nogom, to mu siedem sto djasków z pod kyrpca wyskocy! To oreł! Jo ide ku niemu.

— Je dy idź — rzekła Byrka, niewiele ponad garnek i kidanie z pod krowy rozumiejąca.

Zebrał się Krzyś, zimnej kapusty z wczoraj-sza na śniadanie zjadł, bo o ile wogóle jeść lubił, o tyle u siebie szczenił i nie dostawał: kawałek placka owsianego i spyрки do szmatki na drogę zawinał i ruszył pod Kopę, na polany i osiedla Zakopane, do Nędzów. Żadnej karczmy nie mi-nął i w każdej się napił, ale w miarę, aby trzeźwo do Janosika zajść. Tego się obawiał, że go w do-mu nie zastanie, jakże się jednak zdziwił, gdy pod chałupą Nędzową ogromną gromadę bab, chłopów i dzieci ujrzał.

— Je coz to? — pomyślał sobie. — Cy wto umar, cy co?

Wszyscy mówili do siebie szeptem, a gdy Krzyś gwarę podniósł, aby się zapytać, co się stało, dano mu znaki, aby milczał.

— Śpi! Śpi!

— Wto? — zapytał Krzyś.

— Janosik.

-- Janosik? W doma je?

— W doma. Ale śpi.

— Cy je chory?

— Nié, ale śpi.

— A poco sie was haw zgichła tela zmudź, jak na odpust?

— My ku Janosikowi przišli.

Przepchał się Krzyś przez ciżbę ku izbie, gdzie przed progiem oboje starzy Nędzowie i dwie stryjeczne siostry Janosika, Jadwiga i Krystka, stały, obok zaś na ławie stary Sablik siedział i po strunach gęślików palcem cicho dzwonił. Kobieta jakaś stara matkę Janosikową po twarzy gładząc pytała właśnie:

— Rusy sie?

A Nędzowa odpowiedziała z wyniosłą dumą:

— On sie rusy.

W tej chwili otwarły się drzwi i z sieni domu wyszedł Janosik Nędza w koszuli tylko i w portkach, bosy, i odgarniając włosy z czoła powiódł po obecnych pytającym, sennym jeszcze wzrokiem. Najbliżsi zaś chłopci, baby, dzieci do nóg mu padli z krzykiem i jękiem:

— Ratujcie nas!

— Prze co? — zapytał Janosik spokojnie.

— Prze gwałt, prze ozbójstwo, prze ogień, prze katostwo!

I kobiety pod nogi Janosika pochwyciły wołając:

— Co mamé, to wam damé! Ja płótna! Ja krowe! Ja miodu!

— Ja dziewke! — krzyknęła jakaś baba, śliczną szesnastoletnią córkę za rękę dzierżąc. — Nietykana, hetmanie zbójecki!

Tłum ludu otoczył Janosika, on zaś dłonie położył na głowach dwóch kobiet, co u nóg mu klęczały, szlochając, i rzekł:

— Kie ja od Zelaznyk Bram na Dunaju z rabunku bez Zelazne Wrota w Tatrak do Polski seł, widział ja cyrwonom od ognia noc. Cy to bez to?

— Bez to! Bez to! — krzyknęli ludzie.

— Ślaheckim ramieniem Panbóg kara! Ze my wolności fcieli.

— Za reberyjom!

— O kara, kara! Gorzy Tatarów ślakta broi! Palom, ścinajom, wiesajom!

— Całe wsi uciekajom!

— Całe wsi spalone!

— Bydło, ludzie, majontek, syćko ginie!

— Ratuj nas! Ratuj!

— My tu ku tobie, hetmanie zbójecki, jak ku archaniolowi Mijałowi przilecieli!

— Pod skrzidła twoje!

— Słońcem jeś bél nad nami, bydź jako miec!

— Broń nas od panów!

— Świenty Stanisław Kostka syćkie łyzy swego świentego potunka we worcek pozbiérał i Panu Bogu na stół zaniós!...

— No, no!...

— Krew sie nasa leje! Nik godziny nie pewny!

— Od ognia, głodu, wojny, nagłej niespodziewanej śmierci i pańskiego karania zahowaj nas Panie!

— Od pańskiej rency ratuj nas Panie!

— Pan Lanckoroński jako Lucyper z piekła wysel!

— A rotmistrz Cikowski jako Jancykryst!

— Mór, powódź i posuha nic proci panów nie stojom!

— Gorsa własna ślakta od Tatarów!

— Uciec nam na kraj świata, abo wyginość u proga hałup!

Rozległ się powszechny jęk i płacz bab, chłopci ze zwieszonemi głowami w milczeniu rozpaczem stanęli, śliczne zaś siedmnastoletnie dziewczę wyrwało się z matczynej ręki, skoczyło ku Janosikowi i zawisnąwszy mu na szyi, jęło go całować po licu, piszcząc:

— Hetmanie zbójce! Ratuj dziedziny nasze!

Odsunął Janosik Nędza poważnie dziewczynę i ozwał się w te słowa:

— Kie mie matka, bedzie temu ze seść roków, w Carny Dónajec do spowiedzi wyganiała, gwarzyli mi ludzie drógom, ze hań strasznie zły ksiądz i ze bije. Taki duk przisel do mnie, ani

zły, ani dobry. Mésle se, ze jak mie bedzie bił w kościele, to jak tobie wolno, to i mnie.

— No, no, zawdy tak trza — rzekł stary Nędza, przytakując głową.

— No to jak panom wolno bić chłopów, to i chłopom panów — skończył Janosik.

— To to wej! — zawołał z tłumu Krzyś z zachwytem. — Terazescie wej, Janosiku, dobrze pedzieli! Wy macie głowe!

— Haj — rzekł stary Nędza do syna. — Trza, cobyś sie rusił.

— On sie rusy — odpowiedziała matka Janosika z wyniosłym spokojem.

— Mozecie iść du domu — rzekł Janosik. — A wto ma wolom z chłopów, nieg zbrój z domu zabiere i tu przidzie na dziś na wieczór.

Do rąk, do nóg cisnęli się hetmanowi zbójcekiemu ludzie, że się ogać nie mógł; całowali go po twarzy, po ramionach, głaskali po włosach. Śliczne zaś siedmnastoletnie dziewczę stanęło przed nim, sięgając dłonią pod szyję, jakby zawiązkę od koszuli rozpleść gotowe, i zapytało:

— Fecie mnie? Zarusięki?

Ale on się uśmiechnął do niej łagodnie i łaskawie, jak do dziecka i rzekł:

— Nie ku orłowiś ty, ba jacy ku pawowi. Bydź zdrowa!

Dziewczę popatrzyło nań chwilę i rozplakało się.

— Du domu! Du domu! Posprząccie się tu-
stela — rozpędzał ludzi stary Nędza. Błogosła-
wiąc, we łzach jeszcze i już w radości odchodzili.

Pozostał tylko stary Sablik i Krzyś.

Wtem Janosik włożył dwa palce w usta
i gwizdnął przeraźliwie, aż powietrze zadrgało.

— Je kiz to sto dziadów!? — zawołał prze-
rażony Krzyś.

— He, he, he — zaśmiał się stary Sablik
i oparłszy głowę o żebro, zgrzypnął po nich kró-
tkim, kabłąkowatym smykem.

Krzysiowi w uszach dzwoniło, że ani nie sły-
szał Sablikowego grania. A myślał: co to be-
dzie? naco to takie gwiźnięcie, że od niego aż
w pępku zadrga?

Niedługo z lasu, skąd dym śnać nad chałupą
widać było, wynurzył się wysoki chłop i zbliżać
ku Nędzowemu domostwu począł.

— Jus idzie jeden — rzekł Sablik.

— Ej! — rzekł Krzyś, który już wiedział.

Przyszedł potem drugi towarzysz Janosikowy
i trzeci. Śnać od domowej roboty szli; na je-
dnego odzieniu trzaski pouczepiane były.

— Nie obdalno mieszkajom — objaśnił Sablik
Krzysia.

— Je dy tén i djabła w piekle obudzi, kie gwi-
źnie! — rzekł Krzyś z zachwytem i począł po-
dziwiać Janosikowych towarzyszy, pięknych, wy-

sokich i potężnych, co gdy „staneni do prostej leniji, to jaze pachło!“ Jak buki na wiosnę.

— He, ci narobiom mału — szepnął do Sablika.

Sablik zaś pokiwał głową i zgrzypiał dalej na gęsiolkach.

— Hej, krzesny ojce — ozwał się Janosik Nędza — zagrajcie o zbójnikowi, o tym jakimś Janosikowi, co przede mnom bywał, nute, bo sie mi wte dobrze myśli.

Przykręcił Sablik kołki, posmarował smyczek smołą, z kieszeni od serdaka dobył, i począł zaraz z polska z orawska śpiewać i na gęślach sobie nisko wspartych wtórować, stryjeczne zaś siostry Janosika, Krystka i Jadwiga, w głos za nim poszły. Słuchał Krzyś pieśni zbójnickiej, której nie znał jeszcze i cudował się jej piękności. Oni, patrząc na Janosika, który na ławce pod jaworem siadł, ręce w przypory od portek założył i bosc nogi szeroko rozstawione na trawę przed siebie wyciągnął, podczas gdy trzej towarzysze jego za nim stojąc na ciupagach się wsparli, śpiewali:

Pod Jaworkem, pod zelenym,
orze Hancia wołkem ciémnym.
Jesce skiby nie zorała,
matka na niom zawołała:
Hanciu, Hanciu, pójdź sem dómu,
wydajem cie, nieznom komu,

wydajem cie Janickowi,
i hroznemu zbójnickowi!
We dnie idzie, w nocy przydzie,
on nigdy nic nie przyniesie,
lem sablićku okrwawionom
i kosulke uznojonom.
Jano, Jano, kajeś ty był,
coś se sablićku zakrwawił?
Wyrubałek tu jedlicku,
co stojała w okienecku.
We dnie, w nocy hurkotała,
mnie smutnemu spać nie dała.
Kazoł Hanci kosulke prać,
nie kazoł jej bardzo płukać.
Hancia prała i płukała,
prawom rękę ś niej wyjena.
W tej rucyce pięć palusków,
a na małym złoty piestrzeń,
w tym piestrzonku troja wrótki —
dyć to mego brata rućka!...
Nikomu nic nie pedziała,
do matusie pobieżała.
Matko, matko, maci moja,
cy som bracia wszecy doma?
A nie syćka. A pre keho?
Pre Janicka nomłodsego.
Juz w Luptowie wyzwaniajom,
Janosika łapać majom.
Juz w Luptowie wyzwonili,
Janosika ułapili.
Ułapili, juz go wiedom,
trzy dziewcatka za nim idom.
Jednej Hancia, drugiej Marcia,
trzeciej malowana Tercia.
Hancia płace, Marcia kwili,

Tercia sie mu trzymie syji.
Nie płac Terciu, serce moje,
co ty widzisz, wszecko twoje!
Nic nie widzem, te horićku,
te niescęsne siubienicku!
Kieby jo bół dawno wiedział,
ze jo budziem na niej wisiał,
dałbyk jo jom odmalować,
śryblem, złotem wyobijać.
Ode spodu talorkami,
a od wiérhu dukotami,
a na wiérhu złotu kawku,
gdzie położem swoje hławku...

Krzyś z szeroko otwartemi oczyma, z półuśmiechniętą, rozchyloną gębą wpatrzony w Sablika i w dziewczęta w niemym zachwycie słuchał pieśni z za Tatr skądś przyniesionej, łowiąc każde słowo, łowiąc melodję, aby nic nie uronić i wszystko w głębokiem uwielbieniu zapamiętać. Janosik zaś Nędza pozierał przed siebie w mgły, śnać kędyś daleko myśla będąc. A gdy ustali śpiewać, ozwał się półgłosem, jak gdyby obrazem kończył myśl swoją:

Kiedy hłopczy z dołu na Orawu przišli,
zdumiała Orawa i Orawcy wsyscy! —

poczem rzekł do trzech swych towarzyszy:

— Lecie po dobryk hłopak, co blizy. A naprędzej do tyk, co sie ku mnie wprasali, powiećcie im, ze im teraz nie odpowiem, ba ik wdzięcznie przyjmiem. Wto fce sie mścić, niek idzie, a wto

fce rabować, niek idzie tys. Na dziś wieczór niek tu bedom. A ja zatela idem spać.

Podniósł swą wspaniałą siłę i poszedł do domu legnąć na wygodnej pościeli, za nim zaś poszli ojciec i matka co trzeba było przygotować.

Trzej chłopci po krótkiem porozumieniu ruszyli każdy w innym kierunku.

Krzyś przysunął się ku Sablikowi i spytał:

— Je kaście tys takom pieśń sliseli?

— Ja to słyszał — odparł Sablik — daleko we świecie, na Spizu u jednego leśnickiego, co my u niego na polowaniu béli, Jarzabek ze Zycańskiego, stryk Jaśków Wawrzek Nędza nieboscyk, a i Jasiek bél, takie jesce hłopcysko, nie béło mu ośiemnaście roków. Ci hań w takik lasak siedzom, co moze trzi dni na syćkie strony iść, zacy z lasa wyjndzie. To jest lasy grafów Palfik, Erdedyk, panów Maryasik, a i biskupie. Do tyk hań nie dojdzie nijaka wieść. O wojnie sie dowiedzom, kie sie juz skońcy, o morowém powietrzu, kie sie kajsi w morzu utopi. Miał hań ten leśnicki trzi córki; jednej béło Irma, miała jasne włosy, jak len, drugiej Weronka, miała carne warkoce mieniące, trzecia béła młodsza, Juczi, Ulka po nasemu, i brat bél, hłopiec, Andryś, co na harmoniji grał. Ony ten pieśń śpięwały. Haniok cicho, jacy jyno potok pod dom sumi i drzewa nad nim. Do nieba jyno ponad wiérhowce widno, ferecyna w pas, a pustki co

straf. Dziewki płótno przędom i śpiewajom, pieśń po pieśni. Zamnożyło się hań dzikik świń i ryły po polak, bo ik béło tysiące, i odkazał po nas stary grof Palfi, że my strzelcy. I poleciał s nami Jasiek, bo to béło ciekawe.

— Ładne béły dziewczki? — zapytał Krzyś zainteresowany.

— Do cudu!

— Jakoz się hań ta leśniarka nazywała?

— Selbyś hań? Rabsik. Oni to nazywajom Hagi. My hań krótko béli, jyno jedne noc, bo my haństela daléj pošli, ku Batyzowcom. Jasiek nieraz rabsickie dziewczki wspomina. Kotwi się mu jesce dziś za niemi.

— Je cemuz hań nie pudzie?

— Zbójnikowi nie rzec tak hodzić. On się zawdy warować musi. O Jaśkowi po Węgrak bębnowali i na jego głowe dwa tysiące talarów naznacono.

— Ej wiera! Ale takom pieśń w złoto oprawić!

— W złoto. Kie Janosik co namysłuje, jako ka zrobić ma, to mu jom wse śpiéwać musem. — A i té dziewczki się poznaucowały.

— He, niémas to jako przy starej pieśni medétować — powiedział Krzyś z naciskiem. — Ja sam kie mam co do myślenia, to se séjmiem skrzipce ze ściany i gram. Byrka ta cosi ozore miele, co nic nie robiem, ale ja jój ta jyno telo zeżwieńce:

Stara baba, hłop młody,
wjebał na nią do wody,
nie fciała mu wody pić —

— Ej hłopce! — wykrzyknęła jedna stryjeczna siostra Janosika, Jadwiga, do drugiej, Krystki, gdy Krzyś swawolny ostatni czwarty wiersz zwrotki dokończył.

— Ja tak uwazujem — rzekł Sablik — ze nie-mas nad muzyke i pieśń. W niej sie zmieści cała dusa człowieka. A i tyk gór bez tydzień nie obójńdzies, a do jednego pomyslenia ig syćkie wrzis i na strunak ci w jednym razie brzęknom, jak kiebyś na gwiazdy poźrał.

— Haj — potwierdził Krzyś.

— Ja nieraz i dwa tyźnia sam po górak po polowace hodziël, ale mnie sie nie cło. Gęślikik jek zawdy miéwał w rękawie w cusce, to jek postrzelonemu niedźwiedziowi i przigrał, coby mu béło wesoło umiérać.

— Ej ha! — zawołał Krzyś.

— A sobiek grał po dolinak w nocy, przy watrze, pod Krziwanie, w Hlińskiej Dolinie, pod Hrubym Wiérhe, w Hlinéj za Wołowcem, w Mie-gusowskiej, ka padło. Turnie béły koło mnie i las. Ja bël hań sam jedyniec, a drugi bël on.

— Niedźwiedz — rzekł Krzyś z przejęciem.

— Niedźwiedz. My sie hań sukali, ale kie my sie ześli, to las grzmiał.

Wyciągnęła się sępia twarz starego Sablika, brząknął smykiem po gęślach, usta wąskowargie mu zadrgały i siwe przymglone źrenice w bezmierz pobiegły.

— A luptoskik strzelców kieloście hań w skalak z kulkom w piersiak ostawili? — zapytał Krzyś.

Sablik ruszył tylko głową:

— E dy ig idź porahuj — mruknął.

— Poco zastempowali? — rzekł po chwili, nie przestając grać.

Krzyś zaś rzekł:

— Teraz ja jus na miejscu. Kie sie Janosik Litmanowski rusy, to amen. Lecem ja ku Sobkowi, ku Toporom, ku Mardułom, ku Mrowcom na Olcom, trza odesłać na Białke, na Groń —

— Jest hłopy i na Bukowinie — wtrącił Sablik.

— Hań naród postrahany, to we wiérhu, wia-ter. Hłop kie do pola wyjńdzie, to mu kazdy włos osobicie stoi, a na kazdym włosie wes siedzi.

— Ej hłopce! — zawołała siostra stryjeczna Janosika, Krystka, do Jadwigi.

— Ścignon by ja jyno oblecieć i odkazać z kielka hłopami od nas, to w nocy haw bedom. Boby sie niejeden pomścić kciał za Nowy Targ. Zgichnie sie haw litwa! Jak jaskólek w jesieni na wiezom w Saflarak przy kościele. Przidom Topory, Mardułowie, Ustupscy, he, ci im hań zaśpiwajom:

W rzyci widły, w rzyci widły, a na końcu gwóźdź,
pojdze ku mnie, pojdze ku mnie, bedziemé sie bósć!

— He, he, he — przyśmiał się Sablik lekko.

— No, ostańcie z Pane Boge na tém case —
mówił Krzyś, powstając z ławy. — Przyde i ja.
Jyno se skrzipce z hałupy weznem. Bedem wam
pomagał Janosikowi grać, kie legnie.

— A babsko? — zapytał Sablik.

— Byrka? Moja Byrka nie zginie!

Starej babie w potoku
leżał djaboł przy boku...

— Ej hłopce! — wykrzyknęły do siebie obie
siostry stryjeczne Janosika, Jadwiga i Krystka,
parskając śmiechem.

Ale z sieni wychyliła się matka Janosikowa
i psyknęła:

— Ciho bydźcie, dziewczęta! Janosik śpi!

.

On jednak nie spał. Leżał na pościeli twarzą
ku powale i w sosrąb ryzowany patrzył. Już to
ośm lat uszło, jak w Rabsiku był, Irnę, Weronkę
i Juczi śpiewające i Andrysia grającego na har-
monji słyszał. Przyszli rano przed świtem do
leśniczówki, straszniemi lasami idąc, on i ci strzel-
cy nad strzelce, chrzestny ojciec Sablik, stryk
Nędza i Jasiek Jarząbek ze Zywcańskiego.
Wiódł ich posłaniec grafa Palffy'ego. Spali w ko-

lémie w lesie, przyszli jeszcze w mrok. Mgły były. Żona leśniczego śniadanie im zastawiła, a we mgle koło domu, po rosie, przesuwwały się koło stajni krowiej i koło gospodarstwa dziewczki, jak widma. Twarzy uznać niesposób było, nic, tylko znać było, że dziewczęta. Wszystko się wydawało jak ze mgły — dom, stajnia, chlew, ludzie, psy gończe powiązane. Drobnny deszczyk mżył, grube krople kapwały z dachu powoli i rzadko; co się uzbierało na gonicie.

Dała im leśniczowa wódki borowiczki po puharku i chleba z paprykowaną węgierską słoniną po okrutnym kęsie. Stryk Wawrzek Nędza, któremu nos złamał niedźwiedź, i Jasiek Jarząbek, jego przyjaciel, któremu nos złamała Kunda Harendzka, trąciwszy go weń ramieniem przy zwyracie w tańcu, po tem śniadaniu zaczęli mówić. Nie rozumiał ich nikt, ale oni siebie rozumieli. Choć nawet głusi trochę obaj byli: stryk od obucha, którym go zamłodu Kula Wałowy przy Marcinowej Bronci uderzył, Jarząbek od drzewa, co się na niego przy rąbaniu zwały. Brzęczeli na gębach, jak na drumli; tyle tylko można było rozumieć, jak stryk Wawrzek mówił: bestyjka! — a Jarząbek: na to mówiący — bo takie porzékadła mieli.

Dziewki bujne, wysokie, tęgie we mgle się ukazywały, w dziedzińcu, na wilgotnej rosie, co kroki głużyła.

Poszli z leśniczym. Cały dzień do wieczora polowali, z obławą się zeszedłszy. Padło dziewięć dzików, trzy wilki, ryś, cztery jelenie i łoś, nie licząc sarn, lisów i zajęcy; dwa niedźwiedzie postrzelane poszły. Jednego strzelca Niemca spruł na śmierć odyniec; dwóch ludzi z gońców poszarpał niedźwiedź, z tych jeden zaraz zmarł.

Wrócili wieczorem do leśniczówki, aby przenocować i dalej się nazajutrz posunąć.

Sutą wieczerzę z pańskiego skarbu zastawiła leśniczowa. Było wino tokajskie i miód koszycki, placki z pszenicznej mąki i gulasz okraszony i paprykasz pieprzny; bogata ziemia węgierska, mlekiem i miodem płynąca, o której na skalnem, zimnem Podhalu śnił lud, jak o raj...

Wypogodził się ku wieczorowi las; gwiazdy na wietku miesiąca niebo czarne zasłaly. Las się niemi zarosił, jakoby kwitł. Tysiące gwiazd na wierchowcach i konarach świeciło.

Po wieczerzy Sablik jał grać na gęślikach, a stryk Wawrzek i Jarząbek grzali nogi, stanawszy naprzeciw siebie i cyfrując po góralsku dostojnie i pięknie, jak na tak sławnych i wielkich myśliwych przystało; potem Andryś grał czardasza na harmonji, a tańczył go stary Sablik z leśniczową, ku podziwowi obecnych, tem większemu, że był Polak i w kyrpcach, nie w butach. Gdy skończył, zabrzączał Jarząbek do Jaśka, jak na drumli:

— Zatońc ze se i ty hłopce, na to mówiący.

Więc krzesny ojciec Sablik przykręcił kołki i zazgrzypiał, a Andryś grał sekundę. Zodziął Janosik czuchę, zrucił serdak i pas i wyszedł na pośród izby w koszuli tylko i w portkach. Pojrział we drzwi od sąsiedniej izby: obie dziewczki tam stały, co je we mgle rano na pół widne widział. Jedna miała jasne włosy, jak len i niebieskie oczy; druga czarne włosy mieniające i oczy szafirowe, jak niebo.

Serce w nim zadrgało. Popatrzał ku tej drugiej i zaśpiewał przed Sablikowemi gęslami:

Nie smuć ze sie dziewce, kie jo sie nie smuce,
cały świat obejńde, ku tobie sie wróce!

Tak głosem oczom dziewczyny odpowiedział.
Ale już nie wrócił więcej.

Tańczył nieźle, bo stryk Wawrzek nierad chwalił i młodzież miał za nic, a „e bestyjka!“ ze dwa razy powiedział.

A gdy zgrzany, obhajdukowawszy tydzieści razy izbę dookoła i wykrzesawszy całego drobnego do pola dla ochłodzenia się wyszedł, po niewielu krokach, dziewczynę czarnowłosą spotkał.

— Piękny taniec — rzekła.

— Wyście piękniejsi — on powiedział.

— Jutro pójdziecie dalej?

— Jutro.

Westchnęła dziewczyna, a on ją wpół ujął i szepnął:

— We was świat!...

Rozejść się trzeba było. Potem dziewczęta zawołała matka do izby. Wzięły się, jak zwykle, do przedzenia płótna i za matką poczęły śpiewać gościom, a Andryś grał na harmonji. Długo w noc słuchali myśliwcy w wielkiej mrocznej izbie, kagańcem smolnym oświeconej, posiadłszy na ławach koło ścian, poopierawszy głowę na rękach, pieśni: o młodzieńcu, co się pytał matki:

Pani matko, gdzie je wasza cera?

Priszoł som ju nadszciwić — — —

A gdy się dowiedział, że umarła, leży w szczerem polu w hroboweńku, poszedł nad grób i wołał:

Wstan naninka z teho hroboweńka,

a podaj mi rucziczku —

tri roczki minuli jak som cie niewidzał,

chęć sa z tobą pocieszyć...

A gdy nie wstała, gdy mu powiedziała „wec som całkom zemdlena“, oczy ziemia zasypała i usta, tak się żalił:

Ked ja swu Naninku ne dostanem,

pójdzem ja na skału, shłoniem hławu,

na skału wisoku, prevelmi syroku,

shłoniem swu hławiczku, spadniem dołu.

Mnia szesmi młodzieńce niesti budu,
fakoły woskowe horec budu,
a twe siwe ocka płakać budu...

I śpiewały z uśmiechem:

Pokel ja som bola mała,
maminka me kolimbala,
hoho, hoho, hoja, hoja,
hołubinko, duszo moja!
Ale ked ja som už duża,
hlejdate mi matko muża,
hoho, hoho, hoja, hoja,
hołubinko, duszo moja!...

I o tych wędrownikach, co śpiewali:

Kec powandrujeme, což my pic budzeme?
Wineczko z Tokaju, wodziczku z Dunaju...

I śpiewały smutną, tęskną pieśń niewoli węgierskiej:

Hej Krywaniu, Krywaniu, Krywaniu!...

I o tym śuhaju, co był taki wspaniały, że ku niemu

„musiałaby krasna holka osiem razy krasna być!“...

I wreszcie zaśpiewały:

Pod joworkem, pod zelenym,
orze Hancia wołkem ciemnym,
jesce skiby nie zorała,
matka na niom zawołała:

Hanciu, Hanciu, pójdź sem domu,
wydajem cie, nieznam komu.
Wydajem cie Janickowi
i hroznemu zbójnickowi...

Za pieśnią szła pieśń, aż potężnych myśliwców sen morzyć począł i wsparte na rękach głowy kiwać im się jęły. Wówczas spać ich na szope do siana wyprowadzono. Ale z czarnowłosą Weronką ściągął Jasiek słowo zamienić.

Więc, gdy posnęli wszyscy, zesunął się z szopy, a ona już u studni czekała. Poszli w chojnik, gwiazdami nabijany. Nie broniła mu ani ust, ani siebie.

Tylko pytała:

— Wrócisz się?

A on jej odpowiedział:

— Wrócem.

Ona mu mówiła:

— Takiś mi, jak ten las...

A on jej mówił:

— Biererem s tobie miód, jako pscoła z bezu...

Noc była jeszcze, kiedy się rozstali, świtu nie było, kiedy leśniczy na rogu na psy zagrał. Znów im dano po puharku borowiczki i po kęsie okrutnym chleba z paprykowaną słoniną. Ale Jasiek nie jadł, tylko do torby chleb ze słoniną wraził i odchodząc zaśpiewał:

Nie smuć ze sie dziewce, kie jo sie nie smuce,
cały świat obejńde, ku tobie sie wróce!...

Lecz już w parę tygodni później zawiódł go ojciec na Pająkówkę, ku Krzistofowi Pajaku, zbójcekiemu sławnemu harnasiowi, bo taką karierę uradzili ze strykiem i chrzestnym ojcem dla niego, a matka dokwalowała. Pajak go spróbował na jedno i na drugie, na siłę, na bieg, na skoki, na rzucanie ciupagą i cięcie konarów w powietrzu od rzutu i na odwagę i zaprzysięgłszy przed odwiedzionym pistoletem, do bandy przyjął, a gdy w rok później nieszczęśliwie powiesili Pajaka w Mikołaszu na Liptowie, już Janosik Nędza sławnym był zbójnikiem i nagrodę za jego głowę obiecowano.

Kochanek miał, ile chciał i gdzieby był chciał; ale on się dziewczek warował trochę, bo zdrada przy tem.

A onej Weronki z Rabsiku zapomnieć nie mógł.

Zali była dalej u ojców w lesie, zali się wydała zamąż i gazduje gdzie na jakiej leśniarce, albo na gazdowstwie rolnem? Zali żyje? Zali umarła? Zali piękna taka do cudowności jako była?

Nieraz się o niej Janosik Nędza zamyślił, bo mu jej nikt nigdy nie zastąpił, a urok kobiet był mu ku urokowi Weronki, jako kwiatów w ogrodzie ku róży ciemnej.

I często mu Sablik spiskie pieśni grać i śpiewać musiał i pouczali się ich jego towarzysze

od Sablika i jego siostry stryjeczne i mały czeladniczek, a nawet matka często nuciła przy tkackim warsztacie kądzieli, albo podczas rafania lnu. I kiedy Janosik co zamyślał, medytował nad czem, kazał sobie tak śpiewać. Przy pieśniach Weronki z lasów spiskich namyślawszy, siał postrach po dolinach od Liptowa przez Cisę, aż po Bramy Żelazne u tureckiej granicy.

Nietylko strach o głowę swoją Janosika Nędzę wstrzymywał od szukania Weronki. W niewiaści, odrazie i wzgardzie ku zbójnikowi Weronkę w pańskiej leśniarce chowano, jak jego wychowano we wzgardzie ku pańskim sługom i w dumnej wyniosłości. Nie dałaby się mu matka nawet żenić nie z gazdowską córką, ale z „dziadem“, „z pod pańskiego proga“, „ze służkom“.

I spotkać się obawiał — — wołał pamiętać tę noc, te godzin parę i kazał sobie śpiewać pieśni, przy których plany wypraw zbójeckich, podobne do planów orła, układał.

.

Beata Herburtówna na Hrubem miejsce Maryny przy gospodarstwie zajęła. Ona rano wstała warzyć śniadanie, ona białemi delikatnemi rękami gotowała obiad i wieczerzę, a nawet do prania się wzięła.

Maryny nie szukano. Widno było, że zabrała

konia i pojechała gdzieś własnowolnie, umyślnie. Mogła strachem nagłym opętana przed Sieniawskim gdzie uciec... Mogła mniemać, że w ten sposób nieszczęście odwróci... Nie było się już o co w razie napadu na Hrubem bić. Mogła przypuszczać, że prędzej, czy później Herburt się o pobycie Beaty u nich dowie i zabrać ją przybędzie, a temu się sprzeciwić nikt nie ośmieli, ani powinien.

Ale w miarę, jak coraz więcej i bliżej Sobek Topór Herburtównę przy sobie miewał, w duszy jego poczęły się niecić ognie i pożądania miłosne, a krew poczęła w nim kipić. Nie považał się wprost, ale pochłaniał postać panny poza plecyma rozpalonemi oczami i w ustach czuł na jej widok suchość płomienistą. Wynajdywał tysiączne przyczyny, aby ciągle być przy niej, a męczył się, bo się niczem nie zdradzał. Sypiał on zawsze w izbie czarnej, a ona w białej, ale Sobek w nocy pod drzwiami jej siadywał, słuchał i kłął dom, tak budowany, że szpary między drzwiami a framugą nie było, a i zlegi od góry się dopasowały. Aż razu pewnego przyszła mu szatańska myśl do głowy: w powale dziurę wywiercić i tamtędy patrzeć.

Wziął świder wielki, gdy Beata w stajni przy krowach była i na strych z nim wyszedł. Ale gdy ostrze do drzewa przyłożył nad łóżkiem Beaty, strach święty go przeniknął.

On że miał wiertać dziurę, dziurawić dom, za króla Olbrachta budowany, półtorasta lat stojący, w którym ojciec i pradziadowie jego, Topór Krzos, Topór Obuch Jasica, Topór Wysoki marli, w którym zmarł i budowniczy jego Walilas, brat Łamiskały, co Hrube wykarczowali, polanę wyrobili, w którym dziadka zabito, w którym się pokolenia rodziły — dom święty? Miał go psuć!?

I buk i smrek w lesie od jednego włókna psuć się zaczyna, nim scędrzeje do cna i zbutrzniały do znako runie. I niedźwiedziowi poczyną pruchnieć jeden ząb — wielki jest jeszcze i mocny, ale koniec się mu zaczął, chyli się, aż legnie. Ale to robi czas, a onby w domu swym, w domu ojców miał sam zacząć zniszczenie?

I cofnął przytknięty świder od drzewa powały.

Ale przyszła żądza. Ujrzy pannę w łóżę idącą, ujrzy, jak wstawać będzie, jak się obmywać i bieliznę przewłóczyć będzie, ujrzy...

I przytknął świder do drzewa. Zdawało mu się, że dom zadrżał.

I znów stał odjął.

Święty strach, święta groza go ogarnęła. Obejrzał się wkoło. Zdawało mu się, że cienie stoją poza nim, że straszliwe ramię wyciąga ku niemu Walilas, co Hrube karczował, i Łamiskała, co polanę wyrobił, olbrzymy.

Ale nikogo nie było.

Znów przytknął świder — przycisnął, zakręcił.

I wiercić począł z całych sił, z wściekłością, potem oblany, dygocący z zimna.

Wiertał... Wiercił dziurę z pasją, z szaleństwem, z siłą dziesięciu ludzi, aż niestało oporu. Wyciągnął stal, dmuchnął w trociny i ujrzał światło i pościel Beaty Herburtówny. Wówczas szybko zbiegł na dół zmieść podłogę i od tego czasu dni i noce przepędzał na strychu. Bo wyjść trzeba było i lec na powale, gdy nikt nie słyszał, a zejść także tak samo. Więc nieraz przeleżał tam od popołudnia aż do dnia białego nazajutrz.

Poczęli radzić krewni.

Maryna znikła, Sobek ścieńciwiał, aż do cienia stał się podobny, gospodarstwa zaniedbał, zdechniony łązi — jak tak dalej pójdzie, przytelim majątku na dziada wyjdzie. Zaziuneno go cosi, jak gad ptaka oczami — a i cały dom po Jasicach...

Ku temu niedaleko w sąsiedztwie chłop zdrowy, co od wojska z pod Beresteczka przyszedł, wybraniec, położył się i umarł. Rozszerzyła się łożnica pomiędzy ludźmi wkoło. Skąd, kiedy chłop zupełnie zdrowy jeszcze do osiedla przywędrował?...

Baby poczęły szeptać między sobą, radzili chłopci. Chłopi o Sobkowym upadku i że ni Maryny nie szuka, ni o pomszczeniu dziadkowej śmierci nie myśli; baby co innego szeptały. Żona

Topora Żelaznego rzekła do żony Leśnego Topora:

— Così Jasiców zaziuneno...

— Wiera haj! I ja tak myślę...

— Maryna się straciła — ślaku znaku po niej...

— No. Jakby jom coś porwało.

— Myślałam ja, czy nie dziwozony — ale i ghań niemas nikany, ani o nik nie słychno.

— Mnik samo to nie; ludzie go nie widowali dawno. Wilki tys nie, to nie zima.

— No to jak się straciła?

— Edź?

— I z koniem. Do ziemi nie wjechała, ani w powietrze nie furkła. Nic, jyno jom wyгнаło z domu. Wto wie jak — w las, albo w turnie. Wto wie, czy jeszcze żywa?...

— No, no, no, wto tak wie, co się s nim stało?...

— Zaziuneno jom. Nic, jacy to.

— A i Sobek jaki? Cięż i cięż. A i mało go widno. Syćko kajs w domu siedzi bez całuckie dni.

— Haj. Ja uważała po nim przemiane.

— Tak i ja. A od kiedy?

— Dy niedawno. Mało co, kie się przyredykali z hól z owcami...

— No, no, no. Teraz my na cieście. Zaziuneno Jasiców.

— Zaziuneno.

— A ludzie chorujom. Troje pomarło.

— No.

— Skąd? Bez co? Dyj tu nijakiej chorości nie bywało! Skąd sie wziena? Kieby wojtek Bustryckiego, co od wojny przisel, bël przisel chory — ale Panie broń, niebëło mu nic!

— Tu zachorował.

— No tu, ze zdrowego. Zaziuneno cosi Hrube.

— Zaziuneno. Ale co?

— A coz haw łazi zdrowe, piékne, nie brakuje mu nic? A skąd sie wzieno?

— Je co?

— Zre, pije, jako ony planietnik, co pod Koppom za wodom u Sobanka siedział, a dokucal syćkik, jaze pote osiedla fciał wytopić.

— No. Ale haw planetnika niémas nikany, do nikogo nie ślaz siedzieć, pomiędzy gazdów.

— Ze dyć wiem. Ale co Gałajda nalaz? Przy Stawuk?

— Ehę! Ten panne?

— On mi sam opowiadał, a ja mu powiadowała kielka razyj: wto wie, cyś dobrze zrobiël, coś jom prziniós?

— Moze i to być. Hm...

— No dy uwazujcie sami: syćko sie naokoło fce skantrzyć, stulać dołu, a ono rośnie!

— No, no, prawde gadacie.

— Ja ta na nikiem rada wirchowała niebedem. Ale tu — w ocy bźga, jak nozem!

— Hej, hej, hej — bźga.

— Topór stary zabity, Toporowa jak kłoda leży, Maryna przepadła, Sobek zgłupiał, a onemu dobrze.

— No, no.

— Ja wam tak powiem, bo ja ta nierada figli nijakik gadam, wto wie co Gałajda do sałasa prziniós?

— No, no, wto wie?

— Moze być mamuna jaka, dziwa stwora, pokusa...

Pomilczały chwilę pod wrażeniem.

— No to coż robić? — rzekła Leśna.

— Co robić? A co zrobili w Trybściu za Białom Wodom z carownicom?

— Z Biedrzanom? Co jom spalili?

— No!

Znów umilkły. Uczuły, że rzucają coś strasznego z dusz, jakby kamień rozpalony na głowę czyjaś z rąk.

— Kie krowy zacény mléko tracić, kie dzieci wzięny mreć. A samo tak i ona skądś przisła.

— Ze świata.

— Bajto! Wtoz wie skąd?

— Moze i z Łysěj Góry?

— Ja to slišała z ludzi. W Hiśpanji sami księdzowie kazowali heretyków i wseliniejakik carowników palić. I to béło świente.

— Dyc i jakiegosi Husa Niemcy spalili.

— No, co dzieci w żywocie macierzyńskim urzekań, ze sie umarte rodziły.

— Ja to slisała na odpusćie w Saflarak, jako ksiądz z ambony wołał.

— Hej raty, przeraty!

— Trza lud ratować.

— A i ród; Sobek Topór.

— Moze sie i Maryna najdzie. Wto wie?

— A coby my jom wzieny bić? Potela, pokiela sie Maryna nie wróci, abo pokieli nie powie, ka je jest, abo ka Marynine ciało, jakby nie zyla?

— Podźmé ku hłopom.

— Poszły. Chłopi wysłuchali z uwagą. Bo to byli mądrzy i świadomi spraw świata gazdowie i choćjakich próżniaków im nietrza było mówić. Przywołali najstarszego między sobą Topora Od Muru i jego żonę od Kulów z Gronia.

Na spalenie się nie godzili, „dowodu“ takiego nie było. W to uwierzyli, że się Maryny wyzbyło z domu czarami, żeby więcej jeść miało, i że Sobkowi pocyniło, aby zmarniał i aby całe gazdowstwo wzięło sobie. To już bywało nieraz. Czasem się i dziwtoremu djabłu uprzykrzyło w piekle siedzieć, umyślił se na ziemi gazdować. To albo od chłopa gazdowstwo kupił, albo wysłużył, jak do djabła, są niejednako władni, albo go wystraszył, albo rozmaitemi sposobami do ruiny przywiódł i gazdowstwo sobie wziął, tak jak żyd. Czasem też i figlem wycyganil. I żenili się. Po

takim jakimś duchu jest Duchowie w Między-cérwiennem przy Czarnym Dunajcu. A i Pokusowie, ród szeroki, od Ludzimierza po Polany pod halami, skąd innąd się niewzięli. Kto wie, czy ta panna to nie djabli poseł, a może djabłowa kochanka?

— Kie jój nie widział nik nika hodzić, ani nic...

— Nie bójcie się! Jedno mogli się ułożyć na kwile, drugie djaboł nie potrzebuje dźwierzysukać, ani na oknie burzyć. Hoćjakom sparom wleci, koło zapory, cy nad prögem, a ludzi zaśpi.

— Baj to! To duk.

Milczał stary Topór Od Muru, wreszcie rzekł:

— Coby mogło być, niewiem, ale ze se Sobków i Marynin majontek przysobić fce, to może być. Słychował ja ze staryk ludzi o karle, co się do gazdy na pahołka zjednał i gazda przy nim na takom biéde prziseł, co się obwiesić fciał. Niwto mu poradzić niewiedział. Ale bół cłek mądry i poradziół karła wygnać. Toz to zesła się cała dziedzina i karła wygnali het, za granice. I ony hłop się zaś sprościół na gazde, jako prę-dzy. A to miało być kajsi na Orawie.

— No, no, no, widzicie — poczęła szybko mówić Żelazna.

— Samo tak i tu będzie — zaczęła za nią Leśna.

Sobek zaś jak szalony chodził. Porwać się na Beatę nie ważył, nawet się do niej bardzo odzywać śmiało nie nauczył, ani nie próbował.

Co razy w nocy pod jej drzwi podszedł, to odpadł od nich, pchnąć nie śmiał. Tylko zdziaczał tak, że rad był, że Maryna przepadła, bo przy niej aniby na strychu przy wywierconej w powale dziurze leżeć, ani pod drzwiami Beaty w nocy nasłuchiwać w sieni nie mógł. A słuchał każdego jej poruszenia, każdego westchnienia, oddechu.

Kiedy się po pościeli przesuwiała, jego dreszcze gorące przechodziły, jak żeby się żelaza roztopionego napił. Czasem mu przychodziło na myśl kotlik miedziany z dukatami z pod jaworu za domem wykopać, pannie nogi złotem obsypać, ale go zaraz śmiech brał — nie telo złota ona w ojcowym zamku widziała, może jej więcej do przesypywania garnczkami jako dziecku dawałi...

Nieraz tłukł Sobek głową w stajni o ścianę, a czasem się wściekł i konie szarpał za uzdy, kopał i pięścią po łbach bił bez powodu, że drżały, gdy wchodził, podczas gdy dawniej szyje ku niemu obracały przyjaźnie. Dziwował się parobek służący, ale gdy raz się odezwał, Sobek pozbierał mu w kułak koszulę pod gardłem, zakręcił i takimi oczami nań spojrzał, że parobek postanowił milczeć, choćby Sobek i żywcem skórę z koni darł.

Beata zaś chodziła cicha, nic niewidząca, niczego niedomyślna, w trwodze i niepokoju o Ma-

rynę i w przerażeniu przed Sieniawskim. Niemniej powietrze i zdrowe jadło, oraz zajęcie sprawiły, że utyla nieco i nabrała kolorów, których nigdy nie miała. Miłość i straszne przejście z Kostką, wyrzuty sumienia i żal czyniły, że łagodna jej i spokojna dusza smutną się stała i zadumaną i wieczna melancholja ocieniała jej czoło i źrenice. Żyła za światem, a drżała przed rzeczywistością.

W Sobku nie postrzegała nic. Nie przychodziło jej to do myśli. Jego mizerny wygląd i opuszczenie się przypisywała zgryzocie, której miał tyle przyczyn; czego on zaniedbywał w gospodarstwie, ile w jej siłach było, własną pracą i trudem nagrodzić się starała. Co się mogło stać z Maryną, w głowę zachodziła.

Wiele też kłopotu i dolegliwości było ze starą Toporową, babką, która widocznie już ani żyć, ani umrzeć nie mogła. Przytomna była, bo oczy jej przytomnie po ludziach błdziły i męczyła się widać walką życia i śmierci, ale umrzeć nie mogła. Do szkieletu podobna leżała w komorze bezwładna i nieruchoma i co rano szeroko miała rozwarte, straszne półtrupie oczy — żyła.

Jednego dnia przed południem Sobek wracając z ciupagą w rękę z lasu, gdzie drzewo zakrzesami znaczył na ścięcie, ze zdziwieniem ujrzał sporą gromadę ludzi z Toporami, Żelaznym, Leśnym i Od Muru i ich żonami na czele, pod-

chodzącą pod jego dom z widłami, cepami, z biczami, osobliwie baby. Przyśpieszył kroku i stanął naprzeciw pytając:

— Je kaz to takom kupom idziecie? Cy na wilki?

— Do tobie — odpowiedział Topór Od Muru, głowa rodu.

— Do mnie?

— No.

— Cy sie stało co? Ale co?

— Idziemé Złe z twojego domu wyganiać.

— Złe? Z mojego domu haw? Je jakie Złe? Ja niewiem o nicym!

— Niewiés, boś zaziuniony — rzekła Toporowa Żelazna.

— Ja zaziuniony? Cyście zgłupieli stryno? Coz wy radzicie?

— Stryna dobrze radzom — rzekł Topór Od Muru. — My cie przišli ratować.

— Je kiz djasi!? — krzyknął Sobek zniecierpliwiony. — Cyście wy sytka waryjaki, cy ja o rozum prziseł? Coz wy haw radzicie do mnie?

I uderzył końcem toporzyska o kamień.

Naówczas Topór Od Muru wystąpił krok naprzód i począł mówić:

— Słuhaj, Sobuś, dziecko, kie na Orawie w jednéj dziedzinie kareł sie do gazdy za pahołka zjednał i gazda przy nim tak, jako tys i ty haw teroz, marniał, syćko sie mu niewiedło, kro-

wy zdychały, owce zjałowiały, kobyły porucowały, baba mu umarła, on sam zrzesał, jako tys i ty haw teraz; ku temu sie mór na ludzi cison — zesła sie famielijsa i cała wieś i karła wygnali.

— No to co? Coz to haw ma do mnie?

— A ty se myśl pozbiéraj do głowy: dziadek zabity, babka razona, Maryna zginena, wto wie, cy jesce zywa, tyś zrzesany, ścienciwiony co jaze zal, gazdowstwa nie patrzis, ludzie dookoła na łożnice mrejom — —

— No to co? — przerwał mu Sobek niespokojnie, jakby przeczuciem tknięty.

— My haw od tobie wyganiać przišli.

— Kogo!?

— Panne.

— Pannel!?

— My uradzili, je ze ona to złe we was dom prziniesła.

— Ona!?

— No.

— Cyście wy sie saleju nazarli, stryku, cy mnie bez rozumy przejąć fcecie!?

— Uwazuj, do kogo gadas! — rzekł Topór Żelazny surowo.

— Jezus Maryja! Na mój sto prawdu! Nie wodźcie mnie na pokusenie, bo hoćjeście starseszy i stryk — —

— Tu cała dziedzina za nami — rzekł Topór Leśny.

— A coby i tysiąc dziedzin béło! Ja tu gaza! Na swojém! Kogo mam w doma, to mój! Icie w kroćset djablów, pokielek dobry! Stosecnyk djasków zjadło!

— My sie haw tobie nieboimé — rzekł Topór Od Muru.

— My haw przišli w świentěj sprawie. Ka panna?

— Ale skąd wam to do głowy wjechało!? Stryła wam maciery do boku! Skąd!?

— Z mądrości — odpowiedział Od Muru. — My nie od dziśka zyjemé, ani nase baby tagze. Tyś młody, głupi. Dowodu niémas. Ty niewiés nic. A jesce barzyj bez to, coś zaziuniony.

— Je siem skaranie, trzista wam w garle dziś, stryku, s tém zaziunieniem!

— Ja zaziuniony, jak haw krew śknie z pod obuha!

— Uwazuj, do kogo radzis! — odezwał się Żelazny groźnie.

— A hojbyk i do was samyk radziél, krzesny ojce! — grzmiał Sobek głosem. — Wy mi jėj nie wydrecie, héba z dusom!

Spojrżeli chłopci po sobie, spojrzały baby; pokiwali głowami.

— No, Sobek — rzekł Topór Od Muru. — Kaz panna?

Wtedy Sobek zsiniał, zczerniał prawie; oburącz ujął toporzysko od ciupagi i rąbać dookoła

siebie począł kamienie, głazy, krze jałowcowe, ziem, jakby go szaleństwo owładło. Piana wybryzgnęła mu na usta, oczy stanęły w słup, biegł i w zamachu rąbał, straszliwe kręgi zataczając ciupaga.

Ludzie się cofnęli w trwodze, wołając:

— Złe nim piero! Złe nim piero!

Ale Toporowie Żelazny i Leśny i dwóch chłopów podsunęli się ku Sobkowi jakby ślepe-mu w szale i chwycili go za ramiona. Odpadło trzech, jak od buhaja wściekłego, lecz Żelazny, siłacz, przy ramieniu prawem się utrzymał. Poskoczyło więcej chłopów, ubezwładnili Sobka, zwalili na trawę i przysiedli pod sobą. Wtedy z gardła jego wydarł się krzyk, jak z gardzieli dławionego przez wilki jelenia.

Ten krzyk usłyszała zajęta w piwnicy Beata i wybiegła z niej, w spódnicy ugiętej po kolana, przed dom.

— Tu je! Tu je! — wrzasnęły baby.

— Co się stało!? Na Boga!? — zawołała Herburtówna.

Ale nagle ujrzała się napadniętą i otoczoną przez tłum z widłami, cepami i biczami. Koło niej ryknęły dzikie głosy: Za granice! Rusiaj stela! Bier sie! Uciekaj! Carownico! Psia duso! Idź stąd! Bezero! Psie mięso zatracone! Rusiaj tu stela...

Bicz śmignął i uderzył ją w plecy.

— Ah! Jezu! Co to jest!? — krzyczała Herburtówna. — Zaco mię bijecie!? Zaco mię wypędzacie!?

— Rusiaj! Rusiaj! — ryczał tłum. — Za granice! Bier sie! Uciekaj! Carownico! Dziwa stworo! Weredo!

Jeden z machających koło niej bijaków od cepów ugodził ją w głowę. Złapała się za głowę rękami, zasłonić chciała od ciosów.

— Ukamienować jom! — wrzasnęła jakaś baba.

Ludzie usłuchali — schylili się i podjęli z ziemi kamienie. Pierwsze rzuciło dziecko, chłopiec dwunastoletni, któremu oczy zażęgły się ogniem. Trafił Beatę w grzbiet.

Wtem przez tłum przepchał się stary, stuletni Kret; zasłonił Beatę rozpostartą gunią i odezwał się do niej:

— Podź, dziecko! Uciekaj, bo cie zabijom! Ja s tobom! Podź!

Ptasiemi, pełnemi śmiertelnego lęku oczami spojrzała Beata Herburtówna na Kreta i przypadła głową pod starą, wytartą gunię.

Kret ją zatulił i wieść począł w stronę lasu, a za nimi szedł tłum, złorzecząc, hucząc i hałasując, ale nie bijąc, ani nie rzucając kamieni. Taka była powaga, taki majestat opieki w starcu, w którym każda kostka już się trzęsła, taki odzew na napad, że ludzi onieśmielił. Szli za nimi bandą, wielu, zwłaszcza dzieci, z kamieniami

w rękach, z wrzaskiem i krzykiem, ale czuli się jakoby ogłupieni przez Kreta.

I wkońcu poczęli ostawać, a ci dwoje szli na-przód, aż przybliżyli się do lasu i znikli.

Trzej Toporowie, Od Muru, Żelazny i Leśny popatrzyli na siebie.

— Przysady miał — rzekł Żelazny. — Ja to dawno kalkulował...

Gdy wieś wypędzała Beatę za swoje granice, w las, Sobek, czarny prawie na twarzy, bez przytomności na ziemi leżał: trzy Toporowe, Żelazna, Leśna i Od Muru do domu Jasiców weszły i nad pościelą Toporowej Sobcackuli w komorze stanęły.

— Niemoże umrzeć, stary biédak — rzekła Leśna.

— Ani żyć — rzekła Żelazna.

— Ani jedno, ani drugie — rzekła Od Muru.

W rozwartych szeroko źrenicach Jasicowej wymalowało się śmiertelne, okropne przerażenie.

— Wié biédok — rzekła Żelazna — co ra-dzimé.

— Je dyj sama bacy, kie jej ociec niémóg skonać.

— I kie staremu Głacanowi juz sto trzidzie-ści roków béło, a jesce zył, ślepy, głuhy, taki jyno trzopek.

— Haj, haj, haj! — pokiwała głową Toporowa Od Muru.

— Je na coż to takiego półtrupa trzymać? Héba coby w izbak powietrze psuł. Ś niéj już nic niebedzie.

— O bo nic!

— No nic.

— A béła to gaźdina.

— I baba!

— A i dziewczka musiała być! Padajom starzy, co sie jaz świat rumieniéł, kie przy Stawuk pasała.

— No! Mogło to być!

— Siedmi parobków sie o niom wyzabijać fciało.

— A teraz półtrupa.

— No, no...

— Ani pół niémas. Ćwierć.

— Tak to wej, tak...

Oczy Sobcackuli przesuwaly się niewypowiedzianą trwogą przeszyte z twarzy na twarz stojących nad nią kobiet.

— Biédaku stary — rzekła Leśna.

— Nieborko! — westchnęła Żelazna.

— Ale trza ś niom zrobić, jako jest zwyk. Jako i nam kiejsi moze młodszy robiom, jakby my za długo żyły. Dawieł jej przecie nie bedzies — rzekła Od Muru.

— No, no, zrobić trza, jako jest zwyk...

— Trza — rzekła Leśna.

— Porzondek Sobkowi w hałupie zrobić.

Kieby staryk do lasa nie wywozowali, toby młodym ciasno béło. Taki świat.

— Taki wej, taki...

— Moze ta i skorzėj dojńdzie...

— Abo ta i dźwierz dziki przydzie. Co sie ma mencyć długo.

— No, no! Taki jest porzondek świata.

— Zdawna starzy gadowali: kie s kim za casu śmierć rzędu niémoze sama dojńść, trza jej dopomóc. Biercie, kumosko — rzekła Toporowa Od Muru.

— Pościele skoda.

— Je dy haw descki na podworcu jest. Niemas co wozu zaprzagać, bo las blisko.

— Siejdze haw jesce zatela, biedarstwo, siedź.

Oczy Sobcackuli pełne były potwornej rozpaczy.

Trzy Toporowe zaś wzięły kilka desek z podworca, znalazły gwoździe i siekierę, zbiły obuchem nosze i powróciły do komory.

— No, podź! — rzekła Leśna.

Sucha twarda, skalista rezygnacja widniała już w oczach starej półmartwej góralki.

Toporowe podniosły jej sztywne ciało z pościeli, wyniosły z domu, położyły na zbitych deskach i dźwignęły wgórę. Stały w podworcu, na oborze, między domem mieszkalnym, a stajniami i chlewami. Trzymały Sobcackulę na deskach.

— No, poźrzyjze jesse na gazdowstwo, biédaku — rzekła Toporowa Żelazna.

— Ostatni raz!

W tej chwili zaryczała w stajni smutno, przeciągle krowa.

Jakieś jakby drgnienie wzruszyło nieruchomą, skościłą twarz Sobcackuli i jakby łzy zaszkliły w kątach jej suchych oczu.

— Wis? Płace — rzekła Od Muru. — Śwircki jej w ocak stanény.

— Luto jój krów...

— I krowom jój.

Toporowa Żelazna otarła łzę rękawem od koszuli; po zawiędłej, jakby zatęglej bruzdami twarzy Toporowej Od Muru popłynęły duże sączące się strugi łez.

— No, podźmé — rzekła Toporowa Leśna wzdychając żałośnie.

We wrotach obory spotkały Sobka — szedł czarny prawie na licu, chwiejąc się i wspierając na ciupadze.

— Babka skonać niémoze. Fcemy ci do cysta porzondek zrobić w doma.

— Trza, cobyś sie zéniel — rzekła Toporowa Od Muru.

— Haj — potwierdziła Leśna.

— Uprzácemy ci. Hoć to dzieci, abo wnęki samé robujom i staryk ojców, cy dziadków do

lasa wiezom, ale tyś jakisi taki jak chory teraz, fcemy cie przerencyć.

Sobek popatrzył na babkę błędnymi oczami.

— Dobrze — rzekł jakby bez myśli.

Trzy Toporowe, niosąc Sobcackulę na deskach, wyszły przed izby; ludzi nie było — poszli za Beatą ku granicy. Przed izbami stali tylko trzech Toporowie. Popatrzyli i nie spytali nawet o nic, nieraz to widzieli.

— Uprzącemy Sobkowi — rzekła Leśna. — Maryny niémas, tego djabła my wyzeneni, trza, coby sie Sobek zéniéł.

Trzej Toporowie kiwnęli głowami w milczeniu, pochwalając.

Kobiety zaś, tą samą drogą, którą owce pędzono z przed Toporów Jasiców ku Stawom, szły ku lasowi i zanurzyły się w nim.

— Ka jom ostawimé — spytała Żelazna.

— U Płazowej piwnice. Hań gąśc, husciawa — odrzekła Od Muru.

Poniosły i położyły nosze na mchu.

— Haw cie śmierzc dokończy. — rzekła Leśna.

— A janieli cie i haw najdom, jageś nie w grzyhu — rzekła Żelazna.

— Ostaj z Pane Boge! — rzekła Od Muru.

Popatrzyły chwilę na Sobcackulę: twarda, spokojna, skalista rezygnacja świeciła martwo w oczach starej góralki.

— Deski zabieremé? — spytała Leśna.

— Je dy to nie wóz — rzekła Od Muru.

— Zawdy skoda — rzekła Żelazna. — Pięknie ohéblowane.

— Jasieniowe drzewo...

— Na mehu jój i tak lepsi będzie...

— Lekcyj sie jój skona.

— No...

— Ani nie musimé tyk desecek Sobkowi wracać. On ig ma dość.

— Kozda se nieg weźnie po jednej...

— No...

— Ono się przida w doma...

— Bajto! Przida...

— Je coź ta takiemu biédokowi, na cym leży?

— A hojby jom to obesło, to nie powié...

— Bo nie gada...

Zdjęły sztywne ciało Sobcackuli z nosz i na mchu położyły.

— Lez ze se haw, lez — rzekła Żelazna.

Poczem rozbiły nosze i każda wzięła deskę pod pachę i wlec je jęły odwracając się ku wsi.

Po chwili rzekła Leśna:

— Ale wam powiem, kieli to ten las, co sie nie przeruwa nikany...

— No haj... Straśnie je wielgi...

— I pusty. A moze ta w nim teraz niejeden taki stary cłowiek leży...

— Abo i błądzi!... Kie Kośła swojego ojca

Pietra do lasa wywióz, to jesce Pieter fajnie hodziél...

— Niémóg sie wej Kośła dockać, kie ociec umre... To strasnie gwałtowniwe, a złe, jak pies.

— Mnie raz Mrowcowa Kaśka padała, jeze kości ze starego Mijała Mrowce, co bél jej hłopa strychnym dziadkiem, to jaze kajsi pod Kosystem juhasi z wiesnom naśli, telom dal zaseł, kie go przed Gody syn Maciek, co go nazywali Frombijarzem, do lasa wywióz.

— Siéle miał, na to seł, a wracać sie du domu niémiał poco.

— Wiécie — rzekła Leśna — kie se tak pomyślis, e, to strasny ten las... Jedni w nim nie-doumarci lezom, drudzy po nim hodzom, na ren-cak i na nogak pojeden.... i na brzuhu sie wlece.

— Haj, haj, haj! Takie jascury...

— A jęcy to, wzdyha...

— Niedaj ze Panie Boze za długo żyć!

— Strasno pomyśleć — mówiła Leśna. — Taki głuhy las, sełbyś po nim, a tu ci cosi kajsi pod krzakem westhnie...

— Abo zjajcy...

— O raty! Jaby zamglała...

— Abo kieby ci sie taki na racku z cienia wywlók — pod nogi...

— Ocy do tobie wystawiél...

— Ze zębisków, jak ta jesce ma pojeden, ozór wywaliél...

- I zastompil ci — — ze ziemie patrzący —
- Jaby zamglala — rzekla Leśna.
- Jaby uciekla — rzekla Żelazna.
- Jaby kopla, nieg sie dzieje, co fce — rzekla

Od Muru.

- Strasno pomysleć, taki las...
- Strasno...

Powróciły do Sobka; trzech Toporowie siedzieli przed domem na ziemi.

- Kaz Sobek? — spytała Żelazna.
- W nuku — odpowiedział jej mąż.
- Podźmyz ku niemu.

Chłopi powstali i wraz z żonami do sieni weszli; Sobek leżał w czarnej izbie na pościeli.

— Sobek — rzekł Topór Od Muru — ja jest nostarsy, to ci radzem. Ostaleś sam, majontek jest, trza cobyś sie zenił.

— Ale s kim? — zauważył Leśny.

— Dziewek po świecie dość. Jest hań i po Łętowskim Marsiałku córka, Hanka, dziewczka do rzeczy i bogata.

— Jest na Białce dwie dziewczki u Stanisława Nowobilskiego, jak srybło — rzekla Toporowa Od Muru.

— Abo i pod Kopom u Tatara, Marysia, u Symcia? — rzekla Leśna.

— Dziewek po świecie dość. Bedzie fciał, to se wybiere; opuści sie na nas, to my mu wybieremé. O to nie biéda...

W tej chwili usłyszeli Toporowie nosowy głos Krzysia, który śpiewał:

Napić by sie napić, kieby co dobrego!
Kiedyby obłapić, coby co godnego!...

— Krzyś z Olce — rzekł Topór Żelazny.

— Przynapity.

Jakoż przynapity nieco Krzyś ukazał się we drzwiach na krótkich, krzywych nieco w iks nogach w kapeluszu na bakier, z miną butną.

Patrzył z jasności w sień z olśnionemi jeszcze oczyma, a Topór Od Muru zauważył:

— Kanysi popił, bo podufały.

— Jest haw wto? — zapytał Krzyś, nie pozdrawiając i wyniośle.

— Jest — odpowiedziano mu.

— Sobek Topór?

— Jest i Sobek.

— Jest je? Ka?

— Haw. Na pościeli.

— No to nieg wstaje! Janosik Nędza Litmanowski na panów idzie.

— Co!? Jako!?

— Jako mówiem! Ja idem ś nim, jyno skrzypce weznem.

— Ka idzie? Co?

— Na panów! Ludzi bronić!

— Nędza? Hetman zbójecki?

— No!

Sobek siadł na pościeli, potem zerwał się, skoczył, schwycił ciupagę i z gołą głową do sieni wypadł, potrącając Krzysia we drzwiach, który się zachwiał.

— Kapelus weź, piscołce! — zawołali za nim Toporowie.

Ale on wyskoczył w pole, wpadł do stajni, wywiódł konia na uździenicy, wskoczył nań i z kopyta się puścił.

— Zginie — rzekł Topór Od Muru, patrząc za nim.

— Skoda go — rzekł Topór Leśny.

— Maryny niémas, Sobek kajsi jedzie bez pamięci, jakby pote przypadke zginon, no to majontkem sie my dzielimé — rzekła Toporowa Żelazna z niesłychaną nagłością porywczą.

Ale Topór Od Muru surowo na nią popatrział.

— O Sobkowi nie radź, a o Marynie niewiadomo nic. Pokiel ja zyjem, garka tu jednego nik nie rusy!

Umilkła chciwa Żelazna.

— Krzyś gadajez, co, jak? — naglił Leśny.

— Krzyś gadajciez, co, jak? — naglił Leśny. karczem wstępował, popatrzył nań z niewypowiedzianem lekceważeniem i odpowiedział:

— Jageś ciekawy, to hań leć.

— Ze ka?

— Na Nędzów Gronik. Hań dziś w nocyj zbiórka.

— Dziś!?

— Ja idem po skrzypce i po Mardule — oświadczył Krzys i wyszedł na krótkich nogach, chwając się. Zaraz za domem zaczął brzęczeć na nosie:

Kie my se pudziemé hore dolinami,
budom ze sie dziewczki obziérać za nami...

W głęboki zaś las ku Śpiżu szedł stary stu-letni Kret przed Beata Herburtówną, mruczac do niej:

— Trzeba se dwa tęgje kije ułomić, od wilków, abo i złego cłeka, cy psów, kie na ceste wyjdziemé. Ludziom sie nie cuduj, co cie wygnali. Ludzie som jest głupi. Dziw Boze, jakby sie ka mądry nalaz. A ja tobie nie opuscem, bok cie nie nato mlékem warzoném karmił, cobyk cie na zaginienie dawał. Ja pomału za ludziami seł, niewiedzący, ka idom, ani poco? Włógek sie ta, bok stary. Prawie jek sproście na dobrom kwile prziseł. Onyby cie moze bėły i ukamienowały, ty baby. Prze co? Brzydosie zatracone! Mnie ta po nicym nie luto. Ta izbecka, ka jek siedział, jak na psa. Ba kie w hale z wiesnom pudom, to mi luto bedzie. O! Bedzie mie cliwo przez owiec! Bedzie!

— Ojczy! Wyście dobrzy! — szepnęła Herburtówna.

— Hej, Boze, dziecko — odpowiedział Kret — takim głosem nik sie do mnie siedemdziesiont roków nie obezwał... A kaz twoi ojcowie siadują? Wyjdzimé z lasu, bedziemé sie ospytywać. Zawiedem cie. Moze mi hań owce dadzom paść. Hawok sie jus nie wrócem. Fciały cie psie pary ukamienować! Prze co? Ale przez owiec z wiesnom toby mie cliwo béło. O cliwo by mie béło. Ja je osiemdziesiont roków pas w halak...

.

Krzyś, co się stało u Toporów, nie wiedział, szedł on bowiem w inną stronę, walecznego Mardulę ku Janosikowi Nędzy pozwać. Zastał go siedzącego na progu domu, w którym ze starą matką mieszkał, bęsiem, nieślubnym synem będąc.

Mardula był ponury. Posiadał on bowiem dwie pary portek, jedne nowe, drugie stare, ale się zdarzyło, że gdy wszelki dudek, jaki miał, wymijał po karczmach, poszły za dudkiem i nowe portki.

Krzyś, który się po drodze wody z potoku napił i tem do równowagi umysłowej znacznie przywrócił, zauważył Marduliną gorycz i zapytał politycznie:

— Hłopie! O cym tak medetujes?

— He, radbyk na kściny iść.

— Kaz to? zapytał Krzyś skwapliwie.

— U Wojdyłów.

— Je coz ta Bóg nagodziel? Hłopiec, cy dziewczka?

— Dziecka niéma.

Zdziwił się Krzyś.

— I jako?

— Bo sie narodziło niezywe. Ale kściny som jest, bo syćko béło przygotowane.

— Je prawda — rzekł Krzyś — wtoz go ta wiedział, jakie sie narodzi? Nie pytał sie go nik. Gorzałka hań jest?

— I piwo i wino, syćko. Dy Wojdyła gazda!

— Pytali cie?

— He, i oni i wcora wieczór jesce przileciała Klarka Ustupska, cobyk jyno przisel. A i Wojdyłówna, Marcia i Milcia, stryczne, mie strąśnie pytały. Wtoz hań zatańcy, jak mnie nie bedzie?

I Marduła stał się dumny.

— No, kiebyś na kwile poleciał — rzekł Krzyś, zastanawiając się. — Je, ale cemuz nie idzies?

— Jakoz pude? W takik portkak nieporada iść..

I wyciągnąwszy długie nogi przed Krzysia, z żalością na swoje połatane spodnie spojrział.

Krzyś pomyślał chwilę i rzekł:

— Wiés co, mam ja nowe portki, końdek som jest długawe i syrokawe na mnie, bedom na tobie. Lejdze duhem do Byrki, ona ci da, wisom hań na zyrdce w białej izbie, a przynieś

mi i skrzypce. Niepytanyk na te kściny, ale mie ta ze skrzipcami przyjmim.

— Haj! — krzyknął Marduła i gwizdnawszy na psa, zajął go kijem i puścił się biec w nieporównany sposób, jak to miał zwyczaj, za psem galopującym przed nim nieledwie się go za ogon trzymając.

— Jedy by ci tén ksiendza po kolendzie łapiel — mruknął Krzyś, zasiadając Mardułowe miejsce na progu.

Na kściny na maluckom kwileckie wstapimé, i tak hańtędyj dróga ku Nędzy.

Usłyszała stara Mardulka obce mruczenie i wyjrzała z izby do sieni.

— Tuście, swoku? — ozwała się przyjaźnie.

— Zy haw. Jak sie ta miéwujecie, ciotko?

— Ze tak ta, po końdku. Ani tak, ani tak. Kaz Franek?

— Poleciał do mnie na portki. Skrós tyk kścin. Radby tańczyć.

— E dobrze ze tys! Wy zycycie mu? Bo se strąśnie markociel, co nima w cym iść.

— Ale z tyk kścin to on tu jus du domu nie przydzie.

— Zje ha kas pudzie?

Jął Krzyś Mardulkę objaśniać, a ta wysłuchawszy, rzekła:

— Je dy dobrze. Moze sie ta przecie raz Franek do kupy pozbiéra i na porzomnego, godnego

złodzieja, jako i drudzy, wyjńdzie. Ja to sama wiem, że i ś niego by mógł być złodziej, jaż nie żal, kieby nie te dziewczki! Co sie mu nieraz nagadam: Franek, dajże pokój, posiedź! S temi freirkami nic nie nagazdujes, ba jesse swoje minies! Złodziej byś mógł być, jako i Nowobilski wtory na Białce, abo Mateja w Polanak, a tyś co!? Z porwałnegoś rodu, to ta porwies, ale wto fce sie ze zbójectwa na gazde sprościć, nie musi o figlak, kohaneckak myśleć, ba jedno w głowie mieć: kraść!

— Terazeście wej, Mardulko, dobrze pedzielili — rzekł Krzyś. — Wy macie rozum.

— Ale Franek jako Franek! Co prawom rencom przyniesie, to trzoma lawemi pomiendzy dziewczki ozda, a i pozywać sie go bojom, choć je hłop, bo taki nigda niepewny, co mu jyno to hań w głowie, to cérniućkie a drobne. Nieraz ja sie i napłacem, bok go przecie na zbójnika howała...

— Przy Janosiku sie przyucy. To ociec świenty zbójceki! — rzekł Krzyś z namaszczeniem, kiwając patykiem na oście.

Tak rozmawiali, tymczasem zaś szybkobiegacz Marduła z portkami Krzysiwemi i skrzypcami wiatr zdumiewając powracał.

Psa nawet za sobą zostawił.

— Ześ tys hytry! — rzekł Krzyś z uznaniem. Z porozumiewawczem, polecającem spojrze-

niem spojrzała Mardulka na Krzysia — coby to z Franka mogło być, aj być!...

W mig się przeobuł Mardula; trochę było ciasno i krótkawo, ale onyckami płóciennymi powijął kostki wysoko i rzemieniam pookręcał. Było.

Opowiedział mu za ten czas Krzyś, poco poń przyszedł: Mardule się oczy zaśmiały, słuchał bystro, poczem ciupagę z kąta, noże i pistolety z półki zaraz wziął. A gdy matkę całował na pożegnanie w rękę, ta rzekła: — Idzies tak, jak do szkoły. Talant ci Pan Bóg dał, od korzenia sie weź!

— Ale sie z moik portek wyobujes? — zastrzegął się Krzyś, ruszając z Mardulą.

— Wyobujem. Ja se ta nie jyno jacy portki, ale i buty z holowami najdem!

— Łacwie — rzekł Krzyś. I obliczał, że z godzinke się na dorzinach zabawiwszy, jeszcze na czas na Nędzów Gronik zajdą, a nie, to Janosika dościgną. O tem, że miał i innych chłopów ku Janosikowi pozwać, już nie myślał.

U Wojdyłów grali, aż zdaleka huczało. Gości wdzięcznie Wojdyłowie powitali, a na widok Krzysia poczęto wiwatować, bo to był muzyka nad muzyki.

Młoda Wojdyłowa od Karkosów, trzeci dzień po połogu, właśnie tańczyć przestała i szepnęła do męża:

— Uwenerujze Krzisiowom persone, coby zagrał.

— Ale Krzyś napiwszy się ponownie, wolał naprzód zatańczyć. Chłopi rzędem dookoła izby pod ścianami stali i jeden po drugim przed muzyków wychodził i tańczył, jak było zwyczajem, lecz Krzysiówi miejsce zrobiono dla wieku i wartości.

Wystąpił więc z ostrą miną przed muzykantów, dwóch skrzypków i basistego, i wyjąwszy jakieś grosiwo ze supła smatki, którą miał w kieszeni od serdaka i rzuciwszy do basów, zaśpiewał:

Spodobały się mi u zajaca usy,
u jelenia rogi, u dziewczyny nogi!...

Poczem ogromnie głośno począł tupać kyrpcami w dyle podłogi i puścił się dookoła na ozwodną nutę, Marduła zaś podskoczył ku Capkuli, babie wielkiej i napodziw rozłożystej, i pokłoniwszy się jej z gracją lekko kapeluszem, który miał na głowie, wpół ją ujął i kilkanaście razy wyzwyrtawszy, aż babie spódnice ku kolanom wylatowały, pod rękę ją puścił, jak frygę, aż babie spódnice powyżej kolan wyleciały i pokazała się pod niemi mężowska biała guńka, którą dla większej jeszcze urody na biodra zapasała.

— Hej ze ino z Franka pies! — krzyknął rozradowany ojciec Wojdyłowej.

Capkula zaś prawą ręką wdzięcznie ztyłu na biodrze grzbietem dłoni ku ciału z zagiętymi palcami wsparłszy, wyprężyła się niepomiernie i na palcach się wspiąwszy drobno boczkować wokoło Krzysia poczęła. Krzyś zaś wkoło się nosił, a co czas przed muzyką stawał i śpiewał. Choć nogami telo nie doprawdzi, to gardłem dorobi — dokwalowali chłopci.

Głowę to na bok zawieszał, to wdół, to dźwigał, włosy odrzucał, a nogami to w dyle tupał, to po piętach się dłońmi na trojako z lewej strony, z prawej strony i z przodu przed sobą bił, to w obie naraz podskoczywszy dłońmi uderzał, to jedną piętą, przystanawszy, powoli zgóry mocno w podłogę rąbał.

Nagle stanął i okręcając palce wskazujące w powietrzu koło siebie, do okółka, drobnego zakomenderował:

Cy se bacys, kiek cie pytał,
kie sie jawór lipy chytał?
Cy se bacys, kieś mi dała,
kie sie lipa ozwijała?

— Hej, stary! — krzyknął rozradowany ojciec Wojdyłowej, grożąc Krzysiowi palcem na nosie.

Krzyś zaś na ciemieniu ręce zaplótł i krzesać począł, piętą o piętę zastawić, to wartko nogę przed nogę przekładając, to z węgierską piętą za piętą cofał się w prostej linji, to drobno kyrpcem

przed kyrpcem sunąć w bok szedł, to w przekątną przez izbę z nogi jednej posuwiście, a Capkula to koło niego, to przed nim do linji, to za nim. Jął ją Krzyś gonić, małym korpusem w jej rozłożyste ciało godził, piersiami bezmała w brzuch, nosem w biust, kolanami w golenie, ona uciekała, on jej dopaść nie mógł; znów się cofał, a ona ku niemu zalotnie przybliżała. Z Krzysia pot się lał. Capkula czerwieniała na gębie, jak rak.

Nagle Krzyś stanął, rozkraczył szeroko nogi przed muzyką i zaśpiewał:

Hej baca nas, baca nas,
dobryk hłopców na zbój mas,
jesce byś ik lepsyk miał,
kiebyś se im syra dał!

(śpiewankę dowcipnie skomponowaną przez juhasa z za Wirchporońca na skąpego tamtejszego bacę od Kohutów z Muru).

I podskoczywszy, jak za młodości, wgóre, na obie stopy skrzyżowane Krzyś odrazu spadł i hajdukować począł, przysiadami „ponad ziem“, dokoła Capkuli; ale Capkula też pokazała, co umiała. Jak się weźmie, jak hipnie! Równemi nogami na stół wypaliła, aż stół jęknął, a co na nim stało, brzękło, szczękło i dźwiękło.

— Wiwat! — krzyknęli chłopci.

Ale Capkula ze stołu zeskoczywszy, przed muzykantów się posunęła i stanąwszy przed nimi, odmieniła:

Zagroj ze mi hajduka!
Kany noga, tam...!

Krzyś Capkulę wpół do zwyrtnu pochwycił i okręciwszy się z nią wielekroć, pod rękę ją, jak Mardula na początku, chciał puścić, ale że on był mały, a ona wielka, ona jego ku powszechnemu śmiechowi z niezmiernym pędem, nim się spodział puściła, aż go na baby ku ścianie zanosło.

— Hej stary! — zawołał stary Wojdyla; Krzyś równowagę pochwycił i okiem ku niemu zipnął.

Gdy się zaś piwem ochłodził, między muzyków siadł i prym Mardule, który zkolei tańczył, na skrzypcach grał. Ale krótkie i ciasne portki Krzysiove na rosłym i bujnym Mardule poczęły zdradzać swą nieodpowiedność. Jęły trzeszczeć, a opięte były tak, że się zdawało, iż we wszystkich szwach pękna. Toż haftki na kostkach, sztucznie w onycki pochowane, powyłaziły nad płótno. Spojrzał Mardula po sobie i zrozumiał, że trzeba ratować stan rzeczy. Huknął więc przed Krzysiem, bo właśnie drobnego tańczył:

Hej ze jyno portki moje,
bo mam w doma jesce trojel

Ale Krzyś nie wytrzymał, aby dościpu dościpem nie zagrzać i z nad skrzypców odpowiedział:

Kiedy ty mas w doma troje,
zobuj moje, obuj swoje!

Izba zatrzęsła się śmiechem. Mardula stropił się, ale tylko na sekundę. Skoczył, jak pióro lekki, na skrzypce Krzysiowe i końcami palców skrzypiec mu dotknął z wierzchu, a Krzyś nie przestał grać, tak lekko dotknął.

Gęby się otwarły na tę sztukę.

Zaś za chłopami, co rzędem wkoło tańczących stali, na ławach za stołem siedzieli starsi gazdowie i gaździne. Gaździne prawie ciągle po dwie, po trzy razem śpiewały, gazdowie toż sama i weselili się. Wódka, piwo i wino potokiem się ze dzbanów lały, a dowcipy, przypowiednie i żarty strzelały, jak race.

Tam homerycki śmiech wywołał stary Gahut, opowiadając historję o żydowskim sądzie — jak wybudowano gdzieś kościół i majster blacharski na wieżę ku krzyżowi wyszedłszy, pośliznął się i spadł, a na dole stała masa ludzi, między nimi kupa żydów. Na jednego z żydów spadł i zabił go, jemu zaś samemu nic się nie stało. Wtedy żydzi zaczęli krzyczeć: gwałt; ukarać go! zabić go! Ząb za ząb! Oko za oko! Jako to żydowska wiara. Polecieli do sędziego. Sędzia wysłuchał i tak osądził: Ha, moi zydzi, on go nie zabił umyślnie, ja go — pada — inacyj karać niémogem, jyno go héba pod wiezom postawić dam, a nieg jeden zyd na wiezom wylezie,

spadnie nań haństela i zabije go. Inksej sprawiedliwości niewiem.

— Wyseł tys wtory? — pytał ojciec Wojdyłowej, zanosząc się śmiechem.

W izbie było duszno, gorąco i ciasno nad wyraz. Wiele tam objęć, wiele uścisków, wiele całusów wymieniono, jedne otwarcie, drugie ukradkiem, jak komu wypadło. Gazdowie brali cudze baby na kolana, lub obejmowali przed sobą, cudze baby szczyrzyły do cudzych chłopów zęby, kto sie ku komu czuł, to z niego wylaziło.

Tam przystojny, tęgi Wojtek Kujon zaśpiewał półgłosem do przystojnej, tegiej żony Jędrzka Pęksy: Widziałek cie widział, kieś cesala przedział! — a ona mu z wiele mówiącym uśmiechem odpowiedziała: I ja cie widziała, kieś siwe wolki gnał! — i tak sobie o sobie pod figurą poezyj znać dawali, co czują. Bo Wojtek miał babę starą, a Pęksa się babie nie widział.

Tam palce bogatej Kasi Symciarówny trzeszczały potajemnie w palcach ubogiego Klimka Bustryckiego, a w kącie, za piec wtłoczeni Michał Wyrdzinnik ze Zosią Samkową prawie się zupełnie rozkoszy oddawali. Drżało wszystko od tych dziewcząt o ślicznych twarzach i oczach niebieskich, smukłych w biuście i ramionach, a tak pełnych biodrach, że z nich jak kwiaty z donnicy wyrastały. A kto tknął tych bioder, szął go brał. Dyszało wszystko nad niemi. A im

plomienie w oczach świeciły, piersi od gorąca i tłoku dyszały prędko. Gięły się do uścisku. Wymykały się z parobkami. Wrzał pohut płciowy.

Wtem zrobił się rumor. Pietrek Sawickiego którego do tańca puścić nie chciano, bo nieproszony przyszedł i Sawiccy z Wojdylami nie byli dobrze, a za awanturnika go znano, do basów talara srebrnego rzucił i wypchawszy się na posród izby, skakać począł, pięściami koło siebie wywijając, piana mu zaś ze złości zaraz na usta wybiegła. Nikt mu dziewczki wywieść do tańca nie chciał, natomiast młody brat Wojdyłowej Józka Sieczkę pchnął umyślnie, ażeby tańczył. Już Mardula stał blisko. Gdy się Sawicki z Sieczką bok o bok uderzyli, już Mardula był przy nich, a gdy Sieczka dostał w pysk pięścią i zatoczył się na rząd ludzki, już Mardula koszulę skręconą w garść pod gardłem Sawickiego trzymał. Ale Sawicki, parobek nie słaby, tak samo Mardule zakręcił i dławić się zaczęli. Chwilę wszystko ustało z ciekawości, który którego praśnie. Zsinieli Mardula i Sawicki. Niedługo to jednak trwało. Znikł Sawicki pod nawalą napastniczych ciał, a w chwilę potem krwawą masę do sieni wyniesiono i z sieni w smreczki za domem ciśnięto.

Uspokoił się mąt i zaraz się dalej ochota zaczęła. Czy Sawicki był żywy, czy umarły, nikt się nie troszczył.

Upił się jednak ogromnie cioteczny brat pan-

ny młodej, Bartek Bachleda, i bałamutę zaczął; wrzeszczał, kłął i rwał się do bitki. Więc go kilku poważniejszych chłopów za ręce wzięło, wywiedli go w pole, chałupę z rogu nieco dźwigli i pod podchylony węgiel długie wosy Bartka wsadziwszy, opuścili dom napowrót.

— Teraz se nieg siedzi, pokił sie nie wysuma.

Darł się Bartek w niebogłósy, ale to w ogólnej wrzawie i przy muzyce głuchło.

Tam tancerz jakiś do drobnego znowu ciął:

Złamała sie pościółka,
kany spała frairka,
złamała sie na dwoje
na niescénście na moje!

Owdzie starzy gazdowie blaszanemi kwaterkami wódki do siebie zdrówkając, opowiadali sobie dalej ucieszne historie i pokładali się raz wraz wtył ze śmiechu, lub po kilku bezbarwnemi głosami ryczeli piosnki rozmaite. Baby wywodziły pieśni, przeraźliwie cieżko, przy drzwiach zaś blisko stanęło kilka dziewcząt, objęły się rękami za szyję i śpiewały ustami w usta jedna drugiej, że ledwie można było zrozumieć:

Jo ci powiadała przijedź hłopce, przijedź,
a tyś nie przijehał, wolałeś mie nimieć!

Hłopcy moi hłopcy, nie dacie mi urósć,
poziéracie na mnie, jako na lotorość!...

Ale wnet otoczyli je parobcy. Głosy się zmieszały, głowy przepletły, ciała jeły stykać ze sobą. Weselość, radość, zdrowie potężne i namiętna ochota i zdolność życia hulały, z hulania przechodziły w szal. Szczepan Ustupski z Ustupu, niemłody już chłop ale w barach jak wół, Capkulę na ręce porwał i z nią hajdukował za jakimś tancerzem. Jasiek z Podwilcnika w zębach stół ze wszystkim, co na niem było, próbował dźwignąć. Staszek Topór na rękach do góry nogami chodził, a Mardula w miejscu do wścieknięcia nad głowy ludzkie podskakiwał. Zośkę Jacinową, babę dietną, tak nabrało, że na Maćka Karkosa, parobka, pierśmi padła i przygniótłszy go ku ścianie dyszała na nim: tyś mój! tyś mój! Zaś Hanka Wojdyłówna trzem parobkom naraz wynieść się na rękach z izby dała, z pod oczu matki, która wołała pijana:

— Jyno chłopcy po młodsemu, po młodsemu!

Stary Wojdyła, dziadek martwo narodzonego, ze starym Byrcarzem, teściem Krzysia, objawszy się za szyję, na śmierć pijani, pod ławę się zwalili i tam jeszcze nos w nos śpiewali żałośnie ciągle to samo:

Byłaby ja była, cobyk jesse usła,
jyno by mie mama gałęziom przesiusła!

Nieopodal zaś młoda Wojdyłowa z matką męża klóciły się ząb za ząb, coby z dziecka było,

gdyby było żyło, czyby się było podało na Wojdylów, czy na Karkosów, a jej matka własna kiwała się na ławie nad blaszanką gorzałki, zawodząc:

— Oj biédarstwo, kieś tys ty sie niezywe narodziło, kieś ty takie kściny miało mieć!...

Wtem nagle Krzyś ustał grać, za struny wsunął smyk, wstał z ławy i poszedłszy żywo ku Mardule, ozwał się doń surowo:

— Franek, je cos to robis!?

— Abo co?

— Jedy my mieli do Nędzów lecieć!

— He dwaścia zjadło! Iście my mieli!

— No to cos ty robis!?

— A wy?

Zastanowił się Krzyś, jakby mu to dopiero na myśl przyszło, spuścił z tonu i odpowiedział o wiele łagodniej:

— No to podźmé.

I nie żegnając się z nikim wyszli z izby, a gdy wyszli, Krzyś rzekł:

— Po dródze nam Gałajda. Hybajmé poń.

Gaładę zastali na słomie, na której sypiał w małej izdebce, gdzie sam jeden mieszkał i gospodarstwo prowadził.

Gałajda leżał pod niską powałą, w dusznem cieple twarzą na izbę zwrócony i chrapał, aż dudniało.

Przystąpił doń Krzyś i wstrząsnąwszy go

mocno za ramię, że się obudził, zaczął mu opowiadać, poco wstąpili.

Ale Gałajda wysłuchał opowieści i na zapytanie Krzysia, czy pójdzie z nimi, odpowiedział:

— Nié.

— Lo cego?

— Bo byw spał.

— No to haw przyjadom panowie i zabijom cie.

— Moze — odmruknał z obojętnym niewspółudziałem Gałajda i obrócił się twarzą ku ścianie.

— Byku! — huknął mu jeszcze zgorszony Krzys nad uchem, ale Gałajda znowu chrapnął aż zadudniało.

Poszli więc sami, przyśpieszając kroku. Ciemno już było i gdy przechodzili przez pastwisko na Gładkiej poza lasem, ozwał się Mardula do Krzysia cokolwiek zmienionym głosem:

— Gwarzéł mi kował, Fakla Józek, znaliście go, ze kie do freirki do Słodycków za Kopę tu-tędéj hodziéł i raz w nocy seł, patrzy, a tu sie żrybie pasie. Widziało sie mu, ze Firkowe, strze-liéł toporzyskem bez zadek i pada: idzies ty du domu weredo! A to żrybie kie zerzy! Jaz sie las zatrząsł! I jedzie prosto nań, z pyska kielce wystawiło jak miedziane i ogień mu wej z nozdrzy fuknon. Fakla sie zląk, jaze zedrzał, toporzyskem sie opądza, a to cym blizy ku niemu, tym je więkse, rośnie, jaz nad las. Fakla sie

cofie do lasa i skrył sie. Wrócił sie do domu. Kie na drugom noc zaś ku freirce sie zabrał, kie w to miejsce prziseł, to jaze poty na niego były, telo sie bał.

— He — rzekł Krzyś — jaby hań nie seł, hoj-by miała złotom!

Po chwili zaś zaczął mówić:

— Ono nie śpi. Kie Wnękowie z Dzianisa księdza, co z kazaniami przijehał, zabili, bo sie im strąśnie śrybelne mentaliki u niego zwidziały, co sie nie narobili, coby ciało skryć, a nie dało. Wsadzili go do becki z kapustom, wyjońć musieli, pote zagrzebli w ziem, zaś wyjeni.

— Bez coż? — przerwał Mardula.

— Bo musieli. A obawiali sie, bo księdza biskup krakowski posukować kazał. Naostatku umyślili wywieźć go za granice orawskom. Nie daj Synu Boży! Zaprzagli dwa kónie, co ku granicy przijahali, niémogli za niom ruszyć. Musieli wrócić. Jaz ig hajdukowie dostali i obiesili.

— No to i ci zbójnicy, bacycie, co w Saflarak hłopa zabili, samo tak; kie ludzie krwiom tego zabitego liny od zwonów w kościele pomaścili i zacyni we zwony bić, to ka ten głos zwonów zaleciał, to ig zatrzymał. Nijakim świecie przestompic niémogli. Tak jak kłętój obręce.

W Goryckowej ig kajsi połapali, co sie kręcieli po dolinie, jak zaklenci.

— Haj, przidzie tak, co hamuje. I seliniejako

rozmaicie. Kie stary Jawolcyk z Małego Cihego, Jadam, ten woli złodziej, zmar, to go śtyrma wołmi z miejsca w truhle ruszyć niedało. Ba go sami hłopi musieli wynieść.

— Je bo za swojego żywobycia nic nie robiel, jyno woły krađał, to go po śmierzci nie fciały wieźć.

— Ja ci powiem, Franek: niezlicne rzeczy we świecie jest, aj jest! Niek cie Bóg scęści!

— O jest!

— Cłowiek nie jest scęśliwy. Bo je naostatku stworzony. W samym zadku stworzenia stoi, syćko złe, co na świat sło, oń uwadziło. Cała kurniawa.

Szli milcząc, aż Krzyś powiedział:

— Zimna noc. Cujem. Ja jus rzadki. Nie takik wyraźny, jakok bywał. Cłek tak cieńce na starość, jak płótno.

Marduła popatrzał na niego i rzekł:

— Be pogoda.

— Bedzie, bo miesiąc kolombkom dołu. Kie je rozkami do góry, to pokazuje na dysc. Ja sie jus i dogoniel. W tańcu to sie widzi wiatru we mnie telo, cobyś rąbanice urobiel. Ale tak to mie ubyło. Ba z łamania po kościak tok sie wylécył. Wzionek liści z pokrziwy, z jasionia, z bozego drzewka, z macierzanki i z jałowca z bobkami, pięciorakie ma być, i parzyłek sie. Popuściło mie do trzeciego razu. O godnie jek sie zratował. Bo

mie jus noga jedna bars dogorywała. Kie co gościć człowiekowi lubi, to pilno pomoze. No jus my do konieczlebu došli. Jus mi blizo potoków.

— Ale! — zawołał nagle Mardula. — Dy ja we wasyk portkak!

— No niegze ta! Wrócis mi ine.

— O to nic! Ale sie hłopi bedom śmiać, ize nie proci preporcyje portki namiérzane...

Krzyś myślał chwilę i rzekł:

— O to nic. Paniezus pedział, ze nie miejsce zdobi cłeka, jyno człowiek miejsce. Tak tys i portki hłopa. Ale co robić!

— Ksiańdz hoćby bël w lesie, to mu kazdy niesie — rzekł sentencjonalnie Mardula w analogicznej myśli.

— To tys to! — rzekł Krzyś. — Bydźze wesoły cłeku! A wiés, padała mi stara Magierka, je ze Sobcackule do lasa baby, Toporki, wyniesły.

— Moze?

— Ze ba haj. Zawdy sie mi zbacuje, jako stary Hury, kie go syn biël i bez izbe włók, coby go za próg wyrucić, pedział: e stój synu, bo tys i ja ojca daléj nie włócył, jyno po próg...

Potem, że droga była jeszcze długa, jał Krzyś opowiadać Mardule o kunistworze, tchórze, co był taki wielki, jak koń, gdyż był tego zdania, że lepiej o niczem mówić, niż nic.

.

Jak obłąkana snuła się Maryna koło karczmy w Zaborni. Wszystkie krzywdy, jakich przez Sieniawskiego doznała, wszystkie zbrodnie, za które go nienawidziła, stopniały w jego uściskach, jak воск na ogniu. Zapomniała dziadka Topora, zapomniała pogromu Sobkowego hufca, zapomniała Kostki, zapomniała siebie i ciosu złoconą buławką w Czorsztynie, zapomniała, co o wojewodzie opowiadano, jakim był — rozkoszy miłosnej zaznawała w zalewającej ją mierze i traciła zmysły. Dwie tylko rzeczy pamiętne jej były: że się przez dwa lata na polanach w lesie potajemnie schadzali i pieścili, kiedy jej się Sieniawski widział jak złoty archanioł z baśni, i że na Hrubem ma rywalkę, Beatę Herburtównę. O czem przez dwa lata marzyła, spełniło się; oddała się Sieniawskiemu cała, od stóp do głów i z duszą.

— Poco jek przisła haw? — pytała się czasem sama siebie, musiała sobie przypominać. Legła jak próg u nóg Sieniawskiemu, aby nie pokroczył na Hrube, ale gdziebykolwiek się zwrócił, chciała, ażeby ją za sobą włożył, choćby mu buty rękoma obejmować miała.

A gdy pomyślała o Beacie, zęby jej się ścinały i wówczas to Sieniawski doświadczał z jej strony szalu, który więcej prawie bólu, niż szczęścia dawał, w których ostre, białe, żbiczce zęby Maryny raniły mu ciało, ssaly jego krew, a jej

potężne, mocne ramiona zdawało się iż kości połamać w nim pragną.

Wieczór był jesienny. Maryna chodziła po polu koło karczmy, słuchając szumu lip i patrząc w mgły, zawałające dolinę pomiędzy górami. Ani księżyc, ani gwiazd widać nie było. Przez przymkniętą okiennicę karczmy szparami błyskało światło; to Sieniawski siedział zamknięty w wybitej kobiercami, makatami i adamaszkami żydowskiej izbie i wiersze pisał.

Tęskniło jej się. Już nadejść miała noc, codzienna noc wesela. Maryna przystawała pod oknem i przykładła ucho do okiennicy — pióro Sieniawskiego zgrzypiało ciągle.

Usiadła na kamieniu, ręce między kolanami zapletła i rozmyślać ją, ale cokolwiek myśleć chciała, myśli ginęły. Kochała. I nie było w niej walki, ani oporu. Miłość, jak buhaj szalony, zwała i rozniosła wszystkie płoty i zagrody.

Gdy tu podjeżdżała, w sercu jej wiły się żmije między liljami, teraz zaś serce jej było tylko płomieniem.

Nagle uchyliła się okiennica drewniana i przez kratę okna dały się słyszeć lekki świst przez zęby i zapytanie półgłosem:

— Maryś?

— Hawek — odpowiedziała pośpiesznie.

— Chodź! — rzekł Sieniawski.

Pod ten czas zaś lasami na czele kilkudziesięciu zbrojnych Podhalańców kroczył hetman zbójcki, Janosik Nędza Litmanowski. Obok niego szedł Sobek Topór milczący, jakby mu mowę odjęło, Mardula Franek i Nędzowi zbójcecy towarzysze nieodstępni, Gadeja, Mateja i Mocarny, wszyscy z rodu Stopków, siłacze, gwałtownicy i rycerze. Sablik i Krzyś postępowali w pochodzie, ale już nie grali. Kroczone cicho.

Stary Sablik z Maruszyńskich lasów na przespiegi posłany, z gęsiółkami w rękawie od czuchy, a do brzęczenia gotowemi, wędrujący pod Babią Górę rzekomo niby do brata, który był kościelnym pod Lubniem, a którego w istocie nie miał, przewiedziały się, że wojewodziec niema w Zaborni koło siebie więcej jak pięćdziesięciu ludzi, a reszta ruszyła przeciw chłopom, którzy się uspokoić nie chcieli, w stronę Kalwarji. Od Sobka zaś wiedział Janosik, że Sieniawski w Zaborni siedzi.

Ten pogromiciel z pod Nowego Targu był mu najbliższym, a pogromienie takiego potentata rzucało odrazu postrach na szlachtę i czyniło imię Janosikowe głośnem i sławnem.

O to zaś Janosikowi Nędzy szło. Coby się hyr o nim i ozgruch stał po świecie, coby jako orzeł spadł od Tater i żeby imię jego odrazu stało się straszne.

Cicho, jak wilki, podsuwali się pod karczmę.

Za przewodnika służył chłop z okolicy, a pochód umiał Janosik jak ryś prowadzić.

Karczma w Zaborni stała u dróg rozstajnych, samotna zupełnie.

Gdy światła dały się już zdala widzieć, Janosik rozdzielił swą bandę i oddał pojedyncze jej oddziały pod dowództwo swych towarzyszy, tak, ażeby równocześnie ze wszystkich stron śpiących dragonów i sługi napaść.

— Jyno śmiało, chłopcy, a bić! — polecał.

Sieniawski nie kazał stawiać straży, wydawały mu się nie tylko niepotrzebne, ale nawet uchylające jego potężne. Wokół wojowano z chamami.

Dragoni, służba nocowali w skleconych naprędce barakach. Otoczono ich pocichu, Janosik zaś, Sobek Topór i kilku innych podeszli pod karczmę.

Drzwi od sieni były niezamknięte. Janosik szedł na palcach, w prawej ciupagę, w lewej ręce kaganek dzierżąc. Uchylił lekko drzwi od izby i ujrzał pana i Marynę snem zdjętych.

Zawahało się jego mężne i rycerskie serce.

Ale tuż za nim szedł Sobek. Poznawszy Marynę, wydał krzyk przeraźliwy i rzucił się ku łożu z podniesioną siekierą w rękę.

**Miejska Biblioteka Publiczna
w Nowym Targu**

XIII/3



000-020281-00-0